

George Bidwell
LWIE
SERCE



George Bidwell

LWIE SERCE



Wydawnictwo „Śląsk”

Okladkę i obwolotę projektował *Henryk Bzdok*

Redaktor *Wanda Wieczorek*

Redaktor techniczny *Barbara Stokfisz*

Korektor *Joanna Huber*

© Copyright by Anna i George Bidwell, Katowice 1983

ISBN 83-216-0328-9

Wydanie I. Nakład 40 300 egz. Ark, wyd. 10,0. Ark, druk. 9,25 Papier druk, mat, kl. V/70
A1 Druk ukończono w lutym 1983 r.

Symbol 32226/L Cena zł 110,–

Zakłady Graficzne w Katowicach, ul. Armii Czerwonej 138 Zera. 0960/1100/82 – B-10

Rozdział 1

„ALEŻ TO GWAŁT!”

Twarz kwadratowa, jak świeżo ociosany złom granitu. Oczy bystre, teraz błyskające gniewem. Kędzierzawy zarost nie skrywał ust, zarazem zmysłowych i okrutnych. Wielki wzrost, grubokoścista budowa, szerokie bary świadczyły o mocy niezwyklej nawet jak na owe czasy, kiedy to rycerzowi nieodzownie była potrzebna siła mięśni.

Prawdziwy olbrzym. Chodził po zasłanej sitowiem podłodze wielkimi krokami od ściany do ściany, walił w mur pięścią, zawracał i chodził znowu.

Nie był to loch podziemny, wilgotny i, pełen szczurów. Obszerna komnata, wysoki sufit; zimna, ale wygodna o tyle, o ile wówczas znano komfort; szarą monotonię ścian ożywiało parę makat, pośrodku masywny stół, krzesła, wielkie łóże.

– Ta dziewczka! Diabli ją nadali... a oni mnie aż nadto dobrze znają... ta po trzykroć przeklęta dziewczka! Hoża, piersista, pułapka na mężczyznę! Gdyby mój wzrok nie pał się jej urokami, gdybym nie był pijany zdradliwym pożądaniem, nie rzuciłbym chłopcu całej sakiewki ze złotem...

Przed kilku godzinami, kiedy zmierzch zapadał, po kocich łbach zaśmieconej ulicy na przedmieściach Wiednia zatętniły końskie kopyta. Jechało trzech jeźdźców w brunatnych opończach, zwykle noszonych przez kupców, w obszernych podróżnych płaszczach, w szerokoskrzydłych kapeluszach, w spodniach owiązanych na krzyż rzemieniami, w butach do połowy łydek. Za nimi wyrostek na mule. Jeźdźcy wstrzymali wierzchowce przed karczmą, ubogą, ale czystą i zadbaną.

Jeden rzekł:

– Pojedziemy dalej. Możemy tu wrócić, gdybyśmy czegoś lepszego nie znaleźli.

Drzwi karczmy otworzyły się na oścież. Młoda kobieta, która zobaczyła podróżnych i oceniła ich byстрым wzrokiem, wyszła i ukloniła się nisko. Najwyższy z kupców nie omieszkał, nawet w zapadającym zmroku, dostrzec zalotnie opuszczonych powiek, spojrzenia spod rzęs, kształtnie wypełnionego stanika. Zwrócił się do kompanów:

– Nie ma potrzeby dalej szukać. Mnie się tu pastwisko wydaje soczyste!

Tamci dwaj jakby się skrzywili trochę. Tego pastwiska pewno starczy tylko dla jednego.

Wewnątrz obszerna izba karczmy była czysto wysprzątana, chędogo,

– Innych podróżnych nie ma? – pytał olbrzym.

– Jest dwóch, wasza wielmożność, poszli już spocząć. Co pewno znaczy, że sknerzy albo za biedni, by za trunek zapłacić. Czym mogę usłużyć waszym wielmożnościom?

Śmiech – hałaśliwy, tubalny śmiech ogromnego mężczyzny.

– Tak myślę, że sama dobrze znasz odpowiedź, dziewczyno! Ale najpierw – moje buty. Potem jeść. Bośmy jechali od rana i kisзки nam z głodu marsza grają.

– Mało co mamy w kuchni. Czegoś lepszego by waszym wielmożnościom trzeba nagotować. Może by posłać na rynek, tu blisko, na końcu ulicy, a pod zamkiem. Kramy oświetlają łuczywem i będą sprzedawać do wieczora.

Młoda kobieta na klęczkach ściągała buty z nóg gościa. Jej stanik rozchylił się od wysiłku: krągłe pagórki perłowej barwy, nasyconej ciepłem. Nie patrząc na wyrostka, który właśnie wniósł skórzane sakwy podróżne i koce, olbrzym wyjął z kieszeni swego kaftana brzęczącą sakiewkę i rzucił ją w wyciągniętą dłoń. Dziewczyna podniosła wzrok.

Rzadko który z podróżnych tak beztrósko szafował pieniędzmi.

W ciągu długiej drogi od wybrzeży Italii podróżni zwykle sami zaopatrywali się w żywność, bo świadomie wybierali skromniejsze, mniej uczęszczane zajazdy. Wyrostek wiedział więc już z doświadczenia, o co się zakrzętnąć, i wybiegł spiesznie na ulicę.

Dziewczyna przyniosła dzban z piwem i kufle. Podróżni odpasali miecze, które nosili pod płaszczami, odłożyli je pod ścianę. Popijali rozmawiając o jutrzejszej drodze. Minęła godzina. Chłopak nie wracał.

Dziewczyna podała cynowe talerze, chleb i sól.

– Daleko do tego rynku i kramów? – spytał przybysz.

– Tuż za rogiem, wasza wielmożność. Chłopiec już dawno powinien wrócić.

Gdy wyszła, jeden z podróżnych powiedział:

– Coś mi się tu nie podoba. Chyba się temu szczeniakowi nic nie przytrafiło?

Olbrzym gdzie indziej krążył myślami, zawczasu smakując... Młoda kobieta, stawiając na stole naczynia, na moment oparła się piersią o jego ramię.

– Ciemno już – powiedział – a on w obcym mieście. Dajcie mu czas. Chociaż, na kości świętego Tomasza Becketa, głodny jestem. A bez, porządnej wieszki, mężczyzna nie sprawi się w łóżku, jak trzeba!

I jeszcze godzina przeszła, a chłopak nie wracał. Nawet olbrzym się zakłopotał.

– Bodaj go lichu porwało! To może być zły znak. Szkoda ją zostawić – głową wskazał w stronę kuchni – ale lepiej osiodłajmy konie i jedźmy stąd.

Za późno. Na ulicy zabrzmiał ciężki tupot butów. W drzwiach stanął rycerz w zbroi, z mieczem w pochwie. Za nim – halabardnicy.

Dwaj podróżni zerwali się na nogi. Dziewczyna służebna weszła i zamarła w drzwiach, patrząc w zdumionym bezruchu. Ogromny mężczyzna, zmierzwiwszy wzrokiem intruzów, nie ruszył się z miejsca, tylko beztrzesko założył nogę na nogę. Rycerz skłonił się przed

nim nisko:

– Miłościwy panie, przysłała mnie mój dowódca, abym was do jego zamku zaprowadził. Ta nędzna gospoda nie przystoi...

Dziewczynie aż szczęka opadła, dech w piersi chwyciła, rękę do ust podniosła. Potężna, jakby z kamienia wyciosana twarz przybysza pozostała nieruchoma.

– Jakaś omyłka. Moi przyjaciele i ja jesteśmy kupcami, a ten zajazd nam odpowiada.

– Miłościwy panie, raczysz żartować. Mój dowódca opisał mi was dokładnie. Twoje imię, twoje rycerskie czyny znane są każdemu chrześcijaninowi. A wiele tysięcy niewiernych ma powody, by żyć w lęku przed wami...

– A ja wam mówię, że się mylicie!

Dwaj podróżni stojący obok sięgnęli po miecze. Rycerz podniósł rękę.

– Nie przyczyniajcie daremnych kłopotów, panowie. Przywiodłem dwudziestu zbrojnych ze sobą. I mam rozkazy, którym posłuszny być muszę. Mój dowódca oczekuje was, miłościwy panie... niecierpliwie.

Nie było wyjścia. Trzech – nawet takich trzech – nie zdołaloby przerząbać sobie drogi przez dwudziestu, ale gdyby nawet się im udało, w pogoń za nimi pognałyby setki. Olbrzym wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście. Lepiej bez kłopotów.

Rycerz skłonił się i skinął na halabardników. Ci pozbierali sakwy i koce. Przyjezdni ruszyli ku wyjściu, za nimi rycerz i halabardnicy, z których jeden przystanął, by na pożegnanie trzepnąć poufale dziewczynę służebną, mówiąc:

– Za godzinkę, Magda! Na kolację – to co zawsze dla mnie. A potem...

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie, zaciskając wargi. Halabardnicy byli zwyczajnymi, codziennymi gośćmi, którym mówiła „tak” lub „nie” zależnie od humoru. A ona się spodziewała, że po tej nocy dostanie równie dobrze nabitą sakiewkę, jak ta, którą rzucono chło-

pakowi. Ale kim mógł być ów nieznajomy? „Miłościwy panie”? „Imię i czyny, znane każdemu chrześcijaninowi...”?

Zamek wchodził w skład fortyfikacji obronnych Wiednia. Miasto szybko się rozrastało od początku wypraw krzyżowych, ożywiających handel między Europą a Orientem. Od niedawna wybrano je stolicą księstwa austriackiego.

Komendant zamku, nazwiskiem Modred, powitał głębokim pokłonem rzekomego kupca, którego to wcale nie ułagodziło.

– Jeśli wiesz, kim jestem, popełniasz zwykły gwałt! Twój księżę, Leopold austriacki, sam był krzyżowcem, jak ja i ci moi towarzysze. Opuścił nas później, zdezerterował, prawda. Ale to przeciw prawom i obyczajom rycerskim, aby jeden krzyżowiec napastował drugiego... do więzienia wtrącał...

– Do więzienia? Zaklinam cię, miłościwy panie, abyś takich słów nie używał. Posłałem rycerza z oddziałem zbrojnych, tylko po to, by ci zapewnić bezpieczeństwo. Zdumiałem się, miłościwy panie, że ktoś tak znaczny...

– Skąd się dowiedziałeś, że tu jestem? – przerwał mu olbrzym.

– Wyrostek na rynku wzbudził podejrzenia. Wyjął dobrze nabitą kiesę. Ktoś obok potrącił go i z kiesy wysypały się szczerozłote monety. Fortuna! Ci, których obowiązkiem jest baczyć na wszystko, przyprowadzili tu chłopca.

– Czy chcesz powiedzieć, że chłopiec zdradził?

– Miłościwy panie, oskarżasz nazbyt pochopnie. Z początku chłopak nic nie chciał powiedzieć. Ale my, jak i inni, mamy do rozporządzenia ludzi biegłych w metodach perswazji. Przekonał się go.

– Biedak, nie winię go. Czy opisał wam mój wygląd?

– Tylko imię wykrztusił. Ja znam szlachetną postać i oblicze waszej królewskiej miłości. Widziałem ciebie w Neapolu, gdy do Ziemi Świętej wyruszałeś. Przed rokiem przeszło...

– Nie przypominam sobie twojej twarzy...

– Wielu widzi króla, których król nie widzi... Ale ze względu na

obyczaj przedstaw mi, proszę najuprzejmie, twoich towarzyszy.

– Sir Thomas Moulton i Sir Fulk D'Oyly, wierni druhowie, wybrani w turnieju, który się odbył, gdyśmy szykowali wyprawę. Obaj dowiedli swej, dzielności, a później ją potwierdzili, jako i wiele cnót rycerskich. A więc twój książę ma na sumieniu trzykrotną zniewagę, lekceważąc sobie rycerskie prawa krzyżowców. A teraz gadaj otwarcie! Jesteśmy twoimi więźniami?

– Miłościwy panie, twoje słowa obrażają księcia i mnie samego. Książę przebywa w innej stronie swych ziem. Posłałem już do niego gońców z zawiadomieniem o zaszczycie, jakim twoja obecność jest dla jego stolicy. Będziecie moimi gośćmi aż do jego powrotu.

– A jako twoi goście, będziemy podejmowani, ja i moi drhowie, w wielkiej sieni zamkowej?

– To nie wypada. W wielkiej sieni jadają różni prości żołnierze...

– Czyżbyś sądził, że z innych składają się moje wojska, którymi dowodziłem przez całe życie? I że w obozie nie dzielę z nimi ich codziennego trudu, ich strawy? Często wołę ich kompanię, ufam im więcej niż tym, co są wyższego urodzenia...

– Wojna ma swoje wymagania, miłościwy panie, a znowuż gościnnosć – swoje.

Wargi ogromnego mężczyzny zacisnęły się w twardą linię, szeroka pierś wzdymała się gniewem. Nie przywykł do sprzeciwu. Rzucił rękawicę pod nogi Modreda.

– Jutro skoro świt. Jeśli mnie zdołasz strącić z konia...

– To nie jest wyzwanie, jedna strona będzie zawsze przegrana, chociażby i wygrała. Twoja niepokonana waleczność w turniejach jest już legendarna. I jeśli mnie z konia strącisz, miłościwy panie, siła twojej włóczni jest tak potężna, iż padnę trupem. Ale gdybym ja zadał fortunny cios i zabił ciebie, nie ośmieliłbym się stanąć w obliczu wielkiego gniewu mego księcia. Jego książęca miłość, jak mi wiadomo, bardzo pragnie ciebie gościć.

– Tchórz! – szydził król.

– Nikt inny, panie, nie mógłby mi takiej obelgi zadać bez wła-

ściwej rycerskiemu honorowi odpowiedzi, choćby mnie rangą i siłą przewyższał. Ale teraz znieść ją muszę w milczeniu ze względu na mego księcia, któremu winienem lojalność, nawet większą niż sobie samemu.

Gwałtowny i porywczy gość – czy też więzień – umiał jednak docenić wierność rozkazom, nawet w obliczu zniewag, tym bardziej że osobiście zetknął się już niejednokrotnie z niełojalnością feudalnych wasali.

Moultona i Fulka D'Oyly zabrano do oddzielnych kwater. Króla Modred osobiście zaprowadził do przygotowanej dla niego komnaty. Strażnicy szli krok w krok.

– Będiesz obsługiwany jak przystało, miłościwy panie. Moja córka przyniesie najlepsze posiłki, zadba o wszystko...

Olbrzym nie odpowiedział. Nie mógł już wątpić, choćby wątpił poprzednio, że jest w niewoli. Podeszedł do jednego z wąskich okiennych otworów, którymi nawet za dnia niewiele światła docierało. Zatrzaśnięto za nim ciężkie drzwi. Klucz obrócono w zamku. Na korytarzu rozległy się zgrzyty dwóch halabard, wspartych o podłogę. Stańeli dwaj strażnicy, po jednym z każdej strony drzwi. Ciężkie kroki Modreda i innych halabardników oddalały się po korytarzu, wreszcie ucichły.

Więzień rzucił się w pasji na drzwi – potężne, nabijane gwoździami – walił w nie bezsilnie swymi ogromnymi pięściami, wyrzaskiwał przekleństwa, wymysły, bluźnierstwa, sprośności. Nigdy dotąd nie znalazł się w zamknięciu kamiennych murów, chociaż sam niejednego rozkazał do lochu wtrącić. Duma monarsza była dotknięta do żywego. Jego wściekłość – zwrócona po części przeciw Modredowi, po części przeciw księciu Austrii, a po części przeciw sobie samemu – była tak straszna, że nikt by nie zdołał patrzeć na nią bez lęku. Musiał dać jej upust. Odwrócił się i skoczył ku masywnemu stołowi, tak ciężkiemu, że czterech normalnych mężczyzn z trudem go podnosiło. Olbrzym wlaź pod ten stół, uniósł go na plecach, rozkraczonymi nogami ciężko stąpał z tą zdobyczą po komnacie,

wreszcie cisnął nią o podłogę jednym ruchem napiętych barów.

Wiedział dobrze, że to wszystko na nic. Ochłonawszy nieco, usprawiedliwił w duchu Modreda. Leopold, książę Austrii, musiał słyszeć, że jego niedawny towarzysz z wyprawy krzyżowej próbuje się przedostać w poprzek Europy do własnego królestwa i że jedzie incognito, ponieważ niejeden by się połakomił na takiego jeńca, żeby wymusić okup i koncesje polityczne. A książę, według dyplomatycznego określenia Modreda, miał szczególny po temu powód, ponieważ pod Akką w Palestynie doznał upokarzającej zniewagi od króla Ryszarda, pierwszego tego imienia angielskiego władcy obszernych ziem, które rozciągały się od pogranicza angielsko-szkockiego poprzez Kanał La Manche, obejmując Normandię, Andegawenię, Akwitanię, Tuluzę.

* * *

Rozdział 2

SKŁÓCENI ZWYCIĘZCY

Kiedy flota króla Ryszarda podeszła do Akki, dnia 8 czerwca roku 1191, miasto było w rękach Saracenów, a wojska chrześcijańskie pod wodzą Guya de Lusignan oblegały je od dwóch lat. Stojąc na dziobie statku, król ujrzał wielki łańcuch, przeciągnięty w poprzek wejścia do portu.

– Więc port również jest jeszcze w rękach nieprzyjaciół – rzekł. – Już ja im serca strachem ścisnę!

Z galer, jakie mu towarzyszyły, wezwał do burty swego statku największą, obsługiwaną przez najsilniejszych wioślarzy. Wydał polecenia Moultonowi i skoczył z pokładu statku na galerę.

– Musimy rozerwać łańcuch! – powiedział kapitanowi.

– Panie mój, mówiono mi na Cyprze, że wiele potężnych statków usiłowało przebić się do środka portu w Akce, ale ten łańcuch wytrzymuje każde uderzenie, a niejednokrotnie bukszpryt uszkodził. Nie da się go przerwać, to niemożliwe.

Wybuch tubalnego śmiechu Ryszarda słyszano od miasta aż po półkolem otaczający Akkę obóz chrześcijan.

– Nic nie jest niemożliwe. A twojej galerze żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Ja sam pokażę Saracenom, że ich łańcuch niewiele więcej wart, niż gdyby był ze słomy!

Spojrzał do góry na swój statek, gdzie przez burtę Moulton podał mu to, czego zażądał – najcięższy z jego wojennych toporów. Osobiście, z dzioba galery, wydawał dokładne rozkazy co do kursu i pozycji galery.

– Nie dziobem! – krzyknął. – Ustawić się bokiem, wzdłuż łańcucha.

Trudne manewrowanie, bo szła fala odpływu. Ale wytrawni że-

glarze nie dopuścili, by galera zdryfowała na pełne morze. Załoga w Akce nie dosięgając ich strzałami z łuku, nie mogła im przeszkodzić, a oddziały, które przybyły miastu na odsiecz pod wodzą słynnego sułtana Saladyna, znajdowały się daleko.

– Teraz dobrze! – krzyknął Ryszard do sternika.

Podniósł nad głowę broń tak ciężką, że mało kto w dzisiejszych czasach zdołałby ją unieść na wysokość ramienia. Sprzeciw wzmagał jego determinację, gniew napinał mięśnie, aż sterczały pod lekką materią kaftana, jak strusie jaja na ramionach, przesuwają się po barkach i piersiach, umacniały jak żelazo uda i łydki. Zamachnął się i jednym ciosem toporu z trzaskiem rozciął łańcuch.

Wrzawa zerwała się na galerach i na statku. Wioślarze wykrzykiwali radośnie. Rycerze i żeglarze mówili:

– Wspaniale!

– Nikt inny by tego nie potrafił...

– To nie tylko siła mięśni. On wymierza z taką dokładnością, że topór spada na łańcuch w momencie największego rozmachu.

Galera ruszyła przez lukę, za nią cała flota królewska. Z murów miasta żołnierze załogi przypatrywali się wyczynowi z równym zdumieniem co i krzyżowcy. Nie próbowano przeszkodzić w lądowaniu.

Od strony obozu chrześcijan podjechali wodzowie, by powitać nowo przybyłych.

* * *

Ów budzący podziw siłacz urodził się w Oksfordzie w roku 1157. Jego ojcem był Henryk, król Anglii i władca imperium andegawęńskiego, matką – Eleonora, księżniczka Akwitanii. Mieli oni synów, starszego również Henryka oraz Jana, i córkę Matyldę. Kobiety krwi książęcej nie ryzykowały zepsucia sobie kształtów, nie karmiły więc osobiście niemowląt. Małego Ryszarda wykarmiła mamka, której własny syn – Aleksander Neckham, później jeden z najsłynniejszych

uczonych epoki – urodził się tej samej nocy.

Od młodości Ryszard wzrastał wśród zbrojnych konfliktów. Ziemię w średniowiecznej Europie mieczem utrzymywano we władaniu, mieczem dołączano nowe terytoria. Ryszard walczył u boku ojca przeciw królowi Francji, tłumił rebelie zbuntowanych baronów we własnym księstwie lennym Andegawenii, później razem z braćmi wojował przeciw ojcu o prawa i przywileje, których im odmawiano. Niezrównany w sile fizycznej i kunszcie rycerskim, urodzony przywódca, młody książę, rozkochał się w wojnie. Jego głos, jego zapal porywały innych. Zwyciężał w bitwach po części dzięki sile fizycznej, po części mocą własnej osobowości. Nieprzyjaciół ogarniał paraliżujący strach, gdy mieli mu stawić czoła. Mówiono, że jego obecność w wojsku, warta więcej od tysiąca zbrojnych. Współczesny mu Gerald z Walii zapisał, iż Ryszard „rzucał się na niebezpieczeństwo, jak na kochankę; nie dbał o zwycięstwa, których własnym mieczem nie wyrąbał i nie splamił żywą krwią adwersarzy”.

Rygorystycznie przestrzegał zasady, że cokolwiek przedsięwziął albo zapowiedział, musiał uczynić i doprowadzić do końca. Nawet pogroźki wymówione w chwili gniewu, bez namysłu musiały być bezwzględnie, często z całym okrucieństwem, wyegzekwowane. Przeciętność, miernota, a czasem nawet rozwąga czy zdrowy rozsądek – nie zadowalały go. Przyrodzona pycha kazała mu dążyć do tego, by przewyższać innych, osiągać więcej od innych, zabić więcej wrogów w walce, uwieść więcej młodych mężatek, a nawet gładkich chłopców – ówczesni rycerze dość powszechnie miewali różnorodne skłonności seksualne.

Nieuniknione było, że wokół takiej postaci szybko narastały legendy, nie mniej liczne od tych, które otoczyły Herkulesa, Aleksandra Macedońskiego, króla Artura i Karola Wielkiego. Jeszcze za życia Ryszarda i zaraz po jego śmierci rozpowszechniali je angielscy i francuscy kronikarze, a później powtarzali nawet historycy. Najczęściej były to adaptacje powszechnie znanych romantycznych przygód, od dawna recytowanych i śpiewanych przez trubadurów, a w XII

wieku spisywanych w manuskryptach. Tych, które mają wyraźnie bajkowy charakter, nie przytaczamy tutaj albo wspominamy o nich jako o współczesnej Ryszardowi plotce. Jednakże nie wszystkie pieśni trubadurów i legendy były tylko zmyśleniem, wiele z nich zawierało częśćkę prawdy, rozwijało i ubarwiało fakty, wiele wyrażało poglądy charakterystyczne dla owej epoki – krwawej, gwałtownej, rozwiązłej.

A jeszcze inne wywodziły się z panujących zabobonów. Z tych ostatnich można przytoczyć rozpowszechnione mniemanie, że wśród przodków po kądzieli Henryka Drugiego, a więc i Ryszarda, była czarownica, która podczas mszy zawsze wychodziła z kościoła przed podniesieniem. Gdy któregoś razu zmuszono ją, by pozostała, wyleciała z kościoła przez okno, zabierając ze sobą córkę; nigdy ich więcej nie widziano. Na podstawie tego zabobonu święty Bernard przeklął ród Andegawęńczyków słowami: „Od szatana się wywolicie i do szatana wszyscy powrócicie”.

* * *

Wśród dowódców różnych wojsk europejskich, którzy wyszli powitać Ryszarda pod Akką, znajdowali się król Francji, Filip Drugi, oraz książę Austrii, z powodu swych skłonności do trunków przezwany „Gąbką”. Ci przybyli już przed kilku tygodniami. Był tam również Guy de Lusignan, nominalny król Jerozolimy – chociaż Święte Miasto było w rękach Saracenów – i tych ziem lewantyńskich, którymi władali Europejczycy, nazywani tutaj ogólnie Frankami. Dalej szli wielcy mistrzowie chrześcijańskich zakonów templariuszy i szpitalników, a także, dość paradoksalnie, dostojnicy sekty muzułmańskiej, zwanej asasynami, podówczas po stronie krzyżowców, później rozślawionej sekretnymi mordami na dygnitarzach przeciwnej strony.

Szpitalnicy, których zakon powstał początkowo, by służyć pomocą, azyłem i opieką medyczną ubogim pielgrzymom do Ziemi

Świętej, rozwinęli również działalność wojskową. Ich rycerze nosili na płaszczach białe krzyże i nie uznawali niczyjej zwierzchności, prócz samego papieża. Do podobnej samodzielności mieli też pretensje templariusze, samozwańczy opiekunowie szlaków, którymi wędrowały pielgrzymki. Rycerze tego zakonu nosili czerwone krzyże na białych płaszczach, a ich giermkowie i żołnierze – czerwone krzyże na czarnych tunikach. Te dwa zakony uzyskały dla siebie terytoria na wybrzeżach Lewantu i pobudowały zamki, a ich wielcy mistrzowie liczyli się na równi z baronami, patriarchami, a nawet królami. Łączył je tylko wspólny cel: zniszczenie Saracenów. Poza tym kłócili się ze sobą nieustannie, zwłaszcza o prawo do pierwszeństwa w skomplikowanej hierarchii. Podczas gdy krzyżowcy przybywali z Europy przeważnie w charakterze zbrojnych pielgrzymów i chcieli jak najszybciej wrócić do domów, gdzie by mogli zażywać sławy i zdobytych łupów, to szpitalnicy i templariusze tworzyli stałe ramy społeczności chrześcijańskiej na ziemiach, na których ciągle wrzało.

Asasyni stanowili odrębny element: tajne stowarzyszenie, żądające ślepego posłuchu pod karą śmierci z ręki ich własnych trucicieli i morderców. Wrogie nastawienie do wszystkich innych muzułmanów sprawiło, że asasyni sporadycznie przyłączali się do chrześcijan w działaniach zbrojnych przeciw Saladynowi i jego Saracenom. Za czasów Ryszarda ich najwyższym przywódcą był Sinan, zwany Szajch al-Jabal, co tłumaczono niezbyt dokładnie jako Stary Człowiek z Gór.

Zaraz po przyjeździe Ryszarda przyszli do niego duchowni, a wśród nich arcybiskup Pizy, by się poskarżyć:

- Saladyn chciał nas odstraszyć od oblegania Akki. Po barbarzyńsku sobie poczynił!
- To znaczy? – pytał król.
- Kazał wrzucić do naszego zbiornika z wodą trupy chrześcijan zabitych w bitwach albo pomordowanych w niewoli,
- Istotnie, ponura to sprawa, jeśli prawda – przyznał król. – Ale

czy jesteście tego pewni, przewielebny ojcze? Macie dowody? Bo jak mnie słuchy dochodziły, Saladyn słynął do tej pory z rycerskości i taki postępek nie pasowałby do niego.

Chociaż oskarżenia nie potwierdzono i chociaż powszechnie się zgadzano z opinią Ryszarda o Saladynie – barbarzyński postępek mógł się zdarzyć. Rycerskość w XII wieku była pięknym ideałem, który głosiło wielu, także Saladyn, ale mało kto, nawet spośród krzyżowców, naprawdę stosował go w życiu.

Wynoszono ładunki, żołnierze angielscy i francuscy schodzili na ląd. Ilu ich było – trudno dziś dokładnie ustalić. Współcześni kronikarze podawali liczbę setek tysięcy: oczywista przesada. Późniejsi historycy uznali, że jest mało prawdopodobne, aby armia krzyżowców przekraczała pięć tysięcy jeźdźców i trzydzieści tysięcy pieszych. Ale ze statków schodzili na ląd nie tylko wojskowi.

Wielmożom towarzyszyły żony, rodziny, a obsługiwała ich druga armia: kucharzy i kuchcików, służebnych, domowników różnego rodzaju, muzykantów, pisarczyków, paziów. Przyłączyły się też niezwykle ilości markietanek. Dla wielu z tych, którzy dotarli do Palestyny, motywy religijne, szczerą chęć uwolnienia Świętego Miasta z rąk niewiernych i ochrony szlaków, którymi wędrowały pielgrzymki – bez wątpienia były ważne. Ale istniały też mniej wzniosłe powody. W wyprawach krzyżowych brały udział różne awanturnicze duchy, często młodszy synowie szlacheckich rodzin, w nadziei wykrojenia dla siebie posiadłości lub uszczknięcia bogactw Lewantu. Po drodze do wypraw przyłączali się kupcy i lichwiarze z miast włoskich, zamierzający nawiązać kontakty handlowe ze wschodnimi wybrzeżami Morza Śródziemnego. Porównywano wyprawy krzyżowe do gorączki złota w XIX wieku, kiedy to ściągali zewsząd włóczędzy, bankruci, prostytutki, uciekinierzy od wymiaru sprawiedliwości albo od więzów życia klasztornego. Obozy krzyżowców, z ich namiotami, ogniskami, familijnymi kuchniami, suszącą się bielizną, nieposłusznymi dzieciakami i mnóstwem koni, rzeczywiście pod wielu względami przypominały osiedla, wyrastające

jak grzyby po deszczu, wokół złotodajnych pól w zachodnich stanach amerykańskich.

W Akce czekała przyjazdu króla angielskiego jego żona, Berengaria, córka króla Nawarry. Małżeństwo to, zawarte zaledwie przed kilku tygodniami w Limasol na Cyprze, miało ubezpieczyć na czas nieobecności Ryszarda południowe granice jego andegaweńskich posiadłości.

Nowo poślubioną małżonkę razem z jej teściową, angielską królową-wdową, wysłano wprost do Palestyny, gdy pan młody zmitrężył nieco czasu, zajęty zdobywaniem saraceńskiego statku z bogatym ładunkiem.

Berengaria była ponoć piękna, ale uroda jej gasła w cieniu słynnej Eleonory, zawsze młodej, o wielkiej inteligencji, która odgrywała ważną rolę w świecie intryg politycznych. Za czasów jej młodości połowa rycerstwa europejskiego ją uwielbiała – a wielu nienadaremno. W wieku lat trzynastu Eleonorę wydano za mąż za francuskiego księcia, późniejszego króla Ludwika Siódmego. Gdy wybrał się na wyprawę krzyżową – drugą – młoda żona mu towarzyszyła. Wdzięki Eleonory nie marnowały się w pustynnym powietrzu Ziemi Świętej.

Rycerze osaczali ją komplementami, trubadurzy układali pieśni miłosne na jej cześć. Damy dworu i garderobiane mogłyby niejedno opowiedzieć...

– ... wykąpcie mnie i uperfumujcie, wonnymi olejkami namaśćcie pod pachami, piersi, pępek... I przywołajcie tego jasnowłosego rycerza, który mi podał kielich z winem podczas wieczerzy...

– Ale, miłościwa pani... król?

– Król? Cóż tam król! Król o to nie dba. Przeżywa grzechem mój kunszt miłosny, którego by się nie powstydziała nawet Kleopatra. Złożył ślubowanie, że połowę każdej nocy będzie przepędzał na klęczkach w kaplicy przewożonej pod namiotem. A resztę nocy chrapie we własnym namiocie. Byłby z niego dobry mnich, chociaż mnisi też nie tacy, jakich pozór przybierają... Idźcie teraz. Dość tych

wonności. Tak mi się zdaje, że mój rycerz już czeka wezwania. Kiedy przycisnął pod stołem moje udo, nie odepchnęłam go. Wypróbuję jego sprawność w nocnym turnieju...

Jej zachowanie nie raziło. Był to zwykły obyczaj dworów i wojska podczas kampanii. Natomiast skandalem zapachniało, gdy Eleonora wzywała do swego łoża saraceńskich jeńców, oczekujących wykupu z niewoli...

Po powrocie z drugiej wyprawy krzyżowej król Ludwik kazał anulować swoje małżeństwo pod pozorem jakiegoś wątpliwego pokrewieństwa; w rzeczywistości dlatego, że królowa już za daleko się posunęła, biorąc sobie za kochanka jego rodzony brata. W parę miesięcy później Eleonora, księżna Akwitanii, poślubiła Henryka andegaweńskiego, a dzięki temu małżeństwu dwa krnąbrne księstwa lenne jej byłego małżonka połączyły się w jedną całość. Troski króla Ludwika jeszcze się pomnożyły, gdy w roku 1154 potęga Henryka wzrosła dzięki przyłączeniu do imperium andegaweńskiego korony angielskiej.

* * *

Zdobycie silnie umocnionej twierdzy, nawet jeśli żadna odsiecz nie interweniowała, należało do niełatwych operacji. A palestyńskim twierdzom przychodziły z pomocą wojska Saladyna, armia licząca prawdopodobnie blisko czterdzieści tysięcy wojowników; na dobitkę można ją było w razie potrzeby zasilać dodatkowymi oddziałami w liczbie prawie nieograniczonej. Tymczasem wojska krzyżowców topniały nieustannie. Saladyn unikał walnej bitwy, jeśli nie miał decydującej przewagi liczebnej albo też wyraźnie korzystniejszej pozycji. Wielka ruchliwość jego wojsk, którą zawdzięczał trzykrotnej blisko przewadze jazdy nad piechotą, ułatwiała mu błyskawiczne napady na oblegających i bezkarne ucieczki, z powrotem na pustynię. Takich napadów bywało czasem po kilka w ciągu jednego dnia, z różnych kierunków, więc krzyżowcy nie tylko ponosili straty w

ludziach, ale podupadali na duchu.

Gdy tylko zakończono formalności powitalne, Ryszard zwrócił się do Guya de Lusignan:

– Chcę obejrzeć umocnienia obronne miasta.

Ryszard był jednym z najznakomitszych budowniczych fortec, wybornym znawcą sztuki oblegania i pomysłowym konstruktorem machin oblężniczych.

– Najpierw musimy objaśnić nasz plan ataku – zaprotestował król Filip.

– Nie obchodzą mnie cudze plany. Robię własne i przeprowadzam je! – odparł Ryszard, dosyć szorstko.

Nie żywił szczególnej sympatii do Filipa, który był jego panem lennym, jeśli chodziło o posiadłości andegaweńskie. Tytu uczestniczyło w tej wyprawie wodzów, chlubiących się własną sztuką wojenną, że nieustannie groziła kłótnia. Gdy nowo przybyły wychodził na przegląd umocnień obleganego miasta, Leopold austriacki go ostrzegł:

– A uważaj na siebie! Łuczników w załodze mają wybornych. Gotowi są także do nieoczekiwanych wycieczek za mury.

– Miałem już z takimi do czynienia!

Ryszard wezwał Sir Thomasa Moultona i Sir Fulka D'Oyly, by mu towarzyszyli, i pojechał razem z Guyem de Lusignan.

Akka była znacznym miastem portowym, rywalizującym pod względem ruchu statków z Tyrem na północy i Askalonem dalej na południu. W kierunku południowym ciągnęły się błotniste niziny. Od strony lądu dojsca broniła głęboka fosa i podwójne mury, tak grube, że dwa zaprzęgi konne mogły się na nich wyminąć. Akkę zwano niegdyś Ptolemais: tu właśnie Herod podejmował Juliusza Cezara, a Rzymianie z dawna założyli bazę dla swoich wojsk na Wschodzie. Podczas pierwszej i drugiej wyprawy krzyżowej Akka wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk: to chrześcijanie ją zdobywali, to znowu Saraceni

Powróciwszy z Guyem z objazdu, król Ryszard oznajmił swoim

sprzymierzeńcom:

– Dobrze się stało, że katapulty i drewniane wieże ze sobą przywiozłem. Z tej wieży, a podsunie ją najbliżej murów, jak tylko się da, mogę śledzić, co się dzieje, i kierować oblężeniem. Później będziemy z niej ciskać kamienie w obrońców.

Wciąż rozładowywano statki. Machin oblężniczych jeszcze nie zniesiono na ląd. Żołnierze i jeńcy saraceńscy uginali się pod ciężarami, stękali. Bracia szpitalnicy, templariusze i rycerze stali dookoła bezczynnie, czasem klnąc i wymyślając niezdarstwu lub zmęczonemu tragarzowi.

– Ta robota idzie zbyt wolno! – zawołał Ryszard. Wezwał Moultona, Fulka D'Oyly, jeszcze paru innych ze swojej świty i powiedział im: – Chodźcie, pokażemy tym łazęgom, jak się pracuje!

Ambroise, rycerz normandzki, pisał później;

„Znoszono ze statków na ląd katapulty... Dzielny król angielski we własnej osobie, obnażony po pas, razem z towarzyszami, dźwigał na barkach – widzieliśmy to – drewniane części, szedł pieszo, ociekając potem, milę po syrkim piasku, obciążony jak konie i muły...

Jego przykład pociągnął innych rycerzy. Robota nabrała tempa. Z obozowiska wykluczono kramarzy, włóczęgów i różną hołotę. Później Ryszard oznajmił, iż każdy dowódca winien obejść podległy mu teren obozu przynajmniej raz w ciągu nocy.

– Sprawdzać warty – nakazywał. – By się nie pospali. Jak słyszałem, Saraceni umieją się cichcem podkraść. Trzeba czuwać i pilnować, bo mogliby wpełznąć do obozowiska i w najlepszym razie konie przepłoszyć, a w najgorszym gardła nam śpiącym poderżnąć. A kiedy obchodzicie obóz, sprawdzajcie, czy konie są mocno uwiązane, a także, czy popętane.

Każdej nocy osobiście odwiedzał część obozu, ku wielkiemu niezadowoleniu Filipa i Leopolda, którzy uważali to za nieusprawiedliwioną ingerencję w ich uprawnienia.

A za dnia król angielski chodził między żołnierzami, rozpytywał o strawę, jaką dostawali, o noclegi. Pytał także o powody, dla jakich

przyłączyli się do krucjaty: dobrowolnie czy z rozkazu pana. Nie będąc filozofem, jak szekspirowski Henryk Piąty, troszczył się wyłącznie o bojowego ducha i bojową sprawność wojska.

Tymczasem, jakby się mogło wydawać, celowo i świadomie utrudniał życie królowi francuskiemu i księciu austriackiemu.

– Jaki żołd wypłacacie waszym ludziom? – zapytał Filipa.

– Trzy bizanty dziennie każdemu rycerzowi, a on już sam opłaca z tego swoich żołnierzy, jak zechce. To wysoki żołd.

Bizant był monetą, wprowadzoną przez cesarzy bizantyjskich, powszechną podówczas w obiegu w niektórych krajach Orientu i Europy.

W porównaniu z żołdem, wypłacanym w Europie, była to rzeczywiście suma dość wysoka. Ale Ryszard bez skrupułów dążył do ściągnięcia pod własne znaki jak najwięcej rycerzy i dowódców, teoretycznie niezależnych. Bez dalszej dyskusji ogłosił, że płaci po cztery bizanty każdemu Europejczykowi, służącemu bezpośrednio pod jego zwierzchnictwem. Duży oddział z Pizy i drugi, pod wodzą Henryka z Szampanii od razu przeniosły swoje sztandary z francuskiego do angielskiego i andegaweńskiego rejonu obozowiska. Odtąd coraz łatwiej przychodziło Ryszardowi, jako dowodzącemu najliczniejszymi siłami, przeprowadzać własną wolę na naradach książąt i rycerzy. Stosunki z Filipem pogarszały się z dnia na dzień. Guy de Lusignan ostrzegął:

– Król francuski opuści nas. Zabierze swoje wojska do kraju.

– A wiele mu jeszcze wojsk zostało? – odparł Ryszard. – Niech sobie jedzie! Tym większa będzie dla nas chwała za zdobycie Akki, a później wyzwolenie Jerozolimy!

Na razie jednak Filip zaniechał myśli o dezercji, ponieważ król angielski zapadł na malarię. Zaplanowany wcześniej atak na miasto musiał prowadzić Filip. Ryszard uparł się, by go zaniesiono w lektyce pod mury, skąd symbolicznie oddał strzał z łuku, jednakże trzykrotnie ponawiany szturm – trzykrotnie odparto. Jak dotąd.

Król Anglii wyzdrowiał. W krótkim czasie tej samej chorobie

uległ król Francji, a między atakami febry troszczył się o sprawy raczej polityczne niż militarne. Do odwiedzającego go Ryszarda powiedział:

– Wielu kwestionuje prawo Guya de Lusignan do miana króla Jerozolimy.

– Wszak go uznano – odparł Ryszard. – Niech sobie trzyma tę koronę.

Ale Filip mówił dalej:

– Wolałbym Konrada, markiza de Montferrat. Guy przed naszym przybyciem w ogóle sobie nie mógł z obleganiem miasta poradzić. A Konrad oddał znaczne usługi i wynagrodzić go należy.

Ryszard wiedział, że to prawda. Montferrat w istocie dowodził trzecią wyprawą krzyżową. Przybywszy do Palestyny w okresie, kiedy Saladyn bez przeszkód krążył po kraju przez nikogo nie powstrzymywany, Montferrat ocalił Tyr. Z tego miasta posłał wezwanie na zachód. Z kolei encykliki papieskie roznieciły ponownie ducha krucjat, a wielki wpływ wywarła rycina, którą sam Konrad kazał powielać i rozpowszechniać po całej Europie, przedstawiająca Grób Święty znieważany końmi niewiernych.

– Najpilniejsze, to ubić naszego zwierza! – odparł dość ostro Ryszard Filipowi. – Potem zadecydujemy, na czyj stół zwierzyne podamy...

Powód niezgody był prosty. Lusignanowie, rodem z Poitou, byli poddanymi Ryszarda, a Konrad de Montferrat należał do wasali Filipa.

Przygotowano nowy szturm na Akkę. „Katapulty rujnowały i niszczyły bramę miejską – pisał Ambroise – że ledwo jedną połową się trzymała. Król zbudować kazał dwie nowe katapulty tak skonstruowane, by ludzie, którzy ją obsługiwali, przed strzałami saraccńskimi mieli osłonę... Stamtąd ciskali kamienie w dzień i nocą, bez przestanku, a ponoć jednym głazem dwudziestu ludzi zabili i ten głaz później pokazywano Saladynowi. Był to jeden z głazów, które król angielski z Mesyny na Sycylii przywiózł”.

By zaoszczędzić pracy przy młóceniu ziarna cepami, ludzie księcia Leopolda wybudowali wiatrak, podobny do tych, jakie były w Niemczech i Niderlandach. Przywiezionym z Francji hawerom Ryszard nakazał kopać pod murami miasta. Udało im się tak dalece, że dokopali się aż poniżej fundamentów. Pytali, co dalej?

– Podeprzeć fundamenty belkami – zdecydował król. – Wszędzie napchać słomy. Przed decydującym szturmem, podpalimy ich i wykurzymy!

Zdając sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, dowódca załogi oznajmił, że gotów się poddać, jeżeli krzyżowcy zagwarantują życie i wolność obrońcom. W Europie takie propozycje często przyjmowano. Ale tutaj Ryszard inaczej rozstrzygnął:

– Gdybym teraz tych niewiernych wolno puścił, to cały świat chrześcijański, a i potomność także, wzywałby kary nieba na moją głowę. W mieście jest część najlepszych wojsk Saladyna, wyborowe oddziały, które niemało by nam później strat mogły zadać.

Saraceński posłaniec przekradł się przez linie wojsk oblegających, by donieść Saladynowi o rozpaczliwej sytuacji miasta. Ibn al-Athir, najwybitniejszy z historyków arabskich z przełomu XII i XIII wieku, zapisał:

„Sultan przykazał ludziom załogi, by wyszli następnego dnia i przebili się przez armię chrześcijańską. Zalecił, by trzymali się brzegu morza i zabrali ze sobą wszystko, co zdołają unieść”. Chyba niezbyt fortunna instrukcja dla ludzi, którzy musieli oczekiwać w najlepszym razie ciężkiej walki. Jednakże Saladyn przyrzekł „wyjść im na spotkanie z całą siłą wojsk i dopomóc w ich odwrocie. Obleżeni żołnierze szykowali się więc do opuszczenia miasta, każdy na bok odkładając, co pragnął uratować i ze sobą zabrać...”

Francuscy hawerze wykuli podkopy. Ich dowódca usłyszał niezwykajny ruch w mieście i zaraportował o tym Ryszardowi. Filip wciąż jeszcze chorował. Dowodził król angielski, wspomagany przez księcia Leopolda.

– Słusznie mi o tym doniosłeś – powiedział starszemu nad ha-

werzami. – Jasne, że to pora do walnego szturmu. Wracaj i bądź gotów podpalić belki, podpierające stropy pod fundamentami.

Mianował Guya de Lusignan dowódcą wojsk wyznaczonych dla obrony przed ewentualnymi najazdami ze strony Saladyna. Do Moultona powiedział:

– Ty zostań z Guyem. Gdybym musiał wrócić jemu na pomoc, będę patrzył, gdzie walka najżarliwsza. Bo ty tam będziesz, jak amen w pacierzu.

Komplement dla rycerza i zarazem świadoma podnieta jego bojowego ducha. Fulka D'Oyly król zabrał ze sobą i podobnie kazał mu wyznaczać miejsce najcięższej walki pod murami.

Chciwość żołnierzy załogi, którzy unosili ze sobą co tylko mogli, przekreśliła ich jedyną szansę przebicia się pod osłoną nocy. Ciemności już zbladły, zanim byli gotowi. A wtedy każde wyjście blokowały oddziały chrześcijańskie. Ryszard, skoro ujrzał obladowanych Saracenów, rozkazał podpalić słomę w podkopach i osobiście poprowadził pierwszy atak. Saraceni musieli porzucić zbierane bagaże. Walczyli zaciekle, wyzywając śmierć. Ogień w podkopach szybko pochłaniał belki pod fundamentami. Znaczna część murów zapadła się, potężne bloki skalne zmiażdżyły wielu ludzi, tak spośród Saracenów jak i chrześcijan znajdujących się w pobliżu. A jednak wciąż jeszcze, z fanatyczną odwagą, obrońcy odpierali szturm. Toczono śmiertelne pojedynki, stojąc na ciałach zabitych i konających towarzyszy i wrogów.

Kronikarze arabscy zanotowali, że Ryszard osobiście zabił setki ludzi własnym mieczem. Nie należy tego brać dosłownie. Ale bez wątpienia król-olbrzym był w swoim żywiole, odcinając głowy, członki, czasem rozrąbując ludzi na pół.

Na tyłach wojsk atakujących rozszalała się druga bitwa. Saladyn, wierny obietnicy, napadł na obóz chrześcijański. Guy de Lusignan dał mu odpór. Ryszard wyczuł, że tamten atak może być groźniejszy od walki z załogą miasta. Posłał gońca do księcia Leopolda:

„Przejmij dowodzenie szturmem. Ja idę na pomoc Guyowi”.

Zeskoczył z murów, pobiegł do swego wierzchowca, którego trzymano dla niego opodal w pogotowiu, i pogalopował przez obozowisko na drugą stronę. Tam, w zażartej walce, krzyżowcy zaczęli chwiać się i ustępować. Moultona i garstkę rycerzy, walczących jak demony, wrogowie otoczyli i odcięli. Ryszard rzucił się w wir bitewny, a machając na odlew morderczym mieczem wyrębał sobie przejście do boku dzielnych druhów.

Opodal Saladyn walczył z podobnym zapamiętaniem. Ale zbroje krzyżowców chroniły ich przed saraceńskimi strzałami, które tylko czasem dziurawiły blachy, nie raniąc osłoniętych ciał. Niektórzy przypominali wyglądem jeżozwierze, tak byli pokryci sterczącymi, utkwionymi w zbrojach strzałami. I chociaż jazda wciąż na nich nacierała z wielkim męstwem i zaciekłością, nie ponieśli dużych strat, a zachęceni przybyciem niezwycięzonego króla, ruszyli do kontrataku. Saraceni musieli się wycofać, by wezwać posiłki i na nowo zewrzeć szyki.

Ryszard wrócił znowu do D'Oyly'ego, który wraz z większą częścią atakujących przedostał się do wewnątrz murów miejskich. Obrońcy cofali się w głąb miasta. Książę Leopold w obawie jakiejś pułapki powściągał swoich. Król wyśmiał te obawy, kazał ludziom iść naprzód. Saraceni zabarykadowali się w jednej dzielnicy, a ci, którzy szli w odwodzie ostatni, bili się zacięcie, o każdą piędź ziemi, każdy budynek. Noc zapadła, a załoga wciąż jeszcze walczyła, chociaż zdziesiątkowana. Bitwa zamarła wreszcie po prostu dlatego, że po obu stronach ludzie byli w stanie krańcowego wyczerpania. Chrześcijanie, zadawszy ostatni cios, padali na ziemię i zasypiali między zabitymi i rannymi.

W świetle pochodni bracia szpitalnicy szli ratować jeszcze żyjących. Anglicy i Francuzi ze zdumieniem się przekonali, że gdy oni przy amputacjach posługiwali się toporem i piłą – czterej mężczyźni trzymali nieszczęsnego pacjenta i tłumili jego wrzaski – to szpitalnicy znali już środki znieczulające i mieli bogaty wybór specjalistycznych narzędzi chirurgicznych. Gdy chory zapadł na wysoką gorączkę, w

Europie niekiedy golono mu głowę, a ksiądz robił na skórze nacięcie w kształcie krzyża, by razem z krwią puścić złego ducha, z pewnością siedzącego w mózgu. Szpitalnicy nie uznawali tych zabobonów, posiadali szeroką znajomość chorób i ich leczenia.

Ryszard pojechał znowu do obozu, gdzie sprawił szyki, część ludzi posłał na spoczynek, przygotował wojsko do ponownego wszczęcia bitwy nazajutrz rano. O świcie dostrzeżono wojowników Saladyna ruszających do ataku. Po raz drugi zaciekle walki szalały przez cały dzień, na pustyni za obozem i wokół zabarykadowanej dzielnicy miasta. Ryszard był wszędzie, dwoił się i troił tak, że gdy wreszcie wszystko się skończyło, zarówno załoga miasta, jak i wojska, które im przybyły na odsiecz, zaklinali się, że straszny król angielski walczył cały czas tylko przeciw nim.

Wieczorem, gdy krzyżowcy liczyli swych poległych, szpitalnicy opatrywali rannych, księża udzielali ostatnich sakramentów, a Ryszard obmyślał plan nowego ataku, który miał ruszyć równo ze świtem następnego dnia – herold saraceński z białą flagą podjechał do obozu chrześcijańskiego. Za nim grupa jeźdźców. Saladyn życzył sobie, by upelnomocniony poseł przybył omówić warunki poddania Akki.

– Ty jedź, mówisz ich językiem – powiedział król do Konrada de Montferrat.

– A co będzie z załogą?

– Najlepsi są zawsze na czele – odparł Ryszard. – Z pewnością wybiliśmy ich. Co do reszty, zażądaj wysokiego okupu.

– I zwrotu relikwii Krzyża Świętego – dodał Konrad.

– Oczywiście! Inaczej wyrzniemy wszystkich niewiernych w Akce. I Saladyn musi wypuścić jeńców chrześcijańskich, jakich ma u siebie w niewoli.

Uroczyście przyrzeczono zwrócić relikwie i wszystkich jeńców. Saladyn zobowiązał się wypłacić dwieście tysięcy bizantów. Konrad, sprytny negocjator, wytargował dodatkowo czternaście tysięcy bizantów dla siebie. Ryszard potwierdził rozejm z jednym zastrzeże-

niem: pozostali przy życiu żołnierze załogi będą trzymeni jako zakładnicy aż do wypełnienia wszystkich warunków, wszelako nie dłużej niż do miesiąca.

Ryszard wzbrowił grabieży i płądrowania Akki, której mieszkańcy, w znacznej większości chrześcijanie, byli poddanymi króla Jerozolimy. Więc żołnierze tylko hulali przez kilka dni. Wina nie brakło, ani kobiet, zapewne dość przystępnych, skoro Ambroise zanotował: „Lubieżny grzech, rozwiązłość, rozpusta – wszystkie najdziesz w tym mieście”.

Król Filip z niechęcią powitał zwycięzcę:

– To moje wcześniejsze ataki zdziesiątkowały załogę i duch w niej upadł.

Może i było trochę racji w jego słowach, ale przede wszystkim dowodziły one nieopanowanej zazdrości. Trzecia wyprawa krzyżowa obfitowała w waleczne czyny i zwycięstwa, ale jej wizerunek splamiły zawistne rywalizacje, egoizm, chciwość, intrygi, kłótnie, prowadzące od złego ku gorszemu. Sam Ryszard zawinił tu nie mniej od innych.

– Trzy razy próbowałeś szturmów i nic nie wskórałeś – odpowiedział Filipowi. – A ja zwyciężyłem.

Od tej pory współdziałanie dwóch monarchów przestało, praktycznie biorąc, istnieć. Filip żywił głęboką urazę. A Ryszard przysporzył sobie drugiego wroga. Wróciwszy do Akki, ujrzał, iż książe Leopold wywiesił na zburzonych murach tylko własne flagi. Oczywiście, wpadł w pasję. Własnymi rękoma zdarł chorągiew i depcząc ją krzyczał do Leopolda:

– Na Niepokalane Poczucie! Zwycięstwo ja odniosłem! Jakim prawem, ty Gąbko, śmiesz je sobie przywłaszczać?

W osiemnaście miesięcy później, niecierpliwymi krokami przemierzając komnatę w zamku Modreda w Wiedniu, król Anglii miał powody z irytacją wspominać, jak to niegdyś zniewazył flagę księcia Austrii.

Rozdział 3

KSIAŻĘCA PRAKTYKA

– Książę, mój pan wrócił do Wiednia – powiadomił pewnego dnia swego więźnia Modred. – Z całą pewnością niebawem zawezwie waszą królewską miłość do siebie. A wtedy wszelkie nieporozumienia między wami się skończą:

– Zawezwie mnie do siebie! – wybuchnął Ryszard. – Jeśli naprawdę tak rzekł, możesz mu ode mnie odpowiedzieć, że książęta nie wzywają monarchów do siebie. Przychodzą do władcy i uginają kolano! I niechaj wspomni, czyj gniew jego nikczemne postępowanie wzbudza przeciw niemu: nie, tylko monarchy, suwerena, ale też całej szlachty narodów Anglii i ziem andegaweńskich!

Leopold nie przyszedł. Ucieszył się szczerze, gdy mu doniesiono, że przypadek oddał w jego ręce Ryszarda, tym bardziej iż jego własny suweren lenny, cesarz rzymski imperium niemieckiego, zainteresował się więźniem. Dopiero przed dwoma laty odziedziczywszy koronę cesarską po Fryderyku Barbarossie, nowy cesarz już się uwikłał w poważne kłopoty polityczne. A nieprzyjaciele prawie wszyscy związani byli z Anglią. Niechaj więc Anglicy, jeśli chcą odzyskać swego monarchę, użyją wpływu z pożytkiem dla imperium. Leopold otrzymał polecenie, by strzec pilnie „gościa”, poza tym cała odpowiedzialność spadła na cesarza. Króla otoczono wszelkimi wygodami i względami:

– Bo kiedy się ostatecznie wykupi, a będzie musiał zapłacić ładną cenę, zarówno w złocie, jak w dobrej woli, to niech nie wychodzi na wolność jak rozwścieczony lew, doprowadzony do pasji.

Modred usłuchał z chęcią, nie tylko ze względów lojalności wobec swego suwerena, ale także dlatego, że był człowiekiem dobrotliwym i współczuł swemu królewskiemu więźniowi. Zezwolił więc Ryszar-

dowi wychodzić na mury dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, oczywiście pod strażą całego oddziału halabardników. Z obawy przed związaniem jakiegoś spisku, żaden najemny pacholek nie obsługiwał Ryszardowi. Posiłki przynosiła córka Modreda, Margot. Gdyby matka młodej dziewczyny żyła jeszcze, dostrzegłaby zapewne niebezpieczeństwo takiego zarządzenia, ale zmarła przed paru laty, a Modred uznał, że Margot dostatecznie jest chroniona gęstym welonem spowijającym jej twarz – wielkiej urody i wdzięku – oraz obecnością dwóch halabardników, którzy razem z nią wchodzili do komnaty króla i stali przy drzwiach. Początkowo Ryszard gniewnym gestem strącał ze stołu naczynia i kielichy. Ale trzeciego dnia zdecydował, że musi zachować sprawność fizyczną. Odtąd jadał z apetytem wyborne, starannie przyrządzone mięsiwa, zupy, ciasta.

Moultona i Fulka D'Oyly nie dopuszczono do ich króla. Ryszard próbował nawiązać rozmowę z Margot, ale ona, dyskretnie wskazując na halabardników, zachowała milczenie. Król źle znosił samotność. Zawsze żył w gwarnej, wesołej kompanii, rycerze byli jakby braćmi, a król tylko pierwszym wśród nich. Nie znał więc osamotnienia, a tym mniej – bezsilności. W miarę jak dni mijały, a ani cesarz, ani książę Leopold nie dawali znaku życia, gniew wzrastał w Ryszardzie. Chwilami wybuchał. Hałas rozbijanych o ściany sprzętów rozbrzmiewał po całym zamku. Wreszcie więzień uspokajał się znowu i chociaż złościł się nieraz na Modreda, jednak chyba polubił go i coraz chętniej wdawał się z nimi w pogawędki, spacerując po murach zamkowych albo wieczorami w swojej komnacie. Rycerz, ze swojej strony, ciekaw był opowieści o zdarzeniach w dalekich krajach, poza granicami Niemiec, których on sam nigdy nie przekroczył.

Mniej więcej po miesiącu uwięzienia w zamkowej twierdzy król poskarżył się pewnego dnia:

- Czas tak się wlecze! Powiedz mi: czy Anglia, czy moi andegawęscy wasale wiedzą o moim uwięzieniu?
- Nic mi nie wiadomo o takich sprawach, wasza królewska miłość. Ani książę, mój pan, ani tym bardziej cesarz nie dopuszczają

mnie do konfidencji w kwestiach wagi państwowej.

– Gdybym przynajmniej wiedział, co się dzieje...?

– Pozwolę sobie tylko przypomnieć, że nawet w najzwyczajszych przypadkach pertraktacje o okup ciągną się długo. Cóż dopiero, gdy w grę wchodzi osoba waszej królewskiej miłości. Jest wielu nieprzyjaciół...

– Nie dbam o nich. Każdy z nich boi się mnie i nie bez racji. Ale czy miałeś na myśli kogoś określonego?

– Powiadają, że król Francji mąci wodę, obiecuje pomoc cesarzowi, a gotówkę memu księciu, byle tylko waszej królewskiej miłości nie wypuszczali. A przecież i on był razem z wami w Ziemi Świętej...

– Na Boga! – wykrzyknął Ryszard. – Byłoby po tysiącokroć lepiej, gdyby był siedział u siebie w Paryżu! – Jak to miał w zwyczaju, szybkimi niecierpliwymi krokami, przemierzał tam i z powrotem komnatę. Mówił: – Filip powziął niechęć do mnie już dawno, kiedy to zaręczony dzieckiem z jego siostrą Alicją, odtrąciłem ten związek po dojszciu lat męskich. Wcale mi nie odpowiadały matrymonialne więzy z człowiekiem, który, po śmierci swego ojca, byłby dla mnie panem lennym z tytułu moich posiadłości andegaweńskich. W końcu, kiedy w Mesynie, po drodze do Palestyny, zdecydowałem się poślubić Berengarię z Nawarry, okupiłem się Filipowi sumą dziesięciu tysięcy marek. Wówczas zgodził się odstąpić od roszczeń Alicji. Ale ja wiedziałem, że nigdy mi nie wybaczył...

– O ile wiem, król Francji opuścił Palestynę wcześniej niż wasza królewska miłość...

– A tak. Po upadku Akki nakazałem wszystkim rycerzom europejskim w Ziemi Świętej przysięgę złożyć, iż nie odjadą przez trzy lata, chyba żeby Saladyn cały kraj nam odstąpił. Wtedy to Filip oznajmił, że klimat go zabije i że on musi do Francji wracać. Jego intencje jasne były dla każdego: chciał pod nieobecność najdzielniejszych baronów zagarnąć część przynajmniej mojej Akwitanii.

– A jego rycerze się nie sprzeciwiali...?, ,

– A sprzeciwiali się. Ale Filip oznajmił, że wyjeżdża trzeciego sierpnia – nawet nie czekał daty wyznaczonej traktatem! Powierzył Konradowi de Montferrat przyjęcie własnego udziału w łupach z Akki, a ja go zmusiłem, by zaprzysiągł, że żadnych moich posiadłości nie tknie. Ale on jest jak wąż, znam go dobrze! Zdolny do każdej zdrady...

Modred w zamyśleniu pokiwał głową:

– Jak długo będzie trwać ta zaciekle nieprzyjaźń między królami Francji a Plantagenetami!

– Dopóki królowie Francji nie zostawią w spokoju naszych ziem andegaweńskich. Już Ludwik, siódmy tego imienia, ojciec przekłętego Filipa, dwukrotnie wojny wszczywał przeciw memu ojcu...

– A, król Henryk! – przerwał Modred. – Wielki to był monarcha.

– Wielki diabeł! Wojowałem z nim i nienawidziłem go. A wielki monarcha, owszem. Podziwiałem go i kochałem.

– Słyszałem, że błogosławili go najskromniejsi z poddanych.

– Mieli powody. Dał im to, czego im odmawiali wielmoże i przekupni szeryfowie lokalni: sprawiedliwość. Mógłbym ci przykłady godzinami przytaczać... Anglicy są wielce kłótliwym narodem. Niczego uładzić między sobą nie potrafią. Nawet głupie osobiste „sprzeczki zaraz wytaczają przed sądy baronów czy szeryfów. Mój ojciec miał zwyczaj, kiedy nie wojował, co dzień prawie zjawiać się w jednym z sądów, niższych czy wyższych, na prowincji albo w Londynie, i osobiście rozstrzygać sprawy, łagodzić waśnie, ferować wyroki. Pewnego razu trafił na sprawę z oskarżenia Turstona, nadwornego szafarza, który obwiniał Adama, urzędnika kancelarii królewskiej, iż zażądał „posmarowania”, zanim wręczył mu dokument o obowiązkach szafarza. Urzędnik odparł, że niedawno, kiedy miał niespodziewanych gości u siebie na wieczery, poprosił Turstona o „nieco ciasta z królewskiej kuchni”, a ten odmówił; więc gdy nadeszła jego kolej, odplacił wet za wet, odmawiając wydania dokumentu. Zwrot o „posmarowaniu”, twierdził Adam, był li tylko żartem. Król posłał po słodkie ciasto i kazał Turstonowi na kolanach

podać je urzędnikowi. Z kolei Adam musiał również na klęczkach wręczyć dokument szafarzowi. Mój ojciec upomniął obu mężczyzn, aby w przyszłości żyli rozsądnie i pokojowo. A zwracając się do obecnych w sądzie, dodał: „I powtarzam wszystkim, którzy mi służą, że nie ścierpię, aby jeden drugiemu w pracy przeszkadzał: lecz mają sobie wzajem pomagać w małych rzeczach i w dużych...”

* * *

Henryk Drugi był synem hrabiego andegaweńskiego Godfryda i Matyldy, córki króla Anglii Henryka Pierwszego. W bitwach Godfryd nosił zatkniętą na hełmie witkę łązy, znak Plantagenetów, od której Andegawieńczycy przyjęli nazwisko. Ród ten, wywodzący się od przednormańskich, saksońskich królów Anglii z IX wieku, szczycił się ludźmi wielkich talentów i wyjątkowej siły fizycznej. Plantagenetowie kochali się w łowach, turniejach i wojaczce. A co dziwniejsze i rzadsze podówczas, cenili nauki, poezję i muzykę, mieli zdolności do języków.

Ryszard sam był autorem wielu pieśni, wcale nie najgorszych. Podczas uwięzienia osładzał sobie wlokące się godziny układaniem wierszy, uznanych później za liryki o nieprzeciętnej wartości.

Ojciec Ryszarda był mężczyzną o szerokich barach, grubym karku, wielkiej, okrągłej głowie, twarzy ogorzałej i upstrzonej piegami. Zawsze mu się spieszyło, bo tak wiele chciał dokonać, że wciąż gonił czas. Gdy wysłuchiwał relacji o sprawach państwowych, jednocześnie przeglądał i naprawiał swoją broń łowiecką. W kościele podczas mszy kreślił na luźnych kartkach notatki, rysował, robił karykatury. Słyszał z bujnego życia seksualnego. Nawet Eleonora, wytrawna kochanka, nie potrafiła go utrzymać na długo. Miał kilka konkubin. Podróżował nieustannie po swoich rozległych ziemiach, z całym dworem, rozpatrywał wniesione sprawy, sądami objazdowymi zastępując stopniowo dawne sądownictwo feudalne; dążył też do wyeliminowania „sądów Bożych”, jak pojedynków albo próby wody.

Ta ostatnia polegała na zanurzeniu oskarżonego w poświęconej wodzie: jeśli utonął, był niewinny; jeśli był winien, święcona woda nie przyjmowała grzesznika do swego łona, a wówczas skazywano go na tortury i okaleczenie jako winnego. Orzeł czy reszka: orzeł ja wygrywam, reszka ty przegrywasz.

Król ustanowił sąd najwyższy, do którego można było apelować od wyroków niższych instancji. Usuwał za korupcję miejscowych szeryfów, zastępując ich zawodowymi urzędnikami sądowymi. Kary kazał, dostosowywać do przestępstwa: za morderstwo – szubienica; za podpalenie – stos; za gwałt – wykastrowanie; za oszczerstwo i krzywoprzysięstwo – ucięcie języka.

Zorganizował nową administrację, pilnował bicia pieniędzy w mennicy, rozwijał handel, udzielał przywilejów obcym kupcom. Współczesny kronikarz zanotował: „Kupcy bezpiecznie udawali się na targi i do miast, a Żydzi do klientów”.

Zachęcał i hojnie opłacał historyków i filozofów. Z jego osobistej namowy Thomas Brown napisał „Traktat o prawach Anglii”, a pewien klerk nazwiskiem Layamon przetłumaczył z łaciny „szlachetne czyny Anglików na ich własny język”, włączył tu, po raz pierwszy po angielsku, historię króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu.

Pomimo porywczej gwałtowności Henryk jadał wstrzemięźliwie – odwrotnie niż jego syn. Pewnego razu, gdy król wizytował klasztor, jeden z zakonników poskarżył mu się:

- Nasz opat zmniejszył nam o trzy liczbę dań podawanych przy posiłkach!
- A ile dań wam zostało? – spytał Henryk.
- Tylko dziesięć.
- Na moim dworze wystarczają trzy dania. Przeklnę waszego opata, jeśli do tej samej liczby nie okroi waszych dań!

Sznury, służące zakonnikom za pasy, wiązano odtąd ciasniej.

– Mój ojciec miał hojną naturę – opowiadał Ryszard Modredowi.
– Wyzначzył jednego z templariuszy, by rozdzielał ubogim dziesiątą część wszelkiego pożywienia i napojów, jakie szły do rąk Turstona i innych szafarzy dworu.

– A przecież mówiłeś o nim, wasza królewska miłość, jako o wielkim diable...

– A tak. Diabeł był z niego. Wcale się nie dziwię, że moja matka, dopełniwszy swego obowiązku i urodziwszy dziedziców królestwa, opuściła go i wyjechała do Akwitanii. A synowie walczyli przeciw niemu. Bezpieczniej było znaleźć się w zasięgu strzał jego łuczników – chociaż byli wybornie wyćwiczeni w swoim kunszcie – niż w zasięgu jego ręki. Najłżejszy błąd, niedopatrzanie w gospodarowaniu, najcichszy pomruk sprzeciwu, a król wpadał w niepohamowaną pasję. Któregoś ranka przyjmował dworzan i urzędników, ubierając się w swojej sypialnej komnacie. Było to w okresie, kiedy król William szkocki wciąż najeżdżał pogranicze ze swymi dzikimi góralami. Ktoś wyraził się pochlebnie o szkockim królu. Na to mój ojciec zerwał z siebie odzież, podarł na strzępy pościel z łoża, wykrzykując najokropniejsze przekleństwa, wreszcie w ataku pasji zaczął gryźć słomę z materaca...

Wcale to nie zadziwiło Modreda, który nieraz widział swego więźnia zachowującego się również niepoczytalnie.

– Takie miał porywcze usposobienie – mówił Ryszard. – Kiedy wybuchał, gadał byle co, najokropniejsze rzeczy, co właśnie przysporzyło mu bolesnych kłopotów w sprawie arcybiskupa Canterbury...

Modred mruknął:

– Święty Tomasz Becket...

– Kanonizowano go w dwa lata po jego śmierci. Ale nie takie to proste...

– Z pewnością niebezstronne wieści o tym wydarzeniu doszły tutaj naszych uszu. Gdyby wasza królewska miłość zechciał...

– Tak, opowiem. Chciałbym móc opowiedzieć całemu światu.

Bo jestem pewien, że w latach, które nadejdą, ludzie będą pamiętać mego ojca z powodu jego udziału w tej tragicznej aferze raczej, niżby go mieli pamiętać dla jego dzielności, jego cnót, jego troski o poddanych...

* * *

Z początkiem panowania Henryk Drugi mianował kanclerzem Tomasza Becketa, archidiakona dobrze obeznanego w kwestiach administracji. Z kancelarii królewskiej wychodziły zarządzenia, często układane i pisane przez samego kanclerza; on też, w imieniu króla, patronował sprawom kleru. Becket jednocześnie piastował szereg kościelnych stanowisk, z których czerpał niemałe dochody. Był dowcipny, jowialny, rozrzutny, próżny; kochał się w zbytkownych strojach i wystawnych biesiadach. Ucztom, które wyprawiał, nikt nie mógł dorównać pod względem przepychu. Jednakże nie posiadał głębszej wiedzy. Trzymał przy sobie specjalnego instruktora, by mu objaśniał Pismo Święte, a kiedyś podczas zjazdu dostojników kościelnych w Tours zznał wielkiego upokorzenia, nie umiejąc jak inni wygłosić mowy po łacinie.

Kanclerz codziennie stykał się z królem, przyjmował więc bogate podarunki od tych, którzy za jego pośrednictwem szukali audiencji i łaski królewskiej. Chociaż Henryk był o jakieś piętnaście lat młodszy od Becketa, obaj szybko się zaprzyjaźnili. Kościół oczekiwał, że kanclerz będzie używał swego wpływu na króla, by rozszerzyć przywileje duchowieństwa, wydarte poprzednikom Henryka na tronie. Ale w owym czasie Tomasz Becket służył tylko jednemu panu – świeckiemu. Obciążył Kościół podatkami na pokrycie wojen, sam organizował kampanie i jeździł na pole bitwy u boku króla, jego baronów i rycerzy.

– Mój ojciec w owym czasie popełnił jeden z największych błędów swego panowania – opowiadał Ryszard Modredowi. – Po śmierci arcybiskupa Canterbury uznał, że mianując na to stanowisko

Becketa zwiąże go tym silniej ze swoją osobą. Omylił się. W nowych szatach, na nowym stanowisku Becket stał się innym człowiekiem. On, który był dotąd lojalnym i pilnym urzędnikiem, ujrzał się równym królowi. Jeden rządził królestwem, drugi – Kościołem.

Henryk nie dostrzegał przemiany. W każdym z europejskich krajów papież usiłował narzucać swoją władzę jako najwyższą, a suwerenowie starali się o arcybiskupów, którzy by ulegali ich woli. Albowiem Kościół za pośrednictwem kapłanów wywierał olbrzymi wpływ na ludność. Z ambony najskuteczniej szerzono każdą ideologię. Prałaci byli wypraktykowanymi administratorami. Wielu wyższych duchownych było ludźmi światowymi, ciągnącymi dochody z prebend i rozmaitych stanowisk, wielu posiadało ogromne dobra, zarządzało nimi i prowadziło tryb życia wiejskiej arystokracji, uczestnicząc także w rozrywkach i zabawach. W każdym też kraju prymas musiał mieć wiele taktu, jeśli chciał uniknąć konfliktu z monarchą. A charakter Becketa był równie stanowczy jak Henryka, jego wola równie nieugięta. Nie znał, co to kompromis.

– Kłótnia z Becketem rozgorzała na dobre – mówił dalej Ryszard – wtedy gdy mój ojciec, przeprowadzając reformę sądownictwa, chciał oddzielić prawo kanoniczne od prawa świeckiego. A zwłaszcza kiedy zażądał, by duchowni, których ich własne sądy uznały winnymi poważnych przestępstw kryminalnych, byli przekazywani celem ukarania władzom świeckim.

Wkrótce po wyniesieniu Becketa na arcybiskupstwo w Canterbury sąd kościelny uznał pewnego kleroika winnym morderstwa, a drugiego – rabunku i świętokradztwa. Obu pozbawiono święceń duchownych, jednego zesłano do klasztoru, drugiego napiętnowano. Król zażądał ich wydania. Becket odmówił i kazał prędko wyprawić obu poza granice kraju.

– Jakżeż ja mogę skazywać za morderstwo na szubienicę człowieka świeckiego – zapytywał Henryk – skoro takie samo przestępstwo, a tym nikczemniejsze u duchownego, który powinien świecić przykładem, księdzu uchodzi bezkarnie?

– Ludzie poświęceni Bogu są odpowiedzialni przed Kościołem, wasza królewska miłość – odparł Becket. – Więc tylko Kościół ma prawo na nich wyroki ferować.

– Złamali nie tylko prawa kościelne – dowodził król gniewnie. – Czyżbyś nigdy nie słyszał, wielbny arcybiskupie, że należy oddawać cesarzowi, co cesarskie?...

Odpowiedź Becketa powtarzali w ciągu wieków niejedni kościelni dygnitarze, wywołując protesty władców świeckich, zarówno królewskich jak i republikańskich:

– Co jest należne cesarzowi, a co Bogu, o tym rozstrzyga Kościół. – I już Becket wycofywał się z królewskiej komnaty, w uzasadnionej obawie przed nieuniknionym wybuchem monarszego gniewu.

Spór rozgorzał na dobre, coraz ostrzejszy, coraz bardziej zacięty. Henryk czuł, że walczy o prawa swojej korony i o prawa wszystkich monarchów zagrożonych przez księży. Becket z uporem trzymał się swego zdania. Uważał, że Kościół nie może się mylić. Tymczasem arcybiskup Yorku oraz inni biskupi i opaci poparli króla, wypowiadając posłuszeństwo Becketowi. Do ostatecznego konfliktu doszło w roku 1170. Henryk przebywał w Normandii. Tam w grudniu przyjechała do niego liczna grupa wysokich dostojników kościelnych. Król siadał właśnie do obiadu. Arcybiskup Yorku rzucił się na kolana przed królewskim stołem i rozkładając ramiona, wyrzekł głośno, aby wszyscy mogli go słyszeć:

– Panie mój, z ambony w dzień Bożego Narodzenia prymas publicznie rzucił ekskomunikę na mnie, na tych, którzy mi tu dzisiaj towarzyszą, i na wielu innych jeszcze, bo sprzeciwiali się jego woli...

Henryk zerwał się na równe nogi. Oczy mu zabłyśły złowrogo. Jego krótkie włosy zdawały się jeżyć na głowie. Rąbnął pięścią w stół, aż zatańczyły z hałasem talerze, a puchary potoczyły się na podłogę, gdzie psy gryzły się o resztki jedzenia. Arcybiskup i jego towarzysze pobledli.

– Na wszystkich świętych – wykrzykiwał król. – Czyż nie znajdzie się nikt, kto by mnie uwolnił od tego krnąbrnego klechy?

Czterej rycerze, siedzący przy jednym z niższych stołów, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W godzinę później byli już w drodze do Anglii, pod wodzą Reginalda Fitz-Urse. Następnego ranka król dowiedział się o ich wyjeździe. Natychmiast posłał gońców za nimi, złościąc się na samego siebie za pochopne słowa. Ale gońcy za późno dojechali do wybrzeży Normandii, za późno do Dovru i za późno do Canterbury. W katedrze, po wschodniej stronie nawy, o odrąbanej głowie Becketa świadczyła krew na kamiennych płytach.

* * *

– W naszych stronach – powiedział Modred – arcybiskupa ogłoszono męczennikiem.

– W Anglii też – mruknął Ryszard. – Chociaż poprzednio ludzie burzyli się przeciw niemu. W ciągu całego tego zatargu, baronowie stali murem jak jeden mąż za moim ojcem. Na ulicach ludzie krzyczeli za Becketem: „Zdrajca! Krzywoprzysięzca!” Nawet biskupi apelowali do Rzymu, by go złożyć z urzędu. Jego dzierżawcy i część podległego mu kleru jawnie odmawiali mu posłuszeństwa. Sam papież wahał się... Ci czterej rycerze oddali jednak królowi niedźwiedzią przysługę. Zwalili na jego barki winę za zabójstwo i za zbezczeszczenie świątyni. A Tomasza Becketa obdarowali męczeńską koroną, chociaż poniósł śmierć nie za wiarę lecz za przywileje kleru, za świecką władzę Kościoła i za własne ambicje zwrócone przeciw suwerenowi, któremu zawdzięczał wyniesienie.

– Król odprawił pokutę – zauważył Modred.

– Ojciec był oszołomiony i szczerze strapiiony. Przez trzy dni nikt nie miał do niego przystępu: zamknął się w swoich komnatach, nic nie jedząc, nikomu nie pozwalając, by mu niósł pociechę. Przez czterdzieści dni wstrzymywał się od wszelkich uciech. W Avranches przysiągł na Biblię, że nigdy nie życzył sobie śmierci Becketa, chociaż przyznał, że wymówione w gniewie słowa stały się tej śmierci przyczyną. Dostał rozgrzeszenie, przyjęto go z powrotem na łono

Kościół. Ale polityczne konsekwencje były olbrzymie. Kościół zachował wszystkie swoje przywileje, włącznie z prawem azylu dla przestępców w sutannach.

– A ci czterej rycerze?

– Ocaliły ich te same zasady, za które poniósł śmierć Becket. Nie tylko duchownych miały prawo sądzić wyłącznie sądy kościelne, ale również każdego oskarżonego o przestępstwo przeciw duchownym. Te sądy nakładały za karę tylko grzywny i pokutę. Było to absurdalne. Papież, by ratować godność sądów kościelnych, rozkazał zabójcom odpokutować za ich czyn odprawiając pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

– Ale mimo wszystko kościół wygrał – zauważył Modred z odzieniem satysfakcji.

Ryszard parsknął śmiechem.

– Ten się śmieje najlepiej, kto się śmieje ostatni. Mój ojciec był człowiekiem odpornym. Ludzie u władzy muszą być tacy. Odradzają się po porażce. Tak jak miały ojcu wybuchy gniewu, tak samo minęła mu skrucha. W dwa lata po śmierci Becketa zmarł biskup Winchesteru. Widziałem list, jaki król wtedy wysłał, bardzo krótki list: „Henryk król Anglii do swoich wiernych zakonników w Winchesterze – pozdrowienia. Rozkazuję wam odprawić wolną elekcję i zabraniam wybrać innego jak mego kapelana, archidiakona Poitiers.”

– A wasza królewska miłość nie byłeś osobiście wmieszany w aferę z Becketem?

– Ja? Człowieku, ileż ty mi lat dajesz? Byłem naonczas w trzy-nastym roku życia.

– Ale przecież wkrótce potem, o ile wiem, podjąłeś wielkie zadania.

– Nadano mi księstwo Akwitanii i hrabstwo Poitou. Ze wszystkich moich włości te dwie prowincje kocham najbardziej. Od urodzenia miałem je po matce dziedziczyć. A do niej zawsze byłem głęboko przywiązany.

– Pomimo tego, że królowa Eleonora... wasza królewska miłość zechce mi wybaczyć... cieszy się w Europie reputacją...

– Ba! Cóż z tego, że kobieta jest wielką miłośnicą? To jej rzecz. Powiadam ci, że moja matka była i jest niezrównana: piękna a łaskawa, stanowcza a dobrotliwa, powściągliwa a mądra... rzadkie połączenie zalet u kobiety.

* * *

Od chwili gdy Ryszardowi nadano księstwa, zaczęło się jego życie wojenne. Henryk krótko trzymał swoich synów. Ich ambicji nie zaspokajały czcze tytuły. Chcieli sprawować rzeczywistą władzę. W naturze skłonnej do samowoli, odziedziczonej po rodzicach, kryły się zalążki owych nieustannych waśni, które zatrwały schyłek trzydziestoletniego panowania króla Henryka. Jego najstarszy syn, także Henryk, w roku 1171 zażądał, by ojciec przekazał mu władzę albo w Anglii, albo w Normandii. Król odmówił:

– Nie zdejmuję z siebie odzieży, dopóki nie czas, bym szedł spać.

Natomiast postanowił oddzielić trzy ważne twierdze od dziedzicznych posiadłości najstarszego syna Henryka i dać je najmłodszemu, Janowi, który żadnych ziem nie posiadał. Henryk wpadł w pasję. Matka niesfornych młodzików, podówczas już separowana od męża, posłała Ryszarda na pomoc starszemu bratu, sama zaś wybrała się do Poitou, by tam zjednać dla nich poparcie. Po drodze napadli na nią najęci przez jej męża bandyci, porwali i uwięzili na kilka lat. Ludwik, król Francji, wmieszał się do waśni stając po stronie synów, a przeciw Henrykowi. Obietnicami nadań ziem i zamków młody dziedzic tronu angielskiego przekupił baronów w Anglii i w posiadłościach andegaweńskich, by się za nim opowiedzieli. Ale król Henryk zebrał wojska i w świetnie poprowadzonej kampanii odniósł kilka zwycięstw przeciw zbuntowanym synom i ich stronnikom. W końcu jeden tylko Ryszard jeszcze się opierał.

– Ojciec ścigał mnie z miejsca na miejsce. Jeszcze byłem szczeniakiem w sztuce wojennej. Musiałem się wiele nauczyć. Udzielił mi niejednej surowej lekcji. Cóż z niego był za świetny wojownik! Jak

błyskawicznie przerzucał wojsko! Kiedy obliczałem, że jestem o trzy dni drogi przed nim, nagle znajdowałem go tuż za sobą, prawie mi na pięty następował. Nie miałem wyboru. Musiałem się poddać i błagać o przebaczenie. A jak się już pewno zorientowałeś, mój ojciec nie przebaczał łatwo. Wszystkie twierdze, które razem z braćmi ufortyfikowaliśmy, kazał nam zburzyć. Wiedział, że nie może ufać żadnemu z nas. A ponieważ mnie uznał za najbardziej niebezpiecznego, więc na jakiś czas przydzielił mi tylko dwie rezydencje zupełnie nieobronne, bez kawałka choćby murów czy fosy, w Poitou.

Młodego wojaka trzeba było wkrótce puścić ze smyczy. Jego księstwo było zawsze ogniskiem wszelkich niesnasek na ziemiach andegaweńskich. Ale tamtejsi baronowie wprędce się przekonali, że mają nad sobą pana, który ich potrafi poskromić. Ledwie który warknął groźniej, a już Ryszard zjawiał się nad jego karkiem z bandą krwiożerczych zabijaków, zwerbowanych za ojcowskie pieniądze w przeludnionych Niderlandach. Ci najmici, rzekomi rycerze, byli pogardzani przez prawdziwe rycerstwo i potępiani przez Kościół, a miejscowa ludność bała się ich gorzej niż diabłów, bo najeżdżali spokojne wsie, zabijali, gwałcili i łupili. Gdy Ryszard nie prowadził wypraw wojennych, trzymał ich w żelaznej dyscyplinie. A w bitwie, pod jego wodzą, walczyli jak lwy. Żadna twierdza nie mogła na długo osłonić baronów przed nieustraszoną energią i zręcznością bojową młodziutkiego księcia.

W roku 1179 dowódca twierdzy w Tillebourg, w hrabstwie Poitou, ośmielił się spróbować oporu wobec Ryszarda i jego bandy rozbójników. Miasto i zamek były właściwie nie do zdobycia, usytuowane na wysokiej skale, niedostępnej z trzech stron, a z czwartej bronione potrójnym pasmem fos i wałów. Załoga była liczna i dobrze zaopatrzona.

– Zdecydowałem, że szturm pochłonałby dużo ofiar, a na dobitkę mógł być nieskuteczny. Należało skusić ludzi z załogi, by wyszli z za swoich linii obronnych. Zaczęliśmy więc palić i grabić okolicę. Dowódca fortecy sądził, że przychwyci nas nieprzygotowanych, a

miał co najmniej tylu żołnierzy co ja. Wyszli przed mury. Moi ludzie, rozłożeni obozem tuż za fosą, pozorowali ucieczkę. Dowódca nie zdołał powściągnąć swoich rycerzy, którzy się rwali do bitwy. Po-
pędzili za uciekającymi, zostawiając dużą już przestrzeń pomiędzy
sobą a fortecą. Skoczyliśmy w tę lukę, przedostaliśmy się przez ich
wały i fosy, wzięliśmy szturmem bramę, wpadliśmy do środka.
Forteca się poddała...

Zdobywając takimi sposobami, co na pozór było niezdo-
byte, młody książę Ryszard praktykował wojenne rzemiosło. W końcu imię
jego, owiane grozą, zasłynęło od krańca po kraniec Europy, co mu
pozwoliło zwyciężyć tam, gdzie niewiele wskórali ani Guy de Lusi-
gnan, ani templariusze i szpitalnicy, ani król francuski – pod Akką.

Synom Plantageneta nie starczały walki przeciw ojcu i różnym
wasalom. Kłócili się też między sobą. Aż w roku 1183 najstarszy syn i
dziedzic króla młody Henryk nabawił się dyzenterii i zmarł. Więc
książę Akwitanii miał w przyszłości dołączyć do swych posiadłości
Normandię i Anglię.

W cztery lata później Konrad de Montferrat posłał w świat we-
zwanie o ratunek dla Ziemi Świętej. Monarchowie i baronowie
toczyli się, by wziąć krzyż i wyruszyć na krucjatę: cesarz Fryderyk
Barbarossa, król Francji Filip – jego ojciec zmarł w roku 1180 –
hrabia Flandrii, książę Austrii i Ryszard Plantagenet.

* * *

– Nie przeczuwałem, co mnie czeka! Głośno deklarowałem, że
odzyskam Święty Grób albo zginę w tej próbie. – Król wsparł łokcie
na stole, przy którym siedział, objął głowę rękoma i wymruczał: – Nie
udało mi się... ani to, ani tamto...

Modred nie próbował przerwać tego gorzkiego żalu. Wstał i po
cichu wyszedł, a gdy zamykał drzwi, dosłyszał jeszcze jedno słowo:

– Saladyn.

Rozdział 4

NIEWIERNY MUZUŁMANIN

Arabska pustynia. Żar słońca i rozpalony piasek. Karawana wielbłądów niespiesznie wędruje od źródła do źródła, od oazy do oazy. Na czele przywódca karawany, główny sprzedawca owoców, korzeni, jedwabi, dywanów, pięknych naczyń z ceramiki, ręcznie wykuwanych w metalu ozdób. Zaledwie umie czytać i pisać. Cały owinięty burnusem; białe płótno zakrywa mu nos, usta przed kłującymi jak igiełki uderzeniami drobin piasku niesionych przez suchy, gorący wiatr. Dla niego, urodzonego wprawdzie w zamożnej rodzinie, ale przepędzającego życie razem z beduińskimi nomadami, pustynia nie jest pustką. Tu łatwiej niż w miastach i siedzibach bogatych Arabów odnajduje Boga. Kołysząc się w rytm kroków garbatego wierzchowca rozmyśla o filozofii, o religii Abrahama; o stosunku człowieka do człowieka...

Ostatni rok szóstego wieku naszej ery. Samo południe. Niespodziewane nasilenie słonecznego światła, chociaż nie jego żaru, niechaj Allah zachowa! Przywódca karawany przerwał medytację. Uczynił, co kiedy indziej uznalby za szaleństwo: spojrzął w samo serce rozżarzonej światłości.

Jadący za nim kiwali się na swych wielbłądach, drzemiąc. Odwrócił się, by popatrzeć na nich. Dla nich nie było przemiany w światłości słonecznej. Dla nich nie było...

Mahomet, przywódca karawany, kupiec, nie osądził jak Paweł z Tarsu, iż ujrzał zmartwychwstającego Chrystusa. Wizja pozostawiła mu świadomość boskiego objawienia, obietnicę wsparcia w misji, jaką miał spełnić. Olśniony, nie zdradził się przed swymi towarzyszami. Nie był człowiekiem impulsywnym. Chciał mieć czas do namysłu. Jechał dalej na czele handlowej karawany.

Wracając przez pustynię Mahomet wciąż zastanawiał się nad dziwnym zjawiskiem. Po powrocie do domu do rodziny – miał za żonę zamożną wdowę, o piętnaście lat od niego starszą – utworzył tajne stowarzyszenie. Ale gdy zaczął głosić nowy kodeks, obejmujący nie tylko stosunek człowieka do Boga, ale także życie codzienne, spotkał się z szyderstwem i prześladowaniami. Przede wszystkim wrogo się do niego odnieśli bogaci i wpływowi emirowie, których uraził twierdzeniem, iż każdy muzułmanin jest bratem drugiego muzułmanina. „Jesteście wszyscy równi... dbajcie o to, by wasi niewolnicy jedli to samo co i wy, żeby ich odzież była taka sama jak wasza... bo są oni także sługami Boga i nie wolno ich dręczyć...”

Emirowie prześladowali Mahometa, wojowali z nim, nasyłali na niego morderców. Uszedł z miasta, ukrywał się w jaskiniach, w końcu dotarł do Medyny na wybrzeżach Morza Czerwonego. Tam zgromadził wokół siebie grupę uczniów, których związał bardzo prostą przysięgą: „nie będziemy czcić innego Boga prócz Allacha, jednego jedyne Boga. Nie będziemy kraść ani cudzołożyć. Nie będziemy szerzyć oszczerstw i słuchać będziemy Proroka we wszystkim, co jest słuszne”. To ostatnie zastrzeżenie w tekście przysięgi przypomina nieco tekst hołdu składanego przez chrześcijańskich kapłanów świeckim suwerenom: lojalność, o ile nie jest niezgodna z lojalnością najpierwszą, wobec papieża.

Islam się rozszerzał. W roku 630 dawny przywódca karawan handlowych wkroczył do świętego miasta Arabów, Mekki, jako jego pan. Stał się prorokiem nowej – objawionej, jak twierdził – wiary. W dwa lata później, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, zmarł.

Arabowie mieli nową wiarę – mahometanizm – nie żądającą ofiar, nie narzucającą rytuału, nie wymagającą ołtarzy, bogatych naczyń i szat, nie pozwalającą na gromadzenie bogactwa przez organizacje ani duchownych. Świątynie, jakie budowano, były wspaniałe jedynie w swej architekturze, o liniach unoszących się wzwyż, kierujących wzrok i myśl ku niebiańskim sferom. Nie było stalli, ławek, krzesel. Wierni modlili się stojąc lub klęcząc na dywanikach. Mojżesza i

Jezusa czczono jako wielkich proroków. Mahometa zaś jako tego, który został wybrany, by przyłożyć ostateczną pieczęć Koranu na Stary i Nowy Testament. Wprawdzie idee islamu, jak wielu innych religii, zostały później wypaczone, jednakże w swej pierwotnej postaci, w czystości, prostocie i pogodzie, islam uczył żyć na co dzień na tej ziemi. Mówił ludziom, jak mają postępować, jak rozłożyć dzień, jak ciało utrzymać w czystości, kiedy się modlić, jaka modlitwa najlepiej będzie w niebie przyjęta. Niewolnicy w świecie muzułmańskim stawali się członkami rodziny, której służyli, dbano o nich w chorobie, opiekowano się ich wdowami i sierotami. Nierzadko niewolnicy dochodzili do wysokich stanowisk w rządzie i w wojsku.

Wyraz „islam” oznacza poddanie się woli Allacha, a „muzułmanin”, to ten, który się jej poddaje. „Niewierny” początkowo oznaczał tylko człowieka innej wiary. Saraceni (po arabsku „ludzie Wschodu”), którzy po śmierci proroka głosili jego nauki, nie wahali się szerzyć swej religii za pomocą miecza. W tym islam nie był odosobniony. Ale wśród jego dzikich wojowników, jak i wśród mniej zacietrzewionych z ich chrześcijańskich przeciwników, bywali ludzie, którzy potrafili okazywać miłosierdzie i wielkoduszność. Do takich należał wódz Saracenów z drugiej połowy XII wieku: Saladyn.

Salah ad-Din Jusuf ibn Ayyub był Kurdem z Armenii, urodził się w 1138 roku, a kształcił się w najślawniejszym ośrodku nauki świata muzułmańskiego – w Damaszku. W owym czasie Arabowie musieli myśleć o obronie swej religii. Saladyn został wojownikiem i zyskał sobie sławę dzięki odwadze moralnej i bojowej. Był kochającym ojcem rodziny, a także miłośnikiem książek. Gdy książęta europejscy uważali się za uczonych, jeśli posiadali tuzin książek, to wielu emirów arabskich gromadziło biblioteki liczące tysiąc i więcej tomów. Saladyn odprawiał na klęczkach przepisowe modły pięć razy dziennie we wszelkich okolicznościach, podczas wyprawy wojennej, a nawet w ataku febry. Stanowił typowy dla świata muzułmańskiego przykład oddania się sprawie. Zarazem był zwykle rycerski wobec kobiet i dzieci, słabych i chorych. Sam wypłacał za wziętych do niewoli

swoich wojowników połowę żadanego okupu i okazywał wielkoduszość biedocie każdego narodu, który znalazł się pod jego władzą. Kiedy podczas oblężenia Akki król Ryszard zachorował. Saladyn posłał mu leki i owoce.

O tym muzułmaninie europejscy rycerze mawiali, że byłby najszlachetniejszym księciem na świecie – gdyby się zgodził przyjąć chrzest Ci, którzy tak mówili, identyfikowali siebie z tym, co większość mieszkańców tego globu w ciągu historii odczuwała jako afront, zapoczątkowany już chyba przez starożytną Rzym – arogancką, samozwańczą wyższością zachodniej cywilizacji.

Okolo roku 1174 Saladyn brał udział w podbiciu Egiptu. W rok później ogłoszono go sułtanem w Damaszku. Powróciwszy do Kairu, wzbogacił to miasto uczelniami, akweduktem i cytadelą. Z kolei wypędził chrześcijan z Palestyny. Odnosił zwycięstwo za zwycięstwem. Gdy w roku 1183 zdobył Aleppo, położone w północnej Syrii, królestwo łacińskie pozostało jak wyspa, oblane ze wszystkich stron morzem islamu. Wówczas Saladyn zaproponował pokój templariuszom i szpitalnikom. Rozejm zerwał Reynald de Chatillon, pan Keraku, twierdzy i prowincji nad Morzem Martwym.

Wybitny wódz i człowiek nieprzeciętny, acz samowolny, de Chatillon zbudował flotyllę galer, przetransportował rozłożone na części statki na grzbietach wielbłądów przez pustynię i zagroził świętym miastom Arabów, Mekce i Medynie. Saladyn rozbił najeźdźców i po raz drugi zaproponował rozejm, ale de Chatillon zerwał go znowu. Zasmakowawszy w rozbojach na szlakach karawan, powszechnie dla celów handlowych uważanych za neutralne – napadł na karawanę, którą jechała siostra sułtana. Saladyn, rozwścieczony, ogłosił „dżihad” – świętą wojnę:

– Wypędzimy niewiernych do morza, odkazimy powietrze, którym oddychali!

Wiosną roku 1187 Saladyn poprowadził wojsko w liczbie ponoć stu tysięcy ludzi do Tyberiady na zachodnim brzegu Jeziora Galilejskiego. Muzułmanie walczący przeciw Frankom wierzyli, że walczą

przeciw religii fałszu i zacołania, że sami niosą pochodnię postępowego i logicznego sposobu życia świata rozkładającemu się, zgniłemu. Zarazem, podobnie jak ich przeciwnicy, spodziewali się łupów i nieraz dezercerowali, jeżeli ich oczekiwania się nie sprawdziły. Byli dzielni i odważni, ale nie znali dyscypliny w pojęciu europejskim.

Stosunek emirów do sultana z jednej strony, a z drugiej do oddziałów, przeważnie beduińskich, które ze sobą przyprowadzali, był na wół plemienny. Saladyn miewał czasem poważne kłopoty, nim zdołał narzucić swój plan bitwy poszczególnym dowódcom, a gdy już bitwa się rozpoczęła, nie mógł wpływać na manewrowanie oddziałami. Zimą było prawie niemożliwością wstrzymać wojowników: wracali do domów, gdzie doglądali gospodarki i bezpieczeństwa rodzin, często narażonych na najazdy rywali, szukających łupów i konkubin.

Wojska chrześcijańskie, w sile około dwunastu tysięcy, ruszyły przeciwko najeźdźcy pod wodzą Guya de Lusignan, króla Jerozolimy. W nużącym upale lipcowym wspięli się na wyżynę Hattin, na zachód od Tyberiady. Studnie na wyżynie okazały się wyschnięte, wodę znaleziono jedynie w skąpym, słonawym strumyku. Saraceni okrążyli Hattin. Frankowie w samym środku swego obozowiska ustawili czerwony namiot, w którym znajdowało się prawdziwe Drzewo Krzyża Świętego – drzazga, wysadzana klejnotami i oprawna w rodzaj szkatuły. Z zeschniętymi wargami, językami opuchłymi z pragnienia, rycerze chrześcijańscy drogo sprzedawali życie w straszliwej walce. Stali kręgiem, szybko się zmniejszającym, aż w końcu zostało ich tylko stu pięćdziesięciu. Al-Afdal, syn Saladyna, rzekł:

– Zwyciężyliśmy!

Ale jego ojciec odparł:

– Dopóki ten czerwony namiot stoi, jeszcze nie zwyciężyliśmy!

Al-Afdal poprowadził wówczas ostateczny atak, rozbił i podeptał końskimi kopytami czerwony namiot. W środku znaleźli Guya de Lusignan obejmującego ramionami prawdziwe Drzewo Krzyża Świętego.

Saladyn zsiadł z konia i uderzył czołem o ziemię, składając dzięki Allahowi. Im więcej krwi się leje, tym goręcej ludzie każdej prawie wiary – nawet ci wyznający Księcia Pokoju – chwalą Boga.

Kronikarz arabski przy wojsku Saladyna zanotował po tej rzezi: „Pobojowisko zasłały trupy i konający... odrąbane głowy, ramiona, nogi, pogruchtane kości, nogi wiszące na jednym ścięgnię, ciała przepołowione, potrzaskane czaszki... Cóż za cudownie odurzająca woń unosiła się nad tym zwycięstwem!”

Wśród jeńców, prócz króla Jerozolimy, znaleźli się: jego brat Gotfryd, osławiony Reynald de Chatillon, wielki mistrz zakonu templariuszy i wielu rycerzy. Przyprawiono ich przed Saladyna, który spostrzegłszy, że król Jerozolimy tak jest spragniony, iż nie może domknąć wyschniętych warg, kazał mu podać naczynie z różaną wodą.

Król pił, a Reynald spoglądał chciwie, ledwo mogąc pohamować niezdrowe pragnienie. Król podał mu naczynie z wodą. Na to sułtan porwał się z miejsca, jednym kopnięciem wytrącił naczynie z rąk Reynalda, który już je podnosił do ust, i wydobył z pochwy szablą z damasceńskiej stali.

– Nie możesz go tknąć! – zaprotestował król. – Według przepisów twojej własnej religii życie człowieka, któremu dałeś pić lub jeść, jest nietykalne...

Wściekły, Saladyn krzyknął do tłumaczy.

– Powiedzcie mu, że to on, nie ja, podał wodę temu złoczyńcy!

I jednym zamachem ściął głowę człowieka, który pohańbił jego siostrę. Guy cofnął się w zgrozie. Ale Saladyn, ochłonawszy, powiedział spokojnie:

– Ty się nie bój. Nie jest obyczajem monarchów zabijać monarchów,

Za Guya de Lusignan, wielkiego mistrza i wielu innych rycerzy wyznaczono okup. Saladyn wyprawił się dalej, by zdobyć Akkę, Sidon, Bejrut, Askalon i Gazę.

Rzeź na wzgórzach Hattin może by wystarczyła, by sprowadzić

europęjskie rycerstwo na odsiecz Frankom w Palestynie. Ale prócz tego Saladyn postępował prowokacyjnie. Wkraczając w triumfie do Damaszku włócił za sobą w prochu, przywiązaną do ogona swego konia, najświętszą chrześcijańską relikwię – Drzewo Krzyża Świętego.

Niebawem wojska saraceńskie wyprawiły się na dalsze podboje. Okrążono Jerozolimę. Miasto, zwane świętym przez Żydów, chrześcijan i muzułmanów, istniało na dwa tysiące lat przed naszą erą. Niegdyś zdobyli je Rzymianie i upamiętnili swój triumf, wznosząc tu świątynię, między innymi ku czci Bachusa i Wenery. W roku 326 chrześcijanie uzyskali dostęp do miejsca Ukrzyżowania i wybudowali kościół Świętego Grobu. Jeszcze trzysta lat, a Rzymian wypędzili muzułmanie i wzniesli między innymi sławny na cały świat meczet Kubbat as-Sachra: Świątynię Skały. W roku 1099 rycerze krzyżowi zaatakowali miasto. Bramy otwarto na znak poddania. Rycerze zhańbili siebie i swoją misję, gdyż wycięli w pień mieszkańców, mężczyzn, kobiety i dzieci, a ciała ich wywlekali przed bramy, na „stosy wysokie jak domy”.

Kiedy w dziewięćdziesiąt prawie lat później Saraceni ukazali się pod murami świętego miasta, dowódcą załogi był rycerz Balian, syn Basrana. Jerozolimy nie zaopatrzone, nie za prowiantowane. Balian wysłał więc posłów z prośbą o warunki kapitulacji. Saraceński świadek, Ibn al-Athir, zanotował odpowiedź Saladyna:

– Potraktuję was tak, jak wasi poprzednicy potraktowali muzułmanów, gdy zdobyli miasto. Mężczyzn wytnę w pień, a resztę oddam w niewolę. Złem zapłacę za złó.

Wówczas Balian osobiście udał się do sultana i w obliczu tłumu wrogich wojowników ugiął przed nim kolano. Saladyn nie dał się ubłagać.

Balian odrzucił więc prośby i wpadł w gniew, zaklinając się, że Saraceni nie zamordują ani nie wezmą do niewoli ani jednego chrześcijanina:

– Mieszkańcy wzbraniłi się przed walką, ponieważ żywili na-

dzieją na kapitulację na takich warunkach, jakich wielu innym miastom udzieliłeś. Boją się śmierci, chcą żyć. Ale skoro się dowiedzą, że śmierć jest im pisana tak czy tak, klnę się na Boga, który nas słucha, że pozabijamy sami kobiety i dzieci, podpalimy nasz dobytek i nie zostawimy dla was ani jednej monety, ani źdźbła łupów! Nie znajdziecie kobiet, byście je zaciągnęli w niewolę, ani mężczyzn, byście ich zakuli w kajdany! Zburzymy Świątynię Skały i meczet al-Aksa i wszystkie święte miejsca! Zarzniemy wszystkich muzułmanów za naszymi murami: jest ich pięć tysięcy! Staniemy przeciw wam i będziemy walczyć tak, jak walczą ci, co już nie mają nic do stracenia. Za jednego naszego odda głowę wielu waszych. Zginiemy wolni!

Poruszony tym uniesieniem chrześcijańskiego rycerza, Saladyn poszedł do namiotu, by się naradzić z emirami. Wyszedłszy ponownie, oznajmił:

– Przyjmę waszą kapitulację. Chrześcijanie muszą wyjść z miasta pieszo, nie zabierając ze sobą nic, czego nam nie pokażą. Będą jeńcami na naszej łasce i niełasce: wykupią się za wyznaczoną cenę.

Za każdego mężczyznę w mieście – obliczono ich na sześćdziesiąt tysięcy – bogatego czy ubogiego, naznaczono okup dziesięciu sztuk złota, za każdą kobietę pięć, za dziecko dwie. Po zapłaceniu okupu mogli iść, dokąd by chcieli. Kto nie zapłacił w ciągu czterdziestu dni, miał być uważany za niewolnika. Około osiemnastu tysięcy biedaków nie było w stanie się wykupić. Szlachetny Balian wyłożył za nich z własnych funduszy trzydzieści tysięcy sztuk złota.

Emirowie Saladyna byli równie chciwi, jak to się często zdarzało rycerzom krzyżowym. Zatrzymali sobie lwią część okupów i jak pisał Ibn al-Athir: „tylko bardzo nieznaczna częśćka tych pieniędzy trafiła do sułtańskiego skarbcza”.

Ze szczytu muzułmańskiej Świątyni Skały zerwano wielki złoty krzyż, który chrześcijanie tam umieścili, przy wtórze krzyków radości muzułmanów i jęków chrześcijan, jacy tam jeszcze przebywali. Ci chrześcijanie to byli przeważnie starcy, których Saladyn zwolnił od okupu, a później kazał ich utrzymywać na własny koszt.

Pielgrzymów dopuszczano do odwiedzania Grobu Świętego na warunkach, które wielu przyjmowało, chociaż były odstrasżające. Za karę za zdrady krzyżowców w roku 1099 pielgrzymi mogli się modlić tylko pod razami biczów, wymierzanymi przez imamów.

Współcześni tym wydarzeniom kronikarze europejscy świadczyli, że po kapitulacji Jerozolimy niczego nie zburzono ani nie zrabowano. Natomiast nie wiadomo na pewno, czy hasło Konrada de Montferrat wzywające do pomsty za saraceńskie konie bezczeszczące Święty Grób oparte było na prawdzie, czy fikcji. W każdym razie odniosło pożądany skutek: wzburzyło chrześcijan, skłoniło książąt i rycerzy do wzięcia krzyża na następną wyprawę.

Rozdział 5

NA NIEBIE KOMETA

Do Wiednia, pod tym czy innym pretekstem, zjeżdżało wielu podróżnych z całej Europy. Cesarz, znając nieposkromioną odwagę, ba, nawet zuchwałość stronników króla Ryszarda, bał się, że nim zdoła odpowiednio wykorzystać szczęśliwy traf, który mu dał w ręce tak cennego więźnia, ktoś go odbije i uwolni z zamku Modreda. Rozkazał więc księciu Leopoldowi przenieść króla Ryszarda do innej fortecy, położonej wysoko w górach, na odludziu, gdzie pojawienie się obcych można było łatwo zaobserwować. Cesarz przydzielił stu własnych, zaufanych rycerzy do pilnowania więźnia podczas podróży. Modreda wysłano również, by nadal pełnił straż. Urywki z jego rozmów z królewskim więźniem, powtórzone księciu Leopoldowi i przekazane cesarzowi, mogły się przydać w politycznych negocjacjach. Cesarz zażądał dalszych informacji.

Modred znalazł się w obliczu trudnego dylematu. Głęboko lojalny wobec swego zwierzchnika i feudalnego pana, zarazem przywiązał się do więźnia i z niechęcią myślał o zdradzaniu jego zamierzeń. Uznał, że od tej pory będzie przekazywać księciu Leopoldowi tylko to, co mogłoby mu być użyteczne, ale przemilczy wszystko, co by szkodziło Ryszardowi w oczach cesarza, kierującego teraz całą tą nierycerską aferą.

Margot uparła się, że pojedzie razem z ojcem do górskiej twierdzy. Dowodziła, że on potrzebuje jej starań i troskliwości, a istotnie była troskliwą córką i miała staranie o ojca. Ogromna część nowego więzienia, od dawna nie zamieszkała, popadła w ruinę. Przebywał tu jeden sługa i oddział straży; tylko w razie groźby wojennej obsadzano twierdzę pełną załogą. Nie było też takich wygód jak w zamku Modreda. Ścian nie zasłaniały żadne opony, na kamiennej podłodze

leżała tylko jedna trzciniowa mata, a łóżko, stół i taborety bardziej pasowały do izby wartowników niż do królewskiej komnaty. Ryszard na to nie narzekał. Wygody osobiste nigdy dla niego wiele nie znaczyły, lubił tylko czystą pościel, a mógł polegać na Modredzie i Margot, że o to się zatroszczą. Górská pustelnia miała swoje zalety. Przechadzki po murach dostarczały widoków na pokryte śniegiem szczyty i zielone doliny gdzie można było dostrzec wieśniaków krzątających się przy swoich zajęciach, wokół domów i gospodarstw albo przy wypasaniu stad owiec i kóz.

Margot nadal posługiwała królowi. Mimo twarzy zawsze szczelnie zasłoniętej welonem jej obecność pobudzała go, prowokowała. Czasem niby przypadkiem udało mu się musnąć jej ramię lub udo. Wzmoczone pożądanie nie dawało mu później zasnąć. Kilkakrotnie próbował odzywać się do niej, ale ona odpowiadała tylko lekkim, ledwie zauważalnym gestem głowy w stronę halabardników, stróżujących u drzwi. Czy go odrzącała z osobistej niechęci? Czy też może pozwoliłaby na swobodniejszą intymność w innych warunkach? Niecierpliwił się, chciał znać odpowiedź. Pewnego dnia, gdy Margot nakrywała do stołu, król podszedł do dwóch strażników, trzymając po złotej monecie w każdej z otwartych, wyciągniętych dłoni. Miał dość pieniędzy przy sobie, gdy go wzięto w karczmie, a Modred zwrócił mu też kiesę znaną przy chłopcu zabranym z targu. Ale strażnicy, uzbrojeni jak do bitwy, za całą odpowiedź tylko skrzyżowali halabardy przed ciężkimi, nabijanymi ćwiekami drzwiami. Król wzruszył ramionami, Margot nie zdradziła się żadnym gestem. Ale przy następnym posiłku znalazł pod swoim talerzem kartę z paru słowami skreślonymi kobiecą ręką.

„Zostaw halabardników na mojej głowie, miłośniwy Panie. I błagam, bądź cierpliwy.”

Budząc nadzieję, te słowa nieomal nie przekreśliły resztek cierpliwości królewskiej. A przecież Ryszard nie wiedział, do czego tak mu spieszo. Te muślinowe welony mogły osłaniać twarz brzydką, może nawet dziobatą po ospie? No cóż, twarz to jeszcze nie wszystko,

a ciasno opięte suknie, jakie nosiła, zdradzały ponętne kształty. Ile mogła mieć lat? Modred był o kilka lat starszy od swego więźnia, więc jego córka liczyła pewno poniżej trzydziestki. Ryszard wiedział, że ojciec wydał ją za człowieka dużo starszego i bardzo bogatego, który wkrótce zmarł. Zamężną była krótko, ale to chyba wystarczyło, by rozbudzić jej zmysły. Gdyby tylko odsłonięte lica nie okazały się zbyt odstręczające... Przez kilka następnych dni Margot nie zdradzała się ani słowem, ani gestem.

Tymczasem Modred zachodził częściej niż dawniej. W tej odludnej twierdzy mało miał sposobności do pogawędki, chyba tylko z córką, która nowin nie słyszała, a zresztą większą część czasu przepędzała na różnych kobiecych zajęciach i w kompanii swej niemłodej już towarzyszki. Prócz nich byli tylko milczący, pokorni słudzy i strażnicy o niegolonych obliczach.

– Mówiłeś mi, miłościwy panie, że wzięłeś krzyż przed pięcioma laty. Ale były znaczne opóźnienia, o ile wiem, nim wyruszyłeś do Ziemi Świętej...

– Mój ojciec się do tego przyczynił i mój brat Jan, i król Francji, i – och, wielu innych też. Rycerze Filipa wciąż najeżdżali ziemie andegaweńskie. Ojciec nie należał do tych, którzy by to potulnie przyjmowali. Odrzucił suwerenność Filipa, wypowiedział mu wojnę, która z przerwami ciągnęła się aż do lata roku 1188. Dowodziłem rycerzami mego ojca. Sławny w wielu turniejach William de Barres wyzwiał mnie na pojedynek. Strąciłem go z konia, poddał mi się. Ale Palestyna mnie pociągała. Moja matka, którą odwiedziłem w jej niewoli, przestrzegła, że pod moją nieobecność ojciec odda część albo i całe moje dziedzictwo Janowi. Więc zażądałem, by mnie dziedzicem wszystkich ziem Plantagenetów oficjalnie ogłosił. Odmówił...

– Pojmuję, dlaczegoś jeszcze nie wyjeżdżał z Europy, wasza królewska miłość. Ale z pewnością zwrócenie się o pomoc, jak uczyniłeś, do króla Francji stanowiło prowokację...

– I nie przystało posłusznemu synowi! – parsknął śmiechem

Ryszard. – Mea culpa. Ale nie miałem wyboru. Nie mogłem bez końca czekać na zmiłowanie mego ojca – albo śmierć. Wiedziałem, że Filip będzie zachwycony, mogąc naszą rodzinę wewnętrznymi klótniami osłabić. A co ostatecznie z tego wyniknie, to się zobaczy później – po zwyciężeniu Saracenów. Tymczasem jeden legat papieski i trzech francuskich biskupów próbowało mediacji, bym w końcu mógł wyruszyć na tę odwiekaną wyprawę do Palestyny. Zwołano naradę w Bonmoulins. Powtórzyłem moje żądanie; mój ojciec powtórzył odmowę. Musiałem więc udowodnić, jak bardzo jestem jego synem. W obliczu wszystkich zebranych na naradzie rzuciłem mój miecz pod nogi ojcu, przeszedłem przez całą salę i klękając przed Filipem złożyłem mu hołd lenny, którego ojciec mu odmówił...

– Tak, wiele o tym opowiadano. Niektórzy mieli ci to za złe, miłościwy panie.

– Wiem. A niech tam! Później sam czułem się winny. Ale podówczas udała mi się ta hazardowa gra. Wielu rycerzy przeszło na moją stronę. Zorientowali się, że stary król nadto przechylił szalę przeciw sobie. Chcieli być z wygrywającym. Zapamiętałem każdego z nich dobrze... Żałowałem ostatecznego rezultatu, a jednak, gdyby mi przyszło po raz drugi znaleźć się w takiej samej sytuacji, chyba bym znowu tak samo postąpił jak wtedy...

Modred, znając tragiczny rezultat, o którym król mówił, tylko westchnął.

Ryszard i Filip francuski wyruszyli z wojskami przeciw Henrykowi i zdobywszy jedną po drugiej kilka twierdz, otoczyli jego główną kwaterę w Le Mans. Henryk wymknął im się z rąk z jednym jedynym towarzyszem, swoim synem Janem. Król Anglii już od dość dawna chorował, wyczerpany trudami wojennymi, licznymi kochankami i kłopotami rządów, których nie chciał podzielić z nikim. Kiedy następnie utracił jeszcze Tours, skapitulował ostatecznie. Gdy przyjechał do Filipa, by ponowić hołd lenny, musiano go podtrzymać na koniu. Król Francji obłowił się przy sposobności: zażądał

od niego dwudziestu tysięcy marek i rozkazał mu uznać Ryszarda za swego jedynego dziedzica. Dnia 6 lipca 1189 roku król Henryk słabnącą ręką nakreślił rozkazy do wszystkich podległych mu baronów, na kontynencie i w Anglii, nakazując im, by złożyli hołd lenny jego najstarszemu pozostałemu przy życiu synowi, uznając go za pana i władcę. Nim umarł – a miał dopiero pięćdziesiąt sześć lat – ucałował Ryszarda na znak pokoju i pojednania.

– To była tylko formalność – zauważył Ryszard. – Ojciec nie przebaczył żadnemu z nas. Do końca nas wszystkich przeklinał. Wcale mu się nie dziwię. W jednym z pałaców miał malowidło, wykonane na jego osobisty rozkaz, na którym wyobrażono orlęta żerujące na własnym rodzicu: jedno uczepiło się jego szyi, czekając chwili, by mu wydziobać oczy. Lubił objaśniać pytającym, że te orlęta wyobrażają jego synów, którzy nigdy go prześladować nie przestają...

– A to, które czekało, by mu zadać „coup de grâce”...?

– Nie, nie ja. Ojciec kończył objaśnienia słowami: „A najmłodszy z moich synów, ten którego teraz z taką czułością obejmuję, kiedyś znieważył mnie najgorzej i na większe niebezpieczeństwo naraził niż inni...”

– Ale czy tak się stało?

– Tak. Na łożu śmierci ojciec zażądał od swego wiernego szambelana, by wymienił imiona tych, którzy go najbardziej nienawidzili... by im przebaczyć czy też by ich przekląć przed śmiercią, nie wiem... Pierwszy na liście był Jan. To był sroższy cios nawet od upokorzenia, którego przeze mnie od Filipa zaznał. To było wydziobanie oczu.

– Jakim sposobem dał się tak oszukiwać?

– Okropny miał charakter... wybuchy gniewu, zawziętość i upór... ale przy tym ojciec był bardzo uczuciowy. I jak inni... pamiętasz Jakuba ze Starego Testamentu i jego Beniamina?... miał słabość do swego najmłodszego. Jan łasił się do niego i schlebiał mu, a mój brat potrafi być bardzo ujmujący. Trudno mu się oprzeć, kiedy chce być miły. Ja dążyłem do tego, co za należne mi z prawa uważałem,

jawnie, otwarcie. Natomiast Jan intrygował, spiskował potajemnie przeciw ojcu, jak próbował od czasu do czasu spiskować przeciwko każdemu z nas, nawet przeciw naszej matce. Myśmy się wszyscy kłócili ze sobą i walczyli, ale w głębi serc zachowaliśmy uczucie więzi rodzinnej. Tyłki nie Jan. On nie ma żadnych uczuć dla nikogo, prócz siebie samego.

– A gdy ty, panie, wstąpiłeś na tron, czy zerwałeś z najmłodszym bratem?

– Nie. Mówiłem ci już szanuję więzy rodzinne. Niewiele dla niego zrobiłem, ale powiadano, że i tak niebezpiecznie dużo...

* * *

Henryk Drugi sam był winien większej części swoich kłopotów, sam się do nich przyczynił, uparcie trzymając się władzy, każdej jej cząstki, każdego nawet symbolu. A jednak był człowiekiem o niezwykle silnej indywidualności i wielkich talentach. Mało który z angielskich monarchów uczynił tak wiele dla swoich poddanych. A w dodatku to, co uczynił, miało być trwałe. System wymiaru sprawiedliwości i opodatkowań, który on zapoczątkował, po dziś dzień jest podstawą ustroju angielskiego.

W swej ostatniej woli król Henryk zapisał wielkie dary zakonom templariuszy i szpitalników, innym opactwom i klasztorom, a także na pomoc dla trędowatych. On też ufundował posagi dla dobrze urodzonych, a niezamożnych kobiet, by mogły pojąć odpowiednich mężów.

– Święty Piotr z pewnością będzie pamiętał o cnotach i dobrodziejstwach, i postara się, by przeważyły takie impetyczne wybuchy, jak ten, który doprowadził do zabójstwa Becketa, albo inny, po spaleniu przez króla Filipa miasta, w którym ojciec się urodził... Wzniósł wówczas zaciśnięte pięści do nieba i krzyknął: „Ponieważ zabrałeś mi miasto, które najbardziej ukochałem, ja ci zabiorę to, co Ty we mnie kochasz najbardziej...”

Po pogrzebie Ryszard udał się do Normandii. W Rouen został księciem Andegawenii i złożył z tego księstwa hołd Filipowi. Dwaj królowie przysięgli sobie, że wyruszą do Palestyny w poście następnego roku. Z kolei Ryszard pośpieszył uwolnić swoją matkę, Eleonorę, z jej szesnastu lat trwającej niewoli. Brat Jan wcale nie zasługiwał na miano, z którym miał przejść do historii – Bez Ziemi. Ojciec zapisał mu kilka zamków w Andegawenii, a w Anglii Nottingham i Marlborough oraz hrabstwo Kornwalii. Ulegając namowom matki, Ryszard obecnie dał mu jeszcze w zarządzanie sześć hrabstw angielskich, z których mógł czerpać zyski, dotąd płynące do skarbcza korony. Jednakże nie dopuszczano go do Rady Regencyjnej, ustanowionej na okres wyprawy króla do Ziemi Świętej.

– Wierni rycerze mego ojca przyszli wszyscy prosić o przebaczenie, ponieważ walczyli przeciw mnie. Nie potrzebowali żadnego przebaczenia. Wierność jest cnotą rycerską, należy cenić ją i nagradzać. Przyjąłem hołdy i zaciągnąłem ich pod znak krzyża. Ale odtrąciłem rycerzy, którzy zdradzając swego prawego króla, sprzymierzyli się przeciw niemu ze mną...

– Ależ czy tak było sprawiedliwie, miłościwy panie?

– I sprawiedliwie, i rozsądnie. Ci, którzy zdradzili jednego pana, zdradzą drugiego, byle się nadarzyła korzystna sposobność. Zdradzą nawet Pana Zastępów.

Okrzyku: „Król umarł – niech żyje król!” nie słyszano jeszcze w XII wieku w Anglii. Wprawdzie pochodzenie i wola poprzedniego suwerena wywierały wpływ na wybór następnego, ale jeszcze minie sto lat, zanim system dziedziczenia korony będzie w pełni uznany. Ryszard nie został, według obyczaju kontynentalnego królem z chwilą śmierci swego ojca. Miał panować od momentu koronacji, kiedy to najważniejsi ludzie w królestwie formalnie wybiorą go przez aklamację. Następca tronu pośpieszył więc do Anglii najprędzej, jak to było możliwe, po jego instalacji w Normandii. Swoje przybycie do Anglii poprzedził, śląc rozkaz ogłoszenia powszechnej amnestii. Ten akt łaski, który miał mu zyskać popularność, nie był przyjęty bez

zastrzeżeń. Kronikarz, William z Newburga, notował, że „kryminaliści wyszli z więzień, by sobie tym śmieiej poczynać na przyszłość”.

Koronacji, w obecności królowej matki, dokonało czterech arcybiskupów: z Canterbury, Rouen, Dublina i Trewiru. Po przeprowadzeniu elekcji Ryszard ofiarował na ołtarz opactwa westminsterckiego pallium i jeden funt złota. Następnie złożył przysięgę, że będzie rządzić swoim narodem w myśl zasad Marka Aureliusza: „jednakowe prawo dla wszystkich, równe przywileje i równe swobody, poszanowanie wolności rządzonych...” Różni monarchowie rozmaicie interpretowali tę przysięgę – albo jej dotrzymywali, albo nie, ale pozostała ona ideałem monarchii, jak i dziś jest ideałem demokracji.

Z kolei odbyło się namaszczenie olejami świętymi, do której to ceremonii Ryszarda rozdzielano z szat, do koszuli. Mało kto widział go tak półnagięgo: po opactwie przemknął szmer zachwyty w obliczu tej wspaniałej tężyzny fizycznej, tych mocarnych, rozrośniętych członków. Głowę polano mu świętym olejem zmieszonym z balsamem, używanym jedynie przy chrzcie, bierzmowaniu i wyświęcaniu. Pierwszych dwóch sakramentów Ryszardowi już udzielono: rytuał koronacji równał się wyświęceniu na sługę Bożego.

Przyodziany w uroczyste szaty, stułę i płaszcz koronacyjny, Ryszard podszedł do ołtarza, wziął z niego koronę i wręczył ją arcybiskupowi Canterbury. Umieszczono ją na głowie Plantageneta; na jego palcu pierścień, w dłoni berło. Dopelnieniem rytuału była msza, podczas której wszyscy obecni przystępowali do komunii, przyjmując ją tylko w jednej postaci, podczas gdy Ryszard, a z nim biskupi przyjęli ją pod dwoma postaciami. Suwereni byli nie tylko świeckimi władcami. Dla poddanych byli przedstawicielami Boga – koncepcja analogiczna do dawnych pogańskich pojęć króla, jako Boga-Słońca.

Ucztę koronacyjną zamącił niespotykany harmider. Żydzi, pragnąc uczcić swego króla, zgromadzili się w Londynie, by mu ofiarować bogate dary. Jak gdzie indziej w Europie, Żydzi w Anglii pożyczali pieniądze koronie, a w zamian korzystali z królewskiej protekcji. Ich

delegaci ośmielili się wejść aż na salę, gdzie zasiadł do uczyty król z prałatami, lordowie i rycerze. Wartownicy bez ceremonii wypędzili deputację żydowską. Wówczas wśród tłumnie zebranych dookoła pałacu gapiów zerwały się okrzyki: „Żydzi grozili królowi...” „Król kazał ich wygnać...” „Król pozwolił ich złupić!” Nie było w tym za grosz prawdy. Ale synagogi splądrowano, wiele domostw żydowskich podpalono. Tłuszcza wyrwała się spod wszelkiej kontroli i aż do rana całe miasto było na jej łasce i niełasce.

– Zleciłem pierwszemu sędziemu... Glanville się nazywał... stłumić te zamieszki – Ryszard tłumaczył się gęsto, opowiadając o tym Modredowi. – Ale on nie rozporządzał dostatecznymi siłami.

– A cóż twoje wojsko?...

– Nie mogłem ich rzucić przeciw miastu. Zamierzając opuścić kraj najprędzej, jakby się dało, nie mogłem zostawić po sobie miana króla, który wydał żołnierzom rozkaz walki przeciw poddanym. To by było zaproszeniem do rebelii pod moją nieobecność. A nie brakowało ludzi, którzy tylko czekali sposobności, by taką rebelię wzniecić.

I po stłumieniu rozruchów Ryszard okazał londyńskim winowajcom szczególną pobłażliwość. Kazano im tylko zapłacić za mienie chrześcijan przypadkowo zniszczone. Żydzi nie otrzymali odszkodowań za swoje dużo poważniejsze straty. W rezultacie zamieszki rozszerzyły się na cały kraj, wzniecane przez rycerzy, którzy chcieli rabunkiem wyposażyć się na wyprawę krzyżową, i przez miejscową szlachtę, zadłużoną u żydowskich lichwiarzy. Do największych rozruchów doszło w Yorku. Biało odziany pustelnik poprowadził ataki na żydowskie domostwa. Za poradą rabina niektórzy Żydzi, miast ginąć z rąk rozwydrzonego tłumu, sami pozabijali swoje żony i dzieci i podpalili własne domy wraz z całym dobytkiem, znajdując śmierć w płomieniach. Tych, którzy ocalili, mordował rozwścieczony tłum. Zważywszy, z jaką surowością kiedy indziej, zwłaszcza na ziemiach andegaweńskich, Ryszard tłumił rozruchy przeciw sobie i swoim wasalom, to niezwykle, katastrofalne w skutkach pobłażanie stanowi poważną plamę na początkach jego panowania.

* * *

– Przez całe życie miałem nadzieję – mówił Modred – że będę mógł kiedyś odwiedzić Anglię. Zetknąłem się tylko z poselstwami z tego kraju i rycerzami stamtąd. Chciałbym poznać jej lud, zobaczyć, jak żyje.

Ryszard wzruszył ramionami i powiedział ze śmiechem.

– Mógłbym ci zawtórować. Anglia jest mi obca. Nie znam angielskiego języka. Do czasu wstąpienia na tron byłem tam tylko dwukrotnie, za każdym razem krótko. A po koronacji zostałem zaledwie przez cztery miesiące. Kiedy wydostanę się wreszcie zza tych krat... – gniew wezbrał w nim nagle, uderzył w stół obu pięściami – ufam, że będę miał czas i sposobność lepiej poznać moje własne królestwo. Chociaż... nie wiem. Czyny wojenne zawsze mi były bliższe od rządów, polityki, objazdów ziem... Wątpię, czy potrafię zdziałać dla Anglii tyle dobrego co mój ojciec...

– Wojowników prędeż otacza sława, miłościwy panie, anizeli rządnych władców. Minstrele i bardowie opiewają wojny ku zachwytowi ludu: nie układają ballad o prawach i administracji. I kronikarze lubują się w opisach wiktorii.

– Pięknie to powiedziałaś i prawdziwie. A Anglicy, chociaż nudni, wciąż zajęci pracą, handlem, bogaceniem się – nie bez zalet są w moich oczach. Mają pieniądze...

– A rycerze?

– Tak, ale rycerzy nie brak w Normandii ani w Akwitanii, ani na ziemiach andegaweńskich. Pieniądze! Jakżeż ja wycisnąłem tych Anglików! – Ryszard odrzucił w tył głowę i zanosił się od śmiechu, mało nie spadł ze stołka. – Skomleli jak zarzynane prosię. Nałożyłem podatki na ich ziemię i na dobytek ruchomy, od szczytów społecznych aż prawie do samych dołów. Przetrzęsnałem nabite złotem kiesy kupców. Oni bądź co bądź skorzystaliby na tym, gdybym usunął saraceńską barierę w ich handlu z Bagdadem, Aleppo i Egiptem. Sprzedawałem monopole, urzędy, prawa leśne korony – i moją łaskę.

Usuwałem szeryfów i kazałem im płacić grzywny, a później nowych mianowałem i kazałem im płacić za nominacje. Sprzedawałem dispensę od przysięgi wzięcia krzyża tym, którym się odechciało iść na wyprawę. Zrobiłem nowego hrabiego ze starego klechy: biskup Durham wolał kupić tytuł hrabiego, niż pożeglować ze mną. Jeszcze dodatkową korzyść z tego wszystkiego miałem: ci, którzy za grubsze sumy kupili sobie urzędy, tytuły i przywileje, będą się starać o zachowanie status quo, miast o buntach myśleć. Z drugiej strony Glanville chciał się wybrać do Palestyny, więc kazałem mu zdać przeważną część jego fortuny, by go od pełnienia jego obowiązków jako najwyższego sędziego zwolnić.

– Jak słyszałem, wasza królewska miłość nie szczędziłaś własnej kiesy ani własnych posiadłości...

– Sprzedałem wszystko, co posiadałem, i byłbym sprzedał cały Londyn, gdybym mógł znaleźć nabywcę. William Longchamp, biskup Ely, kupił kanclerstwo, najpierwszy urząd w kraju, za trzy tysiące funtów. Hubert Walter, dziekan Yorku, kupił biskupstwo Salisbury. O, ten to wspaniały człowiek. Zapłaciwszy za biskupstwo, nadal nalegał, że będzie mi towarzyszył do Ziemi Świętej.

– Czyś, wasza królewska miłość, nie sądził, że dajesz przykład, który twoi następcy na tronie mogliby naśladować w celach mniej szlachetnych od twego?

– To nie moja rzecz. Ci, którzy przyjdą po mnie, będą sobie sami musieli własną drogę torować.

Rycerze, którzy się wybrali na wyprawę krzyżową, uczynili to z powodów bardzo rozmaitych, podobnie jak ich saraceńscy przeciwnicy. Wielu porwało uniesienie, zapał religijny, fanatyzm, które, gdy nie są związane z zasadniczo słusznymi postawami, czasem wyrządzają ludziom tyle krzywd, ile najgorszy bandytyzm albo jawny ekspansjonizm terytorialny, polityczny czy handlowy. Inni krzyżowcy życzyli sobie tylko ucieczki od domowej nudy, despotycznych rodziców, jędzowatych żon, nachalnych kochanek, a nawet od prawa. Prości żołnierze szli z rozkazu w oddziałach feudalnych panów albo

też uciekali od pańszczyzny z błogosławieństwem kościoła i pod chwalebnym pretekstem chęci zabijania Saracenów.

* * *

Któregoś dnia Modred przyniósł swemu więźniowi lirę, by mu ulżyć w nudzie wlokących się dni. Szczerze wdzięczny, Ryszard zauważył:

– Żaden strażnik więzienny nie okazałby mi tyle względów co ty. A jednak jest pewna łaska, którą może nad wszystkie inne ceniłbym...

– Zrobię, co w mojej mocy, miłościwy panie. Ale jestem związany rozkazami cesarza, przekazywanymi mi przez księcia, mego pana.

– Zaiste, wierny z ciebie rycerz. Wiem, jak trzeba cenić takich, nawet gdyby byli moimi nieprzyjaciółmi, a ciebie do nich nie zaliczam. Ale to chyba nic trudnego. Chciałbym z moimi druhami, Sir Thomasem Moultonem i Sir Fulkiem D'Oyly, się spotkać...

– Tego żądania spełnić nie mogę, ani też nie potrzebuję odmawiać. Obu tych rycerzy przeniesiono do trzeciego zamku, również bardzo odległego.

– Niechajby aniołowie przeklęli twego księcia, a demony go dręczyły! Ale czegoż się spodziewać po sercu tak czarnym, iż trzyma w więzieniu brata pielgrzyma? Moi dwaj ulubieni, umyślnie wybrani...

– Wasza królewska miłość, proszę, nie mów tak o moim panu w mojej obecności. Co do twoich rycerzy... rozumiem, że ulubieni, ale co znaczy wybrani?

– Umyślnie wybrani – powtórzył Ryszard. – Opowiem ci, jak to było. Kiedy gromadziłem moje angielskie wojska na wyprawę do Palestyny, kazałem w Salisbury urządzić wielki turniej. Ogłoszono, że trzech nieznanych rycerzy będzie walczyć o miano najlepszego w kraju. Pierwszego dnia pojawił się jeden z tych trzech, w czarnej zbroi, z zamkniętą przyłbicą, na hełmie miał kruka z otwartym dziobem – symbol trudu i cierpienia – na szyi zawieszony dzwonek, symbolizujący kościół. Jego włócznia mierzyła pięć stóp długości. Trzech przeciwników pokonał, zabijając jednego z nich, a i wierzchowca także. Zwycięzca nie czekał na nagrody i oklaski, lecz konia zawrócił i znikł w lesie. Następnego dnia walczył drugi nieznajomy, w

czerwonej zbroi, na hełmie miał psa z długim ogonem, oznaczającego Saracena, a za broń ogromną maczugę. I znowu trzech przeciwników strącił z koni, a jednemu hełm rozbił. Ostatniego dnia przyjechał rycerz na śnieżnobiałym koniu, w białej zbroi z krzyżem na ramieniu i z gołębiem, znakiem Ducha Świętego na hełmie. Tym razem ostatni z przeciwników przyczynił mu niemało trudu, zanim się w końcu poddał...

– Trzej nieznanymi rycerze byli oczywiście jednym i tym samym królem Anglii – przerwał mu Modred.

– A dwaj, którzy najdzielniej ze mną walczyli, ten z rozbitym hełmem i ten ostatni, to D'Oyly i Moulton. Uchyliłem przyłbicę, dałem się poznać i wybrałem tych dwóch, jako moich najbliższych towarzyszy przeciw niewiernym.

Pocieszenie po przykryj wieści o jego towarzyszach spotkało Ryszarda jeszcze tego samego dnia. Wieczorem, o godzinę później, niż Modred zwykł przychodzić na pogawędkę, kiedy Ryszard nucił swym głębokim pięknym głosem do wtóru liry – w drzwiach obrócił się klucz. Weszła Margot, zamknęła za sobą drzwi i unosząc welon, uśmiechnięta podeszła bliźutko do zachwyconego, uradowanego króla. Nie potrzebował bać się chwili odsłonięcia welonu. Zobaczył jasne włosy, oczy ciemne, buzię okrągłą z małym noskiem, szerokie, pełne wargi – piękność! Zachwyt i pożądanie wezbrało w piersi Ryszarda z taką gwałtownością, że na chwilę oniemiał i znieruchomiał. Stał zapatrzony, a w ręku nadal trzymał lirę, jak przed chwilą, kiedy sobie na niej akompaniował.

– Mówiłam: cierpliwości! – powiedziała cicho Margot.

Wciąż bez słowa odłożył instrument, ogarnął ją ramionami, a gdy jej ręce objęły go za szyję, zaniósł ją na łóżko. Niecierpliwymi, niezręcznymi z pośpiechu palcami rozbierał ją, rozsznurowywał staniczek. Na podłogę z brzękiem wypadł klucz. Nie zwrócił nań uwagi. Ale spieszenie zdzierając z niej suknie – nagle pojął. Margot była zakuta w ten straszliwy przedmiot, dorównujący wszystkim torturom średniowiecza: żelazny pas cnoty. Okropieństwo to posia-

dało małe, wystające kolce, poowijane szmatkami dla ochrony jej ud i podbrzusza. Pas cnoty! Wbrew całemu swemu podnieceniu, Ryszard odstąpił o krok i wybuchnął śmiechem.

– Moja towarzyszka nosić mi to każe – objaśniła z uśmiechem Margot. – Ze względu na obecność rozwiązłego żołnierstwa. Dla bezpieczeństwa. Ale ona śpi co noc, jak zabita... Wykradłam jej klucz.

Wiele nocy spędzili na wspólnej rozkoszy. Gdy wyczerpani spoczywali obok siebie, Margot, jak jej ojciec, nieraz dopytywała się swego królewskiego kochanka o jego życie. A tuż przed świtem wymykała się po cichu.

Tej pierwszej nocy, gdy zaspokojeni leżeli obok siebie, Ryszard powiedział:

– Jesteś wspaniała, cudowna. Ale jak sobie poradziłaś z wartownikami?

– Gruba łapówka. Jedna złota moneta, jak się przekonałeś, miłościwy panie, nie starczyła. No i dla pewności zagroziłam, że każę im języki uciąć.

Ryszard śmiał się:

– Kij w rękę skuteczniej od marchewki popędza osiołka!

Rozdział 6

CZY PIELGRZYMKA?

Dnia 2 lipca 1190 roku królowie Francji i Anglii wyprawili się wreszcie do Palestyny. Dwie oddzielne floty rozwinęły żagle i wyruszyły do krain śródziemnomorskich, kolebki zachodniej cywilizacji, od przeszło czterech tysięcy lat uznającej się za pępek świata.

Cesarz Barbarossa wyruszył już poprzednio – lądem przez ziemie Węgrów i Bułgarów. Bezwzględny i okrutny, postanowiwszy sterroryzować wszystkich dowodami swej potęgi, kazał łupić i palić wieś greckich wieśniaków tak, iż powiadano, że więcej ucierpeli od chrześcijańskich pielgrzymów niż kiedykolwiek od Turków. W przeprawie przez góry Taurus stracił połowę swych wojsk, liczących ponoć na początku wyprawy sto tysięcy ludzi. Marli z wyczerpania i dezertowali. W końcu, zapominając może, że dobiega już siedemdziesiątki, cesarz po obfitym posiłku, zmorzony upałem, zapragnął się orzeźwić kąpielą w niewielkiej górskiej rzece. Serce nie wytrzymało. Po jego śmierci większość wojsk zawróciła z powrotem do Niemiec. Tych, którzy jeszcze szli naprzód, zdziesiątkowała w Antiochii epidemia dżumy. Żałosne resztki dowlokły się do wybrzeży Lewantu i dołączyły do Guya de Lusignan pod Akra.

Na flotę Ryszarda złożyło się sto sześć bardzo różnorodnych statków. Każdy wiozł rycerzy, ich wierzchowce – najmniej po dwa na każdego – oraz ich giermków i knechtów. Na najmniejszym ze statków pomieściło się czterdziestu krzyżowców; na większych po stu i więcej. Aby utrzymać dyscyplinę na pokładach, Ryszard opracował i promulgował „artykuły wojenne”, uważane za podstawę wszystkich przyszłych regulaminów wojskowych aż do naszych czasów, chociaż późniejsze pokolenia, uważające się za bardziej humanitarne, złagodziły wymierzane kary. Celem było narzucenie dyscypliny, po-

wściągnięcie kłótni i złodziejstw, nagminnie występujących w słoczanej masie mężczyzn obcych sobie nawzajem, pozbawionych więzów normalnego codziennego życia we własnej wsi lub mieście – a częstokroć świeżo wypuszczonych z więzienia.

Jeżeliby ktokolwiek zabił współtowarzysza na statku, miał być przywiązany do trupa i razem z nim wrzucony w morze. Jeżeli na łądzie – miał być razem z trupem żywcem pogrzebany. Każdy, komu by bez ochyby na mocy zeznań wiarygodnych świadków, udowodniono, że zranił drugiego, miał stracić rękę. Za bójkę bez okaleczeń – winnego zanurzano po trzykroć w morzu. Za zniewagę słowną kara wynosiła jedną uncję srebra, wypłacaną obrażonemu. Złodziejowi golono głowę, tarzano w smole i pieprzu i wysadzano na łąd przy pierwszej sposobności. Dalszy jeszcze paragraf regulaminu nakazywał bezwzględne posłuszeństwo rozkazom dowódców floty, a w razie wykroczenia w tym względzie nakazywał karę chłosty, przeciągania pod kilem, a w wypadkach ekstremalnych – powieszenie.

* * *

– Schodziłem po piasku wybrzeża, koło Marsylii, do małej galery, która mnie zawieźć miała na mój statek – opowiadał Ryszard. – Przystanąłem przy brzegu i wsparty o mój kij pielgrzyma, przypartywałem się flotylli. Nagle kij załamał się pod moim ciężarem. Upadłem, chociaż tylko na jedno kolano. Zaraz się poderwałem, na obie nogi stanąłem. Kilku z mojej świty, pohamować się nie mogąc, wydało okrzyk: Ooo!”

– Zły omen... ale takich jak wasza królewska miłość złowróżbne znaki nie zatrwożą.

– Nie lekceważę ich. Bywają dobre wróżby, bywają złe. Niektórzy wierzą w dobre, a próbują jakoś wyjaśnić, odsunąć złe. Co do mnie, akceptuję wróżby, prosząc Boga, by pomyślne dla mnie spełnił a niepomyślne przemienił swoją wszechmocą.

– Respekt dla mocy wyższych – rzekł z powagą Modred, ale w

głosie jego zabrzmiało powątpiewanie.

– Oczywiście, że je respektuję. Czyś myślał, że się nie modłę bardzo regularnie? A tu, w tej głupiej, nagiej celi modłę się o uwolnienie i o pomstę na cesarzu i twoim księciu, niechby diabeł ich obu porwał! Czy moje wojowanie nie było zawsze dla dobra i pokoju miłujących Boga ludzi? Albo dla obalenia Jego nieprzyjaciół? On to na pewno pojmuje tak samo, jak i ja!

Ryszard nie był ani pierwszym, ani ostatnim, który własne czyny i chęci interpretował jako wypełnianie woli Boga.

– A tam, na brzegu... modliłeś się?

– Nie, nie. Nie jestem mnichem, lecz rycerzem. Musiałem tak to upozorować, aby incydent wydał się błahostką. Sam rozumiesz. Wybuchnąłem śmiechem, krzyknąłem, by mi podano inny kij pielgrzymi, i wszedłem na galerę. Ale wyznam ci, mój przyjacielu, że w duchu sobie pomyślałem: „Czyżby i druga próba pokonania Saracenów miała się nie udać?”

Ryszard przerwał, przeszedł się po izbie parę razy, jak zwykle, gdy był czymś przejęty, zatrzymał się przy okratowanej wnęcie okiennej.

Modred ledwie dosłyszał wymruczane słowa:

– Upadłem tylko na jedno kolano...

Po chwili król wrócił na swoje miejsce.

– Ani angielskie, ani andegaweńskie wojska nigdy do tej pory nie przedsiębrały wyprawy morskiej na tak odległy ląd – przypomniał. – I cóż to była za podróż! W ciągu trzynastu miesięcy więcej przygód zazналиśmy niż jeden człowiek na tysiąc w całym swoim życiu. Po złowróbnym znaku – zjawa. Po zjawie – walki na Sycylii i na Cyprze. Wreszcie bitwa morska – król zaśmiał się i uderzając Modreda po ramieniu dodał: – A dla mnie także i małżeństwo!

Austriacki rycerz dyplomatycznie przemilczał, że w ciągu owych trzynastu miesięcy Konrad de Montferrat, Guy de Lusignan, templariusze i szpitalnicy zmagali się z przeważającymi siłami Saracenów, codziennie przepatrując horyzont Morza Śródziemnego w oczekiwaniu odsieczy, prowadzonej przez króla, który nie kwapił się z pomocą,

niewiele myśląc o nich i o celu pielgrzymki. Zwłoki bywały najczęściej spowodowane przez samego Ryszarda, jego samowolę, schodzenie z właściwej drogi pod wpływem sposobności do wojaczki albo rabunku. Gdyby nie stracił tylu żołnierzy w podróży, gdyby dotarł do Palestyny, jak oczekiwano, w ciągu najwyżej trzech miesięcy, gdyby zaoszczędził czekającym Frankom marnowania ich sił, nieuniknionego wobec przewlekającego się oblężenia Akki – Jerozolima nie zaznałyby może siedmiuset lat muzułmańskiej okupacji.

– Mówiłeś, panie, o zjawie...? – przypomniał Modred, chciwie słuchający wszelkich opowieści króla.

– A tak. Kiedyśmy się już przeprawili cieśniną pomiędzy Korsyką a Sardynią, rozszalała się wielka burza. Memu statkowi groziło zatonięcie. Księża modlili się o ocalenie. Dowódca mego statku przyprowadził marynarza, który na wpół przytomny ze strachu, wyjąkał: „Mój panie i władco.. Tomasz Becket... na własne oczy go widziałem... na własne uszy słyszałem... nie bójcie się, powiada, niczego... bo mnie i innych męczenników Pan Zastępów wyznaczył... powiada... byśmy czuwali nad statkiem angielskim...”

Wielkie wrażenie wywarła na Modredzie taka wielkoduszność Becketa: podjąć się opieki nad synem człowieka, który, choćby i nieumyślnie, spowodował jego śmierć!

– A czy nie mniemasz, miłościwy panie, że strach w sercu marynarza zrodził tę zjawę?

– Zastanawiałem się nad tym. Ale później jeszcze dwóch innych przyszło zaklinając się, że każdy z nich z osobna i o innej porze też ujrzał to widmo, które do nich tymi samymi słowami przemówiło...

– A burza?...

– Po trzecim ukazaniu się ducha wichura pofolgowała. Nikt nie zginął. Pożeglowaliśmy do Mesyny bez dalszych przeszkód.

Modred westchnął.

– Cóż za przygody! Chciałem i ja wziąć krzyż ale mój ksiązę nie zezwolił. Odgadłem, że trzeba mu było zaufanych ludzi, pod których pieczę mógłby księstwo zostawić. Ale bardzo zazdroszczę waszej

królewskiej miłości tych wspaniałych podróży. Korsyka, Sardynia, Sycylia...

– Bardzo byłem ciekaw zobaczyć Mesynę, gdzie Kartagińczycy, Rzymianie, Saraceni, a wreszcie Normanowie walczyli i zwyciężali. Chociaż prawdę rzekłszy, wcale teraz nie mam powodów, by Mesynę z zadowoleniem wspominać. Kupcy tamtejsi odmówili nam sprzedaży nawet najkonieczniejszych towarów.

– Ach, tak... i ukarałeś ich...

– Wysadziłem dwa tysiące ludzi na ląd i w ciągu krótszego czasu, niż trzeba księdzu do odprawienia mszy, całe miasto było w naszym ręku. Ci głupcy mieszczanie błagali nas potem na klęczkach, byśmy wszelki ich dobytek zabrali, byle tylko oszczędzić ich samych, ich żony i dzieci...

– Słyszałem, że z królem Sycylii, Tankredem, były także kłopoty...

– A jakże! To on najpierw kupców podburzył. Bał się mnie, i nie bez przyczyny. Miałem z nim pewne porachunki.

– Za wtrącenie do więzienia siostry waszej królewskiej miłości, Joanny, wdowy po poprzednim królu Sycylii?

– ...Wilhelmie Dobrym. Tak. I Tankred odmówił zwrócenia jej posagu, a także legatu, który Wilhelm memu ojcu zapisał jako wkład na fundusz wyprawy do Ziemi Świętej. Złupienie Mesyny przywiodło Tankreda do opamiętania. Uwolnił moją siostrę, ale o pieniądze targował się jak przekupka. Całą zimę nam te targi zajęły, nim wreszcie zawarliśmy traktat.

– Musiała waszą królewską miłość niecierpliwie zwłoka, gdy ważne i wielkie obowiązki czekały w Palestynie...

– Irytowałem się, to prawda, ale wiedziałem, że nie trafi mi się druga taka sposobność rozprawienia się z Tankredem. Traktat, który ostatecznie podpisaliśmy, na pewno nie przypadł do gustu cesarzowi!

– Bo on sam – wtrącił Modred – zamierzał tron wyspy zająć przy pomocy swojej małżonki, z krwi normandzkich królów Sycylii...

– Właśnie. Ale Sycylijczycy nie chcieli Niemca. Obwołali kró-

lem syna Tankreda z nieprawego łoża, a mój traktat w pewnym sensie uznawał ten wybór. A to, możesz być pewny, przyjacielu, jest jedną z przyczyn, dla których mnie teraz tutaj trzymają jak dzikie zwierzę w klatce.

* * *

Opuściwszy Sycylię, król Filip skierował się prosto do Akki, dokąd też jako pierwszy dotarł. Natomiast Ryszard umyślił sobie jeszcze załatwić pewne sprawy na Cyprze. Z Mesyny wysłał gońców z listami do matki, nalegając, by przybyła z całym pośpiechem i zaopiekowała się Joanną. Królowa Eleonora przywiozła w swojej świcie młodziankę księżniczkę Nawarry, ale jako wytrawny taktik nie ujawniła początkowo przed synem własnych intencji. Znając Ryszarda liczyła, że osobisty urok Berengarii z Nawarry najlepiej dopomoże jej matrymonialnym planom. Eleonora sypiała w komnacie obok młodej księżniczki i gdy pewnej nocy usłyszała, jak sąsiednie drzwi otwierają się ukradkiem i zamykają – uniosła w górę brwi, kiwnęła głową i ułożyła się spokojnie do snu. Zanim flota zawinęła na Cypr, Eleonora przystąpiła do ataku. Najpierw gniew i pomstę Boga wezwał na głowę Ryszarda najstarszy dostojnik kościelny z królewskiej świty.

– Wszyscy twoi rycerze, miłoścyw panie – mówił arcybiskup Bordeaux – a nie wątpię, że i ich knechtowie, rozpuszczają złośliwe a nieprzystojne plotki o atencjach, jakimi miłoścyw pan księżniczkę Nawarry darzysz.

– Pielgrzym do Ziemi Świętej nie jest mnichem, wasza wielebność. Niech sobie plotkują. Mało co mają jak na razie do roboty.

– Mój synu, suknia duchowna nie czyni mnie na ponęty niewieście niewrażliwym. – Była to prawda. – Bóg nie dał nam natury aniołów. Ale jednak na pielgrzymce jesteśmy, a jej wodzowi przystoi świecić przykładem. O ile wiem, król Nawarry chętnie by takiego zięcia przyjął...

Ryszard zaśmiał się szeroko.

– I pewno! Gdybym jego córkę poślubił, szlachta andegaweńska zaprzestałaby najazdów przez granicę na jego ziemię!

– Niekoniecznie należy gardzić politycznymi względami. Małżeństwo waszej królewskiej miłości z księżniczką zabezpieczy i uspokoi również południowe granice twoich ziem. Panie mój i władco, zaklinam cię, nakłoń ucha moim radom!

Korzyści polityczne związku z Berengarią nie uszły uwadze Ryszarda. Ale łania przyłapaną w lesie traciła urok, gdy ją zamknięto w ogrodzeniu. Bądź co bądź, Ryszard poszedł naradzić się z matką – dokładnie tak, jak to Eleonora przewidziała.

– Nie po to wziąłem krzyż, by się żenić – krzywił się król.

– I nie po to zostałeś pielgrzymem, by uwieść księżniczkę...

Roześmiał się.

– Zawsze potrafiłaś się odciąć. Ale mogę cię zapewnić, że i ona była nie od tego.

– Nie wątpię. Słyniesz z odwagi, jesteś monarchą, jednym z najbardziej poważanych w Europie, choćby dlatego że działasz jawnie, z mieczem w ręku, miast się posługiwać fałszem i intrygą jak inni. A prócz tego jesteś wielce przystojny i każda bystra białogłowa na pierwszy rzut oka pojmie, że masz, jakby tu rzec, wiele do ofiarowania...

Ryszard zmienił temat:

– Ty sama nigdy nie zezwalałaś, by głupie plotki ci przeszkadzały.

– To co innego. Spełniłam mój obowiązek wobec twojego ojca – doprawdy był on nadto doskonałym kochankiem, by być moim mężem – i urodziłam mu synów, których potrzebował. Ty nie masz dziedzica twego królestwa i twego księstwa. Znowu szukasz niebezpieczeństw – jedziesz między strzały i szable Saracenów, będziesz narażał się, na upały i choroby. To nie czas, by się po kryjomu do sypialni Berengarii wślizgiwać. Powinniście lec razem we wspólnym łożu, mąż i żona. Spłodzisz z nią synów. Ale jeśli by ci synowie byli bastardami, to jej ojciec będzie ci wrogiem, nie sojusznikiem.

- Ty i arcybiskup! Nic, tylko dyplomacja, polityka!
- Taka jest królewska profesja, mój drogi Ryszardzie. Wojowanie, w którym tyle satysfakcji znajdujesz, to tylko skutek porażki w negocjacjach.

Król pojął, że gdyby nawet trzymał się z dala od Berengarii, i tak nie uniknąłby pułapki, jaką matka na niego zastawiła. Eleonora wiedziała, że przyszłe szczęście Berengarii jest raczej wątpliwe, ale troszczyła się przede wszystkim o swego syna i o ziemię pod jego władaniem, włącznie z ukochaną Akwitania. Byle tylko Berengaria urodziła mu paru synów. Jeśli potem zechce szukać szczęścia w innych objęciach – niech i tak będzie. Eleonora osobiście wcale nie żałowała swoich licznych przygód erotycznych.

Tak więc w Limasol, podczas szalejącej burzy, tak groźnej, iż zdawała się zagrażać murom kościoła, król Anglii stanął przed ołtarzem z księżniczką Nawarry. Musiał dopełnić obowiązku, jaki na niego nakładała rola monarchy. Co do reszty – czas i okoliczności rozstrzygną.

Uczta weselna trwała do północy, kiedy to większość rycerzy opuszczonych już przez damy, prócz Eleonory i Berengarii, leżała pod stołami w pijackim odrętwieniu lub też potykając się wychodziła na dwór, w deszcz i burzę, by zwrócić spożyte w nadmiarze wyszukane dania.

Ryszard, nie przejawiając żadnych skutków obfitego jedzenia i picia, wstał od stołu, wziął Berengarię na ręce i zaniósł do ich sypialnej komnaty. Gdy leżeli w objęciach – dobrze sobie nawzajem już znanych – rozległo się donośne stukanie do drzwi. Ryszard zaklął:

- Niech to wszyscy diabli! Czy nie dacie ślubnemu mężowi spokojnie dopełnić obowiązku płodzenia?...

Stukanie nie ustawało, a towarzyszyło mu wołanie Sir Thomasa Moultona:

- Najjaśniejszy panie! Zaklinam, to ważna rzecz! Jeden z twoich statków ze skarbami burza zapędziła na mieliznę... a mieszkańcy Cypru go rabują!

Berengaria podciągnęła prześcieradło aż pod szyję. Ryszard wyskoczył z pościeli, wypadł do przyległego alkierza, gdzie służebni już trzymali w gotowości jego szaty. Moulton też tam był, a zanim król się ubrał, wszedł D'Oyly:

– Tej nocy nic już nie zaradzimy, miłościwy panie – powiedział. – Wiatr co prawda ustał nieco, ale deszcz leje jak z cebra.

– Co mi tam ulewa! – odparł Ryszard. – Gdzie osiadł statek?

– O jakieś dwadzieścia mil na zachód wzdłuż wybrzeża. Wysłałiśmy oddział jazdy, ale zanim tam dotrą, pewno rabusie już umkną razem z łupem.

Ryszard wybiegł na mury, spojrzął i rozkazał jednemu z pachołków:

– Konie niech osiodłają i przyprowadzą przed bramę! – Zwrócił się do swych towarzyszy: – Niedługo będzie świtało. Pojedziemy wzdłuż wybrzeża. Pierścień z rubinem, który mi ofiarował Tankred, dostanie ten z was, który dojedzie na miejsce przede mną! – Dwaj rycerze wymienili posępne spojrzenia. Wiedzieli, jak mało mają szans, by prześcignąć króla. – Rozejrzę się najpierw, zanim dam taką nauczkę tym wyspiarzom i ich greckiemu królowi, że ją nieprędko zapomną. D'Oyly, wydaj rozkazy, by wszystkie wojska stanęły pod bronią. I pošlij dwie galery, niech spieszą co sił do wraku, może jeszcze coś uratować zdołają. Wracaj zaraz bo się spóźnisz na wyścig.

Obaj rycerze nie tylko nie mieli szans prześcignięcia króla, ale nawet z trudem zdołali go trzymać na oku, chociaż już rozedniało. Chmury się rozstały, wyjrzało słońce, a Ryszard poganiał ścigłego rumaka do szaleńczego pędu. Na wybrzeżu, tuż przy leżącym na mieliźnie statku, przed jego oczyma roztoczył się okropny widok. Tuzin, może więcej żeglarzy, zabitych na piasku, głowy rozrąbane siekierami; inni odnieśli rany klute, najwyraźniej zadane widłami. Wśród nich trupy cypryjskich wieśniaków.

– Ci, którzy przeżyli rozbicie statku, widocznie próbowali bronić ładunku – powiedział król. – Zapłacili życiem za swoją szlachetną lojalność. By ich pokonać, musiało tu być ze stu grabieżców. Pewno

tych bandytów przyciągnęły sygnałowe ognie wzywające pomocy.

Tuż przy brzegu morza, na skraju wody, leżało jeszcze więcej Anglików z nieszczęsnej załogi. Na ich ciałach nie było ran, widocznie zatonęli, może wyskoczyli za burtę, nim statek osiadł na mieliźnie, a przyływ wyrzucił ich na brzeg. Statek utracił maszt i takielunek, ale kadłub mniej więcej ocalał. Dookoła trupów na brzegu walały się resztki skrzyń i worków, wyciągniętych na brzeg przez grabieżców, którzy je tutaj opróżniali, a zawartość unieśli ze sobą. Na statku znajdowały się pieniądze przeznaczone na wyprawę krzyżową, a także srebrna zastawa króla i osobiste klejnoty jego matki.

Ryszard zaglądał w twarze pozabijanych, odwracając tych, którzy padli na brzuch, zaatakowani od tyłu. Każdemu, kto jeszcze dawał znaki życia, udzielał pomocy i przekazywał pod opiekę towarzyszy.

Wszedłszy po kolana w płytką wodę, gdzie fale, teraz łagodne, cofały się i przyływały, król zawołał nagle:

– Spójrzcie! Ten najdzielniejszy z dzielnych nawet po śmierci pełni swój obowiązek.

Odnalazł trupa kanclerza Rogera Malchiela, a w jego rękę wielką pieczęć królewską, mocno zaciśniętą. Ze swymi dwoma towarzyszami i z oddziałem jazdy, wysłanym na miejsce katastrofy, Ryszard doczekał się przybycia galer. Statki wyciągnęły wrak z mielizny, a potem odholowały go do Limasol.

Stąd Ryszard wysłał herolda do króla Izaaka Komnenosa w Nikozji z żądaniem najsurowszej kary dla zabójców i grabieżców, zwrotu zgrabionego mienia, a także wysokiej grzywny pieniężnej tytułem restytucji. Komnenos, Grek, którego despotyczne rządy sprawiły, że go poddani zniechodzili – zaiste, właśnie z powodu jego tyranii wielu z nich zostało bandytami – odpowiedział wyzywająco:

– Niechaj król Anglii lepiej pilnuje własnego mienia. A jeśli tego nie potrafi, to niech wraz ze wszystkimi swymi statkami i ludźmi opuści brzegi tej wyspy, gdyż zwrócę się przeciw niemu i zaoszczędzę Saladynowi kłopotu, zabijając jego i jego ogoniaste, pogardy godne wojsko.

Określenie „ogoniaste” zawdzięcza swój początek Augustynowi, drugiemu świętemu tego imienia, a pierwszemu arcybiskupowi Canterbury. W angielskim hrabstwie Dorset pod koniec VI wieku, gdy przybyli misjonarze, by nawracać na chrześcijaństwo południe Anglii, mieszkańcy okazali się tak grubiańscy, iż poprzywiązywali krowie ogony do powłóczyстых sutann księżowskich. Święty Augustyn rzucił na nich przekleństwo: by tym dręczycielom i ich potomkom po wsze czasy rosły ogony! Ponieważ mieszkańcy nie nosili, jak Szkoci, krótkich spódniczek bez pluderków, trudno było sprawdzić, czy klątwa się spełniła. Odtąd na kontynencie, jeżeli chciano wyrazić pogardę dla Anglików – co bywało często jeszcze przez parę dobrych stuleci – zwano ich „ogoniastymi”.

Wzgardliwe przewisko obudziło wściekłość Ryszarda, już i tak oburzonego napaścią. Nikt bezkarnie nie mógł tak do niego przemawiać. Jego wojska, stojące w gotowości bojowej ruszyły na północ, przez góry, na Nikozję. U stóp góry Troodos, wznoszącej się na blisko dwa tysiące metrów nad poziomem morza, Komnenos ze swoją armią oczekiwał wroga. W bitwie poległo ponoć dwadzieścia tysięcy żołnierzy – liczba prawdopodobnie jak zazwyczaj przesadzona, ale bez wątplenia Cypryjczycy ponieśli katastrofalną klęskę, a olbrzymie łupy, zagarnięte przez Anglików, przewyższały po wielokroć zdobycz, zrabowaną ze statku. Były wśród nich: namiot cesarski z czerwonego jedwabiu, u szczytu zakończony posążkiem sokoła ze szczerego złota, bogate zastawy stołowe, a także skarbiec złotych i srebrnych monet. A szczególnie ucieszyły zwycięzcę, wytrawnego znawcę, dwa zdobyte rumaki, nieprześcignięte w urodzie i szybkości: Fevel i Lyard.

– Owego dnia, kiedy oficjalnie, według wszelkich form i prawideł Izaak Komnenos miał wyspę oddać w moje władanie – opowiadał Modredowi Ryszard – spotkałem się z nim w ogrodzie, wśród figowych drzew. Mój ty Boże, jak ja się przystroiłem wtedy, by mu zaimponować! Nałożyłem wszystko, co tylko miałem najbogatszego: tunikę z różowego jedwabiu, przetykanego złotą nicią, płaszcz na-

szywany półksiężycami ze srebra i słońcami ze złota: szkarłatną czapkę, miecz w pochwie z solidnego srebra, ostrogi ze złota. – Król przybrał pozę, jakby chciał zademonstrować wspaniałość olbrzymiego ciała, które niegdyś było tak bogato przyodziane. – Dosiadłem hiszpańskiego rumaka, a siodło było czerwone ze złocistymi gwiazdami, zakończone z tyłu, na wysokiej kulbace, figurami dwóch lwów, wspiętych na tylne łapy. I co sądzisz o takim stroju zdobywcy, mój przyjacielu? Mówię ci, Izaak tylko oczy na mnie wybałuszał.

– Doprawdy, musiałeś wyglądać wspaniale – przyznał Modred, uśmiechając się ukradkiem z próżności króla.

– Nie mogłem go zostawić na wyspie, boby zaraz przeciw mnie spiskować zaczął. Obsadziłem miasto załogą oczywiście. Co prawda, wcale nie zamierzałem tam rzeczywiście panować, chciałem tylko coś za tę wyspę wytargować. I udało mi się.

– Więc pomniejszyłeś wojska, zwerbowane na wyprawę do Ziemi Świętej? – Spytał Modred z odcieniem wyrzutu w głosie.

– Tak, ale to nie moja wina. Cypryńczykom trzeba było dać nauczkę, by nie grabili bezkarnie pielgrzymów...

Od poślubienia Berengarii król mógł więcej czasu jej poświęcać. Sir Thomas Moulton i Sir Fulk D'Oyly niechętnym okiem spoglądali na królewski mariaż. Obaj byli kawalerami. Pojmowali wprawdzie, że Anglia winna mieć dziedzica tronu, ale dlaczego teraz, podczas ważnej wojskowej wyprawy, podczas pielgrzymki? Familijne sprawy powinny się ograniczać do pałacu. Dość było kłopotów, gdy Ryszard brał sobie konkubiny, ale to zwykle trwało kilka dni. Żona, która miała towarzyszyć naczelnemu wodzowi w wyprawie, wydawała się jego najbliższym kompanom ciężarem nieznośnym. Bo jedno z dwojga: albo będzie kochał się w żonie, a wówczas zbyt wiele czasu spędzał przy niej i jeszcze pilnował, by go nie zdradzała; albo nie będzie kochał się w niej, a wówczas żona zechce go ściągnąć do siebie, udając chorobę, robiąc mu sceny, aż w strachu przed jej waporami i histerycznymi awanturami utraci właściwą miarę rzeczy. W głębi ducha obaj wiedzieli, że Ryszard nie pozwoli owładnąć sobą

żadnej kobiecie, ale uraza tkwiła w nich i dolegała jak zadra.

Ale żaden z dwóch rycerzy ani nikt inny nie przejawiał otwarcie niezadowolenia z mariażu, ukartowanego przez Eleonorę i arcybiskupa Bordeaux. Ryszard był hojny wobec przyjaciół. Tylko andegawieńscy baronowie, uważając się za pokrzywdzonych albo w nadziei zyskania zamków i ziem stawali w opozycji wobec niego, a zwykle w przymierzu z królem Francji, i co rusz występowali zbrojnie przeciw Ryszardowi. Natomiast mało kto z tych, którzy zaznali hojnie rozdzielanych dobrodziejstw, ryzykował utratę jego łaski. Moulton i D'Oyly byli zapewne szczerze przywiązani do króla; inni z towarzyszy płaszczyli się i schlebiali mu; szukając osobistych korzyści, a z pokorną rezygnacją znosząc wybuchy jego złego humoru. Wszyscy byli zazdrośni o każde jego spojrzenie, słowo pochwały albo potężne klepięcie jego olbrzymiej dłoni w plecy – takie, że zapewne by powaliło na ziemię niejednego z mężczyzn dwudziestego wieku.

* * *

Margot dopytywała się o Berengarię:

- Czy jest piękna?
- Nie tak piękna jak ty...
- Mówisz tak tylko po to, żeby...
- Mówię prawdę. W każdym razie, mówię prawdę tobie i twojemu ojcu.
 - Nawet jemu nie mówisz całej prawdy – odrzekła z uśmiechem.
- Czy ją miłujesz?
 - Wiesz, spałem z wielu kobietami, ale tak naprawdę kochałem i po dziś dzień Kocham tylko jedną...
 - Którą?
 - Moją matkę.
 - Dużo o niej słyszałam. Ale to inny rodzaj kochania. Dobrze, że nie jestem twoją żoną... jałówką do hodowli książąt... – Wplotła palce w gęstwinę rudych włosów, porastających olbrzymi tors od szyi aż po

pępek.

– Wolisz być moją kochanką?

– Tak. Chociaż wiem, że tylko przez parę tygodni będziesz mnie obejmował... a może właśnie dlatego, że wiem...

– Nie chciałabyś, żeby to trwało?

– Nie chcę tego chcieć. Biorę, co mi dzień dzisiejszy przynosi, a jutro będę się troszczyć o jutro. O wyborze kochanka mogę przynajmniej sama decydować. Kobieta wychodzi za męża albo idzie do klasztoru: nikt jej nie pyta, kogo chce za męża. Więc skazana jest zawsze na uciążliwą nudę.

– Czy myślisz, że Berengaria znudzi się?...

– Jeżeli nie wzięła sobie gacha, to na pewno już jej nuda dopiekle. W Palestynie mało miałeś dla niej czasu! Teraz nie widziała ciebie od kiedy wyjechałeś. Jutro czeka ją haftowanie i plotki ze starymi babami albo strach, że ty jej grzeszki wykryjesz. Współczuję jej. Znała swój los, gdy z woli swego ojca i twojej matki szła przed ołtarz.

– Mówisz bez ogródek. I chyba uczciwie; – Kreślił palcem linię między jej piersiami, w dół.

Poruszyła się, przeciągnęła z rozkoszą. Słowa biegły teraz nieskładnie, przerywane szybkim oddechem.

– Być uczciwą... to najlepsza polityka. Czyż nie?

– Być uczciwą tak dalece, iż przyznajesz, że mnie nie kochasz?

– Żal mi ciebie było... i żal siebie samej także. Dlaczego byśmy oboje nie mieli sobie uszczknąć odrobinę... – Ciężar jego olbrzymiego ciała przygniatał ją. Przytuliła głowę bliżej jego ramienia: – ...szczęścia, pocieszenia. Czyś nierad z tego?

Za całą odpowiedź poszukał jej ust swoimi, jej języka swoim. Na rozmowę będzie czas później.

* * *

Statek, wiozący Ryszarda i jego jeńca, Izaaka Komnenosa, z Cypru do Akki znajdował się na południowy zachód od Bejrutu. Tuż po

świcie kapitan dostrzegł obcy żagiel i pośpieszył obudzić króla.

– Wielki statek, miłościwy panie! – zachwycił się kapitan. – Największy, jaki w moim życiu widziałem! Wspaniały statek! Król wszelkich statków! Z pewnością od czasu arki Noego, która uratowała po parze wszystkich zwierząt, nie było większego.

Doświadczenia wielu kampanii przyzwyczyły Ryszarda do budzenia się z najgłębszego snu od razu, jakby jednym ruchem ręki strącał z siebie pościel i senność.

– Poślij galerę, niech wybadają, skąd się wziął ten cudowny statek... z ziemi, nieba czy piekła. Będę na pokładzie, niech się tylko przyodzieję.

W parę minut był już na dziobie wpatrując się w niezwykle zaiste żaglowiec, oddalony zaledwie o jedną milę morską, o trzech wysokich masztach. Dowódca galery, Piotr de Barris, przybliżył się do statku i rozmawiał z kimś na pokładzie. Niebawem wioślarze przywieźli go z powrotem do króla.

– Powiadają, że są Francuzami, miłościwy panie, a płyną z Antiochii do Akki. Ale sternik mojej galery twierdzi, że rozpoznaje ten statek. Budowali go w Bejrucie jakiś czas temu, kiedy mój sternik w tym porcie przebywał.

– Przyrowadź do mnie twego sternika.

Sternik mówił jasno, bez ceremonii. Ryszard tak często przebywał wśród swoich żołnierzy i żeglarzy, że żaden z nich nie czuł skrępowania królewską obecnością.

– Głowę daję, że to saraceński statek. Każ, miłościwy panie, niech druga galera podejdzie blisko niego bez obwoływania. Tylko muszą się mieć na baczności.

– Niechaj się stanie, jak on mówi – zwrócił się król do Moultona.
– Jego metody przypadają mi do gustu.

Druga wysłana galera prawie że dotknęła burty obcego żaglowca. Wciągnięto wiosła, wioślarze okryli się tarczami. Powitały ich chmury strzał i „greckiego ognia” – pocisków z mieszaniny siarki, nafty i wapna, umieszczonej w drewnianych tulejach, które zapalały

się i wylatywały, wyrzucane siłą strumienia wody.

Ryszard od razu wskoczył na galerę de Barrisa, zwołując za sobą innych. Złożył ręce wokół ust i krzyknął:

– Za mną! Zdobędziemy ten statek! A cały ładunek jest wasz!

Stanął na dziobie galery wyzywając niebezpieczeństwo i zachęcał okrzykami wiosłarzy do coraz większych wysiłków. Nowa chmura strzał wyleciała z pokładu i rei na galerę. Angielscy łucznicy odpowiedzieli wet za wet.

– Wiosłować dookoła! – krzyknął Ryszard. – I strzelać, strzelać!

Na dno galery padali ludzie ranni, już umierający. Zbroję królewską poznały kilka celnych strzał. Nie zwracał na to żadnej uwagi. Nieprzyjacielski statek zwolnił. Ale tak wysokie miał burty i tak zająca była obrona, że abordaż wydawał się niemożliwością. Zrażeni Anglicy osłabili napór. Galery zebrały się wokół króla. Wściekły na widok wymykającej mu się z rąk ofiary, Ryszard zarzmiął:

– Czyżbyście mieli pozwolić mu uciec? Hańba, wstyd wam! Chcecie ulec ospałości i trwodze? Na świętą Marię i Józefa, jeśli ten Saracen nam się wyślizgnie, każdego z was na tortury dam, każdego powiesić na rejach naszych statków!

Bojąc się gniewu własnego króla więcej, niż wrażej broni, kilkunastu Anglików skoczyło do morza i nurkując pod kilem nieprzyjacielskiego statku, przymocowało liny do koła łopatkowego czyli steru, używanego na statkach w XII wieku. Statek stracił sterowność, a z wody jęli się wynurzać napastnicy i wspinać tłumnie na pokład.

– Skierować galery przed dziób i za rufę statku! Do abordażu! Tylko nie zatopcie waszych towarzyszy wyłazających z wody!

Za pływakami król pierwszy wdrapał się na pokład Saracena. Z toporem bojowym w ręku skoczył do masztu i wsparł o niego swoje potężne plecy.

– A chodźcie no tutaj, psy niewierne! – krzyczał, a gdy Saraceni zbliżyli się doń ostrożnie, zamachnął się toporzyskiem i ryknął tubalnym śmiechem. Król znany był z tego, że śmiał się głośno i

często, we wszelkich okolicznościach, jak zwykle ludzie, którzy czują własną fizyczną przewagę nad innymi. Wyzywał i drażnił przeciwników, śmiał się, gdy zdradzali strach przed nim, i śmiał się kładąc ich pokotem. Nawet jego napady furii rozładowały się zwykle w wybuchach śmiechu.

Walka była zaciekle. Anglicy wdarli się na statek, ale gdy dodatkowe szeregi Saracenów wybiegły spod pokładu, gdzie się ukrywały, by nie ujawnić przedwcześnie liczebności załogi – musieli się cofać, zaczęli nawet wyskakiwać za burtę, do morza albo na pokłady własnych galer. Grupa rycerzy zebrała się wokół króla, który walczył z taką zażartą pasją, że atakujący czuli się jakby w obecności demona wojny.

Jednakże położenie Anglików wydawało się katastrofalne, chociaż nie w oczach Ryszarda.

– Hej, tam na galerach! – krzyknął. – Staranować statek ostrogami na waszych dziobach!

Gdy dzielna garstka rycerzy trzymała w szachu Saracenów, już spodziewających się zwycięstwa, galery cofnęły się nieco i uformowały szyk czołowy. Wioślarze natężyli ramiona w największym wysiłku. Żelazne szpice, zwane ostrogami, tak były ostre i uderzyły z taką mocą, że przebiły kadłub statku w wielu miejscach. Morze wdarło się falą. Statek tonął. Teraz na Saracenów przyszła kolej ratowania się wyskakiwaniem do morza, gdzie Anglicy rozbijali im głowy, gdy próbowali wdrapać się na galery.

– Schodzić pod pokład! – rozkazywał Ryszard tym ze swoich ludzi, którzy, nieco zawstyżeni, z powrotem wspięli się na statek, ociekając wodą. – Wynosić wszystko, co zdołacie! Spieszcie się, inaczej na nic cały nasz wysiłek, bo ładunek zatonie wraz ze statkiem.

Na statku znajdowały się skarby ogromnej wartości, a również wiele broni, szabli, toporów bojowych, łuków i strzał, siodeł. Ale zanim zdołano przenieść mniej niż połowę łupów na galery, statek zaczął się zanurzać.

– Ratujcie się! Na dnie morskim na nic się wam nie zdadzą kie-

szenie wypchane złotem...

Ryszard potężnym susem skoczył na galerę właśnie w chwili, gdy wielki statek przełamał się i znikł w falach, zostawiając na powierzchni tylko masę połamanego drewna, desek, skrzynek, wszelkich rupieci. Anglicy ponieśli znaczne straty, ale z tysiąca sześciuset Saracenów na pokładzie ocalało zaledwie pięćdziesięciu pięciu wziętych do niewoli, a i tym darowano życie tylko dlatego, że podawali się za specjalistów od budowy wojennych machin.

– Jeśli tak, to nam się przydadzą – zdecydował król. – Zakuć ich w kajdany, ale traktować dobrze i jeść dawać pod dostatkiem.

Saladyn mówił później, iż gdyby wielki statek dopłynął szczęśliwie do celu, uniemożliwiłoby to wzięcie Akki przez Franków – tak wielką wagę przykładał do ładunku.

* * *

– To była moja pierwsza bitwa morska – opowiadał Modredowi Ryszard. – I pewno ostatnia. Dla takiej walki warto żyć...

– Chociaż nawet śmierć czyha na ostrzu tysiąca wrażeń broni...

– Lepiej zginać stojąc, z plecami opartymi o maszt statku, albo gnając po polu z włócznią, niż w łóżku, gnijąc od choroby i starości...

SZLACHETNE WYZWANIE – I BARBARZYŃSTWO

Zamaszystym, wyzywającym krokiem Ryszard wszedł do wielkiej sieni zamku Regensburg. Rozejrzył się wokół z pogardą, ale i z wściekłością. Cesarz Henryk, w pełnej zbroi pod płaszczem, spiętym na ramieniu diamentową zapinką, zasiadł na złocistym, krześle ustawionym na podwyższeniu. Za nim po obu stronach zgromadzili się dygnitarze i rycerze, między innymi książę Leopold austriacki, w hełmie i uzbrojony jak do walki.

Nawet w niewoli i upokorzeniu Ryszard był postacią budzącą postrach. Podjeżdżając z silną eskortą do Regensburga ujrzał setki zbrojnych żołnierzy, otaczających bawarskie zamczysko, Modred potrząsnął głową i powiedział:

– Mogę tylko wyrazić żal, że nie przyjęto waszej królewskiej miłości z większą atencją.

– Co do mnie – odparł Ryszard – więcej mi pochlebia, gdy widzę, jak cesarz się mnie boi, niż gdyby mnie podejmował z muzyką i biciem w bębny.

Wewnątrz murów dziedzińce zatłoczone były wojskiem. Na szerokich balkonach, którymi Modred i inni rycerze prowadzili jeńca, stali ramię przy ramieniu halabardnicy.

Król Anglii miał na sobie to samo przebranie kupieckie – wyprane świeżo i starannie połatane, bo sam je porozdzierał w napadach furii – w którym pojmano go w Wiedniu. Mocarne ramiona, których wszyscy tak się lękali, związane mu na plecach. Taki widok rozbawił niemieckich rycerzy. Wymieniali między sobą pogardliwe spojrzenia, podśmiechiwali się szyderczo. Ryszard uczynił ruch w ich stronę, tupnął nogą w kamienną podłogę i wyszczerzywszy wielkie, białe zęby, jak wilk kły, pokazał im język. Chociaż był bezsilny, rycerze

zmieszali się i cofnęli pośpiesznie, kryjąc się jeden za drugiego.

W otoczeniu cesarza byli ludzie, którzy trwożyli się nie z powodów bezpośrednio grożącego im niebezpieczeństwa, ale ze względu na ewentualny wynik takiego potraktowania jednego z największych chrześcijańskich monarchów. Ryszard z błogosławieństwem papieża wziął krzyż, a w Palestynie dodał blasku do swojej i tak już wspaniałej reputacji wojennej. Tymczasem cesarz ośmielił się trzymać go w więzieniu przez kilka miesięcy, a teraz kazał go przyprowadzić niczym złodzieja owiec przed sąd szeryfa. Wyraz twarzy Ryszarda wcale nie umniejszał ich niepokoju. Obezwładniony w tej chwili, nie zawsze taki będzie.

Stojąc na szeroko rozkraczonych nogach, z włosami i brodą od dawna nie przycinanymi, z piersią potężną jak pień dębu, król zaiste przypominał Samsona. Nie dał cesarzowi czasu, by go powitał jakimiś słowami:

– Długo dałeś mi czekać – rzekł wzgardliwie. – A widzę, że nawet teraz, gdy sądzisz, że masz mnie w ręku, boisz się mojej mocy. I masz po temu powody...

Cesarz próbował mu przerwać:

– A ty masz powody, by nie podnosić głosu. Oskarżam ciebie...

Ryszard krzyknął:

– Jedyne oskarżenie tutaj to ja mogą wnosić! Tutaj, w obliczu tej zgrai bandytów, którzy hańbią imię rycerzy, ja cię oskarżam o trzymanie mnie w więzieniu wbrew wszelkim prawom rycerskim i chrześcijańskiemu zwyczajowi, mnie, pielgrzyma z krzyżem, wojownika przeciwko niewiernym!

– Twoje oskarżenia na nic się nie zdadzą – odparł Henryk. Gestem ręki wskazał broje, miecze, sztylety, otaczające groźnym kręgiem króla bez broni, w lekkiej odzieży. – A moje przeciwko tobie zarzuty mogę udowodnić: na księcia saskiego wywarła nacisk jego żona, a twoja siostra, bez wątplenia z twojego zlecenia; w Italii ten uzurpator Tankred, którego ty zachęciłeś, wojował przeciwko mnie; w Palestynie ty kazałeś uśmiercić mego wasala, Konrada de Montferrat.

Za te czyny i wszystkie świadomie skierowane przeciwko Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu zapłacisz drogę. Ale chcę być sprawiedliwy. Wpierw mi powiedz, jaką restytucję gotów jesteś zapłacić za te zniewagi wobec cesarza, ukoronowanego przez papieża... co ofiarujesz za swoją wolność...

Ryszard, z głową podniesioną, groźnie zaciśniętą szczęką, nie odrywał płonącego wzroku od oczu swego prześladowcy. I pokonał w tym pojedynku na spojżenia cesarza, który odwrócił wzrok, nerwowo szarpiąc palcami kraj swego płaszcza. Kronikarz William le Breton opisując tę scenę zanotował, że król Anglii zaczął mówić takim tonem, „jakby zasiadał na tronie przodków... jakby zapomniał o nędznej odzieży... zaczął mówić głosem królewskim, wyniosłym a potężnym, jakby ryczał lew...”

– Nie sądzę, abys ty osobiście miał odwagę walczyć ze mną. Ale wybierz sobie sześciu najdzielniejszych rycerzy. Daj mi bojowego rumaka, zbroję, lancą, miecz albo topór. Ja, sam jeden, stanę przeciwko sześciu naraz i sześciu zabiję... Niech i tak będzie! Niepotrzebna mi zbroja, będę walczył tak jak stoję... Albo jeśli byś wolał, puść na mnie twoich halabardników, tak samo odzianych jak ja, a zaduszę ich jednego po drugim, gołymi rękoma...

Z głuchym łoskotem uderzył się w plecy skrępowanymi pięściami. Oblicze cesarza pociemniało, jakby je zasnuła purpurowa chmura. Ręce przycisnął do kolan, ale jego palce wciąż powracały do nerwowego skubania płaszcza.

– Niepotrzebny mi twój trup. Ani też moich rycerzy nie upokorzę, dając im w sześciu zwycięstwo nad jednym...

– Nie ośmielasz się wystawić ich przeciwko mnie! A nawet gdybyś się na to ważył, w nich samych serca by zawiodły przed godziną walki. Ja zabiłem stu w ciągu jednego dnia bitwy – i zrobię to jeszcze raz...

– Użyteczny mi jesteś żywy. Jeszcze się nauczysz, jak mnie ułagodzić, płacąc setki i tysiące marek za krzywdy, jakich ja i moi z twoich rąk zazналиśmy. – Cesarz skinął na strażę: – Zabrać go. – I

znowu do Ryszarda: – Kiedy się następnym razem spotkamy, może będziesz mniej wyniosły, mój przyjacielu...

Ryszard nie ruszył się z miejsca. Stał, grożąc Henrykowi płonącym wzrokiem. Dwaj strażnicy podeszli, biorąc go za ramiona. Potężnym wstrząśnięciem barów, najpierw na prawo, później na lewo, król rzucił ich o ziemię, aż kolczugi zadźwięczały po kamiennej podłodze, a halabardy poleciały, z brzękiem uderzając o mury. Wtedy odwrócił się, a strażnik, który otworzył drzwi, pośpiesznie schował się za nimi.

Cesarz mruknął:

– Tylko lew mógłby poskromić tego niepokornego olbrzyma...

Księżę Leopold, dosłyszawszy te na wpół desperackie słowa, pomyślał: – Lew... czemu nie?

* * *

Opowiadając Modredowi o dalszym przebiegu wyprawy krzyżowej, Ryszard wspominał wydarzenia, zarówno wzniosłe jak i haniebne, które zapisały się wśród lotnych piasków Palestyny po upadku Akki i po śmierci Konrada de Montferrat.

– Minął dzień, wyznaczony na dopełnienie warunków traktatu. Dwudziesty sierpnia. A nic właściwie nie zrobiono. Nie wypłacono okupów, a co najważniejsze, nie zwrócono nam Drzewa Krzyża Świętego. Psy niewierne, oby ich piekło pochłonęło! Ośmielili się twierdzić, że nie mogą go znaleźć. Wierutne łgarstwa! Wiedziałem doskonale, że go chronią, jak najcenniejszego zakładnika. Zapodział im się gdzieś, rzeczywiście! Nie mnie nabierać na takie bzdury...

– Czy spotkałeś, wasza królewska miłość, Saladyna w okresie tego rozejmu?

– Oko w oko, nie. Wymienialiśmy posłańców od czasu do czasu. On mi przysyłał złote i srebrne wyroby, jako osobiste upominki, nic wspólnego nie mające z umówionym okupem, którego, jak twierdził, nie mógł ściągnąć od podległych mu wodzów. I zażądał wypuszczenia ludzi z dawnej załogi Akki. Bezcelność! Kiedy sam wciąż trzymał

chrześcijańskich jeńców, których według traktatu obiecał uwolnić! Odpowiedziałem mu krótko: nie trzeba mi jego podarunków. Przywiozłem ze sobą z Anglii i Andegawenii więcej złota i srebra, niż mają Saraceni, w całym swoim kraju...

– Zwłoka musiała cię zadziwić, panie. Saladyn ma reputację człowieka honoru.

– Owszem, miał taką reputację. I nie wątpię, że to jego baronowie, wodzowie, czy jak tam ich zwać, przyczyniali trudności. Niekarni są, krnąbrni, trudno nimi władać. Szczerze powiedziawszy, chętnie bym spotkał Saladyna. Bogaci Arabowie umieją podejmować gości zaiste po książęcemu. Jeśli już o tym mowa, piękne mają gesty wobec wszystkich swoich – stopy żebraków umywają i karmią ich z własnych naczyń... Ale tu nie chodziło o to, jak się odnoszą do swoich, lecz że warunki zawartego z nami traktatu lekce sobie wazą. Ja na tym przeklętym płaskowyżu trzymałem dwa tysiące jeńców z Akki. Brak mi było ludzi do pilnowania ich, brak prowiantu do wyżywienia. Nasze zapasy żywności znikwały w oczach. Okolica niczego nie dostarczała. Wybrałem takich jeńców, za których mogłem się spodziewać wysokiego okupu. Resztę, na oczach Saladyna i jego wojska, kazałem wyciąć...

– Powszechnie o tym wiadomo, wasza królewska miłość. Straszne to było przedsięwzięcie, chociaż muszę przyznać, że świat chrześcijański przyklasnął tej decyzji...

– Żadnych przyklaskiwań nie chciałem. Postąpiłem tak, jak trzeba było.

Ówczesni kronikarze z satysfakcją zanotowali tę rzeź jeńców z Akki. Wielu bohaterów epoki rycerstwa, włącznie z Karolem Wielkim, Wilhelmem Zdobywcą, a później angielskim Henrykiem Piątym, miało na sumieniu podobne plamy. W przypadku Ryszarda nakazanie z zimną krwią tej masakry i kompletny brak jakichkolwiek wyrzutów sumienia – były charakterystyczne tylko dla niego. Z nadzwyczajną odwagą, ze świetnymi talentami wojownika i wodza Ryszard łączył brutalne okrucieństwo i bezwzględność.

– Pewnego razu, gdy powracałem do zdrowia po febrze w Palestynie – powiedział ze śmiechem Modredowi – zażądałem pieczonego prosięcia. Przygotowano mi wyborne danie. Dopiero później dowiedziałem się, że ponieważ nie było wieprzowiny, kucharz odciął pośladki zabitemu Saraceniowi...

– Przeróżające, panie. Musiałeś wymiotować...

– Wcale nie. Możesz mi wierzyć, potrawa smakowała wyśmienicie. Saraceni musiał być młody, a kucharz, oczywiście, był mistrzem sztuki kulinarnej.

Modred opanował wstręt, który go ogarnął, a jeszcze się pogłębił, gdy król opowiedział mu z kolei o uczcie, jaką wyprawił bogatym jeńcom saraceńskim, oczekującym wykupienia. Podano im tylko jedną potrawę. Przed każdym gościem postawiono na talerzu głowę jednego z zabitych jeńców ugotowaną w całości, ze skórą i włosami.

Te wydarzenia, wstrząsające dla dzisiejszych umysłów – chociaż wiek dwudziesty potrafił zgotować ludziom jeszcze gorszy los – nie były czymś wyjątkowym w historii europejskiego średniowiecza. Bywało, że szlachetny rycerz, dowiedziawszy się o zdradzie własnej małżonki, kazał jej podać do zjedzenia serce jej kochanka, przyrządzone w pasztecie lub z sosem. Gdy niejaki Raimon de Rossille zapytał swoją żonę jak jej ta potrawa smakowała, usłyszał jako odpowiedź:

– Taka wyborna, że nigdy w moich ustach żadne inne jadlo nie zatrze słodczy smaku, jaki pozostawiło serce Guillema de Caba-stanha.

Wybiegła z sali jadalnej i rzuciła się w przepaść z murów zamkowych.

Po dziś dzień, według tradycji zrodzonej z nieludzkiego barbarzyństwa Ryszarda Pierwszego, na wielu karczmach i zajazdach w Anglii widnieje szyld: „Pod Głową Saracena”.

– Drzewo Krzyża Świętego, które rzekomo Saraceni gdzieś zagubili, odnalazło się natychmiast po masakrze jeńców i znowu wleczono je w obliczu obu wojsk, przywiązane do końskiego ogona. Templariusze i szpitalnicy koniecznie chcieli natychmiast zaatakować bluźnierców. Wstrzymałem ich: Ani Jerozolimy, ani Krzyża nie zdobędziemy bezpłodnymi napadami dla pomsty, dla okazania naszej odwagi. Saraceni są potężni, a mogą jeszcze posiłki przywołać – niepolicone. Naszym celem jest Święte Miasto, a jedyną szansą zdobycia go – zachowanie siły naszych wojsk. Oparcie o Akkę nie wystarcza, by nas zabezpieczyć. Musimy jednym, zdyscyplinowanym, dobrze przygotowanym uderzeniem wypędzić Saracenów z większych połaci przymorskich ziem.

Wybrzeże Lewantu w rękach Saladyna rozciągało się od Antiochii po Darium, na południe od Gazy, i około pięćdziesiąt kilometrów na wschód, włączając rzekę Jordan i Morze Martwe. Ryszard postanowił pomaszerować na południe, nim skręci na wschód do Jerozolimy, o jakieś czterdzieści kilometrów od morza. Siły Franków liczyły, ponoć sto tysięcy jazdy i dziesięć tysięcy piechoty. Te liczby były zapewne przesadzone, może nawet trzykrotnie. Interesujące jest spojrzenie na wojska krzyżowców z punktu Saracenów, na co nam pozwalają zachowane kroniki.

Saladyn chciał przyprzeć chrześcijan do wybrzeży, zapędzić ich w morze. Dysponując dwakroć liczniejszymi wojskami, początkowo zastosował taktykę wysyłania niezbyt dużych oddziałów jazdy, by chmurami strzał nękać chrześcijańskich rycerzy, a także kusić ich do łamania szeregów i prób odwetu. Jednakże Ryszard trzymał żelazną ręką swoich ludzi. Ich zdyscyplinowanie budziło podziw saraceńskiego kronikarza z otoczenia Saladyna, nazwiskiem Beha ad-Din:

„Wojska chrześcijańskie na trzy armie podzielone były: pierwszą dowodził król Jerozolimy, a szła ona na czele; druga, umiejscowiona pośrodku, składała się z Anglików i Francuzów; reszta maszerowała w odwodzie. Każda z trzech armii dzieliła się na dwie części: jedna w pewnym oddaleniu od wybrzeża się posuwała i ta odpierała ataki

żołnierzy muzułmańskich; druga, maszerująca wzdłuż morza, była przez poprzednią osłaniana. Gdy ci pierwsi pomęczyli się już bardzo, drudzy ich zmieniali. Co do jazdy, ta trzymała się zawsze pośrodku, piechotą jakby murem otoczona, i nie opuszczała własnych szeregów, prócz wyjątkowych okoliczności. Żołnierze nosili odzież z grubego filcu, a także drucziane koszule, co ich przed strzałami chroniło. Widziałem Franków z dwudziestoma i więcej strzałami tkwiącymi w nich, a poruszali się całkiem swobodnie. Oni zaś naszych dzidami przebijali, mordując konie i jeźdźców. Opowiadam tutaj, co sam widziałem, albo co mi dezerterzy i jeńcy donieśli. Frankowie zachowywali ten sam szyk w pochodzie i w bitwie: nigdy też od głównych sił nie odłączali się, choćby ich różnymi sposobami skusić próbowano...”

Pierwszym celem pochodu Ryszarda był Askalon, na południe od Jaffy, której nie można było zaatakować, dopóki nie została okrążona. Odległość nie przekraczała dwustu kilometrów, uwzględniając zakręty w głąb pustyni, konieczne dla obejścia dookoła Jaffy.

„Posuwali się pomału – pisał Beha ad-Din – ponieważ krok stosowali do floty żeglującej wzdłuż wybrzeża a załadowanej prowiantami i bagażami. Dzienny marsz musiał być krótki ze względu na pieszych, którzy często sami nieśli na plecach swoje bagaże i namioty z powodu braku zwierząt jucznych. Podziwiać trzeba wytrwałą uporczywość tych ludzi, narażających się na niebywałe umęczenie, bez zapłaty ani żadnej prawdziwej korzyści”.

Tutaj kronikarz muzułmański nieco przesadził w swym uznaniu dla wroga. W rzeczywistości krzyżowcy byli opłacani, a mało którego ominęły „prawdziwe korzyści”. Rycerze angielscy otrzymywali szylinga dziennie, co dzisiaj może się wydawać błahą kwotą, ale podówczas stanowiło równowartość tygodniowego dochodu sporego gospodarstwa. Żołd wypłacano z góry, także podczas służby poza granicami kraju. Bez dodatkowej zapłaty rycerz musiał się zaopatrzyć w wierzchowce i zbroję. Z drugiej strony mógł się spodziewać łupów i pieniędzy z okupu za wziętych do niewoli wrogów, bo król Ryszard

bardzo skrupulatnie rozdzielał wszelką zdobycz wojenną. Setnikom, gdy przyprowadzili ze sobą jednego konia, płacono cztery pensy dziennie; jeżeli dwa konie – sześć pensów. Żołnierzom pieszym – po dwa pensy dziennie. Wszyscy mieli udział w zdobyczach i okupach, proporcjonalny do otrzymywanego żołdu. Byli wśród nich także zawodowi najemnicy, zwerbowani ze wszystkich krajów europejskich. Niektórzy pogardzali nimi. Inaczej Ryszard: „Żeby mi się tutaj nikt nie krzywił na ludzi dość uczciwych, by przyznać, że walczą dla zarobku! Niejeden z nas ma tajemne powody, które są mniej warte szacunku, a tylko je pokrywa chępliwymi słowy.”

„Najczęściej – pisał dalej Beha ad-Din – muzułmanie atakowali wojska chrześcijan z trzech stron, od wschodu, północy i południa, tylko w stronę morza wolne przejścia zostawiając. Podczas tych ataków widziałem Sułtana, jak galopował pomiędzy dwoma wojskami, nie bacząc na chmury wysyłanych za nim strzał, z jednym tylko albo dwoma konnymi u boku; widziałem, jak zachęcał wojowników i dodawał im ducha. W powietrzu rozbrzmiewały dźwięki bębnów i trąb i okrzyki naszych ludzi: „Allah jest wielki”. A jednak armia chrześcijan utrzymywała formację: nigdy się nie załamała; nigdy nie pomieszała szyków, zasypywała naszych jeźdźców i konie strzałami. Pochód nie ustawał podczas naszych ataków, ale gdy chrześcijanie zatrzymywali się, by rozbić obóz, nasi musieli się wycofywać. Nic by wówczas na ataku nie zyskali, więc najbezpieczniej było odejść...”

Rzeczowe sprawozdanie – tym cenniejsze że stanowi świadectwo doskonałego opanowania przez Ryszarda sztuki militarnej i dyscypliny wojsk w obliczu uporczywych ataków przeważających liczebnie sil.

* * *

Rozstając się z kronikami muzułmańskimi, wróćmy do jednej wielu nocnych opowieści, jakie snuł Ryszard, wzięwszy sobie Mo-

dreda za powiernika.

– Zdarzyło się kiedyś, że. Saraceni napierali za mocno. Tak ostro nacierali i w tak wielkiej liczbie, iż musiałem wydać mojej piechocie rozkaz, by rozwarła szeregi. Jeźdźcy saraceńscy przejechali, nie mogąc powstrzymać impetu. Nadziali się na nasze włócznie i miecze. Pozabijaliśmy wielu, nim reszta zdołała zawrócić konie i z powrotem pogalopować. A wtedy dla mnie nadeszła najtrudniejsza chwila, bo musiałem koniecznie pohamować naszych rycerzy, by się w pogoń za uciekającymi nie puścili...

– A czyż pościg nie rozbiłby uciekających Saracenów?

– Tylko ci uciekali, którzy na nas atak przypuścili. Wielka liczba czekała ich powrotu. Gdyby moja jazda tam się zapuściła, starto by ją na proch.

– Czy w, tym okresie nie prowadziłeś żadnych negocjacji z Saladynem, wasza królewska miłość?

– Właściwie nie. Po porażce jego wielkiego ataku posłał do mnie swego syna, Safadyna, z propozycją rozejmu. Mogłem mu odpowiedzieć wzgardą, bośmy już ich wojska wypróbowali, znaleźmy ich wartość bojową i słabe strony: „Rozejm i owszem, ale dopiero wtedy, gdy sułtan wycofa się z całej Ziemi Świętej i zwróci ją we władanie chrześcijanom.”

– Takie warunki Saladyn odrzucił...

– Oczywiście. Może samolubnie, ale tak naprawdę wcale nie chciałem, żeby moje warunki przyjął. To przecież byłby dla mnie koniec Palestyny i powrót do Europy, z jej śmierdzącą polityką, krnąbrnymi wasalami i nużącym administrowaniem. Wyprawa krzyżowa była świetną, czystą wojną. Prowadziłem zjednoczoną, mniej więcej posłuszną armię przeciw jednemu, widzialnemu, określönemu nieprzyjacielowi. I wiesz co: bardzo polubiłem pustynię. „Sypiałem owinięty w płaszcz na piasku, bez żadnego namiotu. Zrywałem się przed świtem, patrzyłem, jak mroczne cienie nabierają kształtów, gdy od wschodu ustępowała ciemność. Wyłaniały się zarysy koni, ludzi, znanych mi twarzy. Chodziłem po obozie, roz-

mawiałem z każdym, kto choć trochę znał francuski, kiwałem głową i uśmiechałem się do tych, z którymi pogadać nie mogłem, lustrowałem ich ekwipunek, odzież. Męskie życie. Wieczorem wino i kości. A podczas pochodu – surowy rygor. I byli mi posłuszni, wbrew własnym inklinacjom, bo mi zaufali, bo wierzyli, że ręka boska jest nade mną, a jeżeli nade mną, to i nad nimi...

Ryszard sam w to uwierzył, jak wierzyli po większej części jego wojownicy. Dla człowieka średniowiecznego, jak później dla malarzy renesansu, Bóg był rzeczywisty, cielesny, nieomal dotykalny. Wszystko widział, wszystkim kierował, nawet wydawał czarownice i heretyków w ręce księży i prawa. Rzucił przekleństwa na pogan, niweczył ich podstępne kroki. Rycerze byli przekonani, że Bóg osobiście dodawał im siły, by wznosili swe olbrzymie miecze i wojenne topory w walce. Głos Boga – potępiający, pochwalający lub zachęcający – rozbrzmiewał w ich sercach: „Naprzód, Ryszardzie! Ścinaj głowy, odrąbuj ramiona! Winienem Belzebubowi parę dusz w zamian za te, które mu ostatnio w Azji z paszczy wyrwałem...”

* * *

Wojska krzyżowców powolnym, ale wytrwałym pochodem zdążyły na południe wzdłuż wybrzeża. Niekiedy wysyłano podjazdy pod wodzą Moultona, D'Oyly'ego albo Montferrata, by zdobyć jakiś zameczek nadbrzeżny albo złupić okolicznych mieszkańców i przywieźć skąpy prowiant. Bywały też konieczne postoje dla naprawy broni i ekwipunku.

W zwartym, zdyscyplinowanym szyku kolumny wojsk podeszły do Arsuf, wąwozu między brzegiem morza a łańcuchem zalesionych wzgórz. Było to bardzo niebezpieczne przejście. Król wzmocnił straż tylną i wysłał najbardziej zaufanych wojowników na zwiady.

– Na otwartym terenie z dała wroga widać – przypominał. – Tu nas może zaskoczyć. Jeśli tego popróbuje, to zapewne wówczas, kiedy część naszych wojsk już się przez wąwóz przeprawi. Niechaj

dowódcy o niebezpieczeństwie ostrzegą, aby każdy gotów był w miejscu zawrócić i bez zamieszania kontratakować.

Przewidywania okazały się słuszne. Gdy mniej więcej połowa wojska Franków minęła wąwóz, Saraceni natarli z furią na tylną straż, dowodzoną przez de Lusignana. Trębacze zagrali na alarm. Rycerze zakonu szpitalników, stanowiący przeważającą część tylnej straży, zaczęli pod naciskiem ustępować, mieszać szyki. Pod de Lusignanem ubito konia. Ale główne siły zawróciły. Wywiązała się zacięta walka wręcz. Wielki, dwuręczny miecz Ryszarda błyskał nad ciżbą, kładąc pokotem wszystko przed sobą... Jazda frankońska od czoła i ze straży tylnej rąbała Saracenów, szukających, jak by ująć ciosom szabel. Konrad de Montferrat dokonywał cudów waleczności, porównywalnych jedynie z wyczynami samego króla. Z dała zagrały trąby nawołujące Saracenów do odwrotu. Konrad zebrał wokół siebie grupę rycerzy i poprowadził ich do ostatniego, morderczego ataku na uciekającego nieprzyjaciela, ale oparł się pokusie dalszej pogoni. Najszybsi z saraceńskich jeźdźców zdołali ująć z życiem. Wąwóz niebawem opustoszał, zostali tylko zabici: ponad dwa tysiące Saracenów i siedmuset Franków.

Zabrawszy własnych rannych, po dobieciu wrogów – prócz tych, za których można było się spodziewać wysokiego okupu – nie zatrzymując pochodu dla pogrzebienia zabitych, Ryszard nakazał dalszy pochód do Ascalonu. Uciekający Saraceni dotarli tam jednak przed Frankami, a że pamiętali o losie załogi Akki, zburzyli fortyfikacje i wycofali się, zagarniając ze sobą większość mieszkańców.

Po bitwie w wąwozie Arsuf Ryszard zasłużenie chwalił Konrada de Montferrat. A w czasie dalszego pochodu w kierunku Jaffy, templariusze i szpitalnicy nawiązali ukradkiem rozmowy z Moultonem i D'Oylym. W Jaffie – znanej ze Starego Testamentu, której nazwę Aleksander Wielki zmienił po jej zdobyciu na „Joppa”, a gdzie święty Piotr wskrzesił z martwych Tabitę i doznał niezwykłego objawienia – Moulton zwrócił się do króla Ryszarda na pozór mimochodem:

- Pod Arsuf Konrad lepiej się spisał od Guya...
- Walczył dzielnie – przyznał król.

Z kolei D'Oyly wtrącił ostrożnie:

- Ten niespokojny kraj dobrego wodza potrzebuje...
- A przestańcie kluczyć w kółko! – przerwał im Ryszard, zniecierpliwiony. – Wy dwaj dowiedzieć się chcecie, jak łatwo odgadnąć, czy potwierdzą nominację Guya de Lusignana na króla Jerozolimy. I żadnego z was dwóch właściwie to wcale nie obchodzi. Więc gadajcie bez ogródek: w czyim imieniu występujecie?

Dwaj rycerze wymienili w zmieszaniu spojrzenia, zachęcając jeden drugiego gestem do mówienia. W rezultacie obaj milczeli. Ryszard krzyknął:

- Cóż to, zaniemówiliście? Płochliwe dziewczki z was, czy mężowie? Odpowiadajcie: w czyim imieniu i w czyim interesie?...

Więc obaj zaczęli mówić jednocześnie:

- Templariusze...
- Szpitalnicy...
- ... nie ufają...
- ... nie chcą Guya...
- ... poniósł porażkę w bitwie pod Hattin...
- ... nie potrafił zdobyć Akki...
- Wzięty do niewoli i wypuszczony przez Saladyna...
- ...od razu złamał dane słowo, że nie będzie walczył przeciw Saracenom.

Ryszard wykrzyknął z pogardą:

- Jeżeliby takie złamanie słowa miało być plamą na honorze rycerza, to mało kto z tych, co przebywali kiedyś w niewoli, ocaliłby reputację...

- Ale taki człowiek jako król zraziłby Saracenów...

– I przecież to Konrad właściwie był inicjatorem naszej wyprawy krzyżowej...

- ... co w praktyce usunęło kwestię Ziemi Świętej z orbity spraw Kościoła i uczyniło z niej problem polityki europejskiej...

- Ani Guy, ani Konrad nie są dziedzicami w prostej linii dawnych królów Jerozolimy...
- ... Guy, drugi mąż Sybilli, starszej córki Anaryka Pierwszego...
- ... a Konrad – drugi mąż Izabelli, młodszej córki...
- Większość baronów wołała Konrada i nadal jego by chcieli...
- Guya ukoronowano z rozkazu niesławnej pamięci Reynalda de Chatillon...

– ... i odprawiono ceremonię w Wielki Piątek, zamykając bramy przed templariuszami i szpitalnikami, a tym samym przełamując tradycje koronacyjne...

Ryszard odwrócił się i odszedł od gorliwych adwokatów. Umysł jego już pracował nad rozstrzygnięciem problemu. Niebawem kazał wezwać do swego namiotu Guya de Lusignan. Zaproponował, że sprzeda mu tron Cypru, zagarnięty Izaakowi Komnenosowi. Wiedząc o własnej niepopularności w Ziemi Świętej, Guy chętnie przyjął sposobność wycofania się z różnorodnych kłopotów i wyjazdu na stosunkowo spokojną a bogatą wyspę śródziemnomorską.

Przed oblicze króla przywołano następnie baronów wraz z Konradem.

– Czy zechcecie tego tu obecnego rycerza de Montferrat wybrać królem Jerozolimy? – zapytał Ryszard, a odpowiedział mu jednogłośny okrzyk:

– Chcemy! Od dawna! Niechaj panuje!

Guy de Lusignan zapoczątkował na Cyprze dynastię królewską. Założył na swojej małej wyspie bazę wojskowo-dostawczą dla przyszłych wypraw przeciw Saracenom. Ściągało tam z Palestyny wielu chrześcijańskich kupców, skuszonych dobrobytem, przyjemnym klimatem i handlowymi perspektywami, uciekając z okolic nieustannie narażonych na działania wojenne, oblężenia i niszczenie portów i miast.

Modred, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o Konradzie de Montferrat, o którego losie dziwne krążyły wieści, zapytał:

– A co z zabójstwem de Montferrata? Fakt jest powszechnie znany, ale dlaczego cesarz obwinia waszą królewską miłość...

– A, nie dbam o to. Na pewno jakieś tam machinacje twojego księcia, któremu jesteś tak wierny, zła to lojalność, chociaż ją szczerze podziwiam. W Palestynie ogólnie się zgadzano, że ja w tej sprawie żadnego udziału nie miałem. Ale gdy mi doniesiono, że niektórzy z braci szpitalników i templariuszy mnie jednak podejrzewają, wezwałem ich wszystkich do siebie i tak im powiedziałem: „Uczynek tego rodzaju, jak wiecie doskonale, byłby w zupełnej sprzeczności z moim charakterem. Nigdy nie odczuwałem przed nikim, wrogiem czy druhem rycerzem, takiego strachu, iżbym nastawał na czyjeś życie inaczej jak otwarcie, z mieczem w ręku. Nasłany morderca, sztylet podstępnie w plecy wepchnięty – to nigdy moim sposobem nie było i nigdy nie będzie”. Musieli mi przyznać rację. Ukradkowe pomruki ustały. I to był koniec całej historii, o ile mi wiadomo.

W tym wypadku informacje Ryszarda niezupełnie odpowiadały rzeczywistości. Nie wiedział, że Leopold austriacki dostał w swe ręce list pisany przez Raszyda ad-Dina Sinana, wodza asasynów. Książę nie ujawnił nikomu treści listu. Gdyby ją znano, Leopold nie mógłby zrealizować swojej intencji oskarżenia Ryszarda po powrocie krzyżowców do Europy.

Tymczasem warunki uwięzienia Ryszarda zaczęły się systematycznie pogarszać. Ustały odwiedziny Modreda. Więźnia żywiono tylko chlebem i wodą, a tych prymitywnych posiłków nie przynosiła mu już Margot, lecz nieokrzesany, na wpół idiota, strażnik. Za dnia Ryszard wywierał swoją wściekłość z powodu tych zmian jałowym waleniem pięściami w drzwi i ściany. Na zmianę przerywał sobie uspokajającą grą na lutni i śpiewem. Jego głęboki baryton rozchodził się daleko.

Nocami Margot nadal przychodziła do celi, przynosząc nie tylko rozkosz swojej miłości, ale także przysmaki, które same przyrządzała.

– Mego ojca ksiązę Leopold zawezwał do Wiednia – powiedziała pewnego wieczoru.

– Kto przejął po nim komendę na zamku?

– Teraz mamy nie jednego komendanta, ale trzech. Nie znam ich. To Niemcy, od dawna na służbie książęcej. Szorstkie, grube chłopcy. Nie rycerze, a jeżeli noszą pas i ostrogi, to pewno za spełnienie jakiegoś niecnego uczynku. Powiadają, że ksiązę im obiecał odpoczynek w górach i pod dostatkiem rozrywek. Służąca, gdy im to powtarzała, dorzuciła, że się przy tych słowach śmiali złośliwie.

– Wydaje mi się, że dla twego własnego bezpieczeństwa powinnaś być tu ze mną za dnia, nie tylko nocą – powiedział żartobliwie Ryszard.

– Będę przez cały dzień siedziała zamknięta w mojej izbie razem z towarzyszką. Słudzy i strażnicy będą mi przynosili wiadomości o tych gościach w zamku, a skoro tylko dowiem się o czymś ważnym, zawiadomię ciebie.

Owych „gości” świeżo przybyłych do górskiej twierdzy ksiązę Leopold sam dobrał i osobiście dokładnie pouczył.

– No, i życzę wam powodzenia – rzekł na koniec. – Tylko żałuję, że sam nie mogę być świadkiem waszej zabawy.

Rozdział 8

LWIE SERCE

Opowiadanie Blondela trubadura:

„ – Gdzie jest król Ryszard?

Zadawano sobie to pytanie w całej Anglii, w znacznej części Francji, w dominiach andegaweńskich. Najpotężniejszy z wojowników, równy wśród poetów, jeden z nas – trubadurów, wesoły kompan przy obozowym ognisku czy w tawernie. Znikł. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, może tylko parę koronowanych głów znało tajemnicę. Zasztyletowany przez bandytów czyhających nocą? Złożony chorobą? Gnijący w zapowietrzonym lochu więziennym? Może jakieś pomniejsze księstwo włoskie żądało za jego wolność koronnych klejnotów Akwitania i Anglii?

Według mnie, to ostatnie domniemanie było najbardziej do prawdy podobne, chociaż pojmo wałem, że ten, który go pojął w niewolę, mógł być również dobrze mało znanym hrabią, jak i potężnym księciem. Gdy inni roztrząsali wszelkie możliwości i czekali wieści, ja, Blondel, trubadur, postanowiłem działać. Wielkie to było przedsięwzięcie i nie lada trudu wymagające. Widzicie tę harfę – nie błahostka. Zważcie ją w ręku... Przymocowałem ją rzemieniem do moich pleców, na długiej, brunatnej opończy i wyruszyłem na poszukiwania, po wszystkich zamkach Niemiec, Austrii, Italii, Sycylii. Ile męczących mil drogi mnie czekało, jak mi zaciąży mój instrument na plecach – te myśli odganiałem. Ja, Blondel, trubadur, odnajdę naszego druha i przyjaciela, trubadura Ryszarda angielskiego.

Od zamku do zamku wlokłem moją harfę, a coraz mi bardziej ciążyła, a moje stopy w sandałach, wśród skał i kolących krzewów, coraz bardziej bolały. Tu i ówdzie przyjmowano mnie jako trubadura do wnętrza zamkowych, bym grał i śpiewał przed panem i jego dwo-

rem, później mnie karmiono – czasem dobrze, czasem takimi resztkami, jakie zwykle rzucano psom. Potem chodziłem sobie wzdłuż murów, pod wieżami, grając i nucąc melodie, które Ryszard, król i trubadur, najbardziej lubił. Ale Niemcy to nacja ponura i podejrzliwa. Najczęściej mniej przeganiano od bram, z przekleństwami, czasem z kuksańcem. Własnym ciałem osłaniałem harfę, by mi jej strun nie porozrywano. Takie przyjęcie podpowiadało mi, że milczące, wrogie mury kryją zazdrośnie jakąś tajemnicę. Więc wymknąwszy się poza zasięg strzał z luków, powracałem, gdy zapadły ciemności. A pamiętacie – nie potrzebuję tego nawet opowiadać – że zamki niemieckie i włoskie wznoszono zazwyczaj wśród gór, na wysokich szczytach, skąd strażę mogły wzrokiem objąć szeroką przestrzeń. Możecie mi wierzyć: niełatwo było wspiąć się aż pod same mury, i to nie zwykłym, bitym traktem, gdzie by mnie dostrzeżono, ale stromym bezdrożem, przemykając się od jednego głązu do drugiego. A przez cały czas harfa uderzała o moje obolałe plecy.

Wynajdywałem sobie kryjówkę jak najbliżej murów, ale tak, by mnie stamtąd nie dostrzeżono. Późną nocą i wczesnym rankiem przygrywałem z cicha – tam gdzie zwykle więźniów wyprowadzano, by świeżego powietrza zaczerpnęli. Czasem strażnicy zachowywali się obojętnie, może drzemali, może byli w innej stronie murów. Ale nierzadko moje nucenie przerywała strzała, przelatując tak blisko, iż nieomal ocierała się o mój policzek. Kiedy indziej wylewano wiadro w moją stronę, czasem nie chybiano.

Tak przez wiele tygodni włóczyłem się wśród gór różnych krajów. Nadzieja zanikała już w moim sercu, a wkradała się doń rozpacz. Jeszcze jeden zamek, mówiłem sobie, a jeśli go tam nie będzie, zaniecham poszukiwań, niech mi Bóg wybaczy, już nie mogę iść dalej! Ale szedłem do jeszcze jednego. I jeszcze... Aż wreszcie dotarłem do zamczyska, które chyba było z nich wszystkich na szczycie najwyższym. Moje stopy krwawiły, szedłem boso, sandały dawno się rozpadły w strzępy. Każdy krok wydawał mi się ostatnim. Tutaj moja klęska musiała być absolutna. Ale zważcie, jak Bóg

doświadcza nas do granic naszej wytrzymałości, i właśnie wtedy, gdy sądzimy, że nas opuścił – podnosi nas z najgłębszej melancholii.

Zaledwie harfę zdjąłem i ulokowałem się w załomie murów zamkowych, ja, Blondel, trubadur, usłyszałem nad moją głową dobrze mi znany głos, nucący pierwszą zwrotkę piosenki, którą Ryszard sam ułożył i zaśpiewał pewnego wieczoru w Anjou, kiedyśmy byli sami we dwóch, strojąc nasze instrumenty. Od owego wieczora nigdy jej nie grałem, ani też nie słyszałem. Było prawdopodobne, że tylko my dwaj, król i minstrel, znaleźmy tę piosenkę. Więc gdy nabierał tchu, by zacząć drugą zwrotkę, ja sam powtórzyłem słowa pierwszej, cicho na mojej harfie wtórując. Głos za murami milczał, dopóki nie przerwałem, a wtedy zaśpiewał drugą zwrotkę.

Nie miałem żadnych wątpliwości: znalazłem go! Po tylu próbach, po tylu nużących, bezowocnych wędrówkach odnalazłem wreszcie zaginionego króla Anglii i księcia Akwitanii. A teraz nie na wiele bym mu się przysłużył – raczej odwrotnie – gdybym się dał złapać. Nie potrzebowałem niczego więcej sprawdzać. Zarzuciwszy harfę na plecy, zacząłem zsuwać się po głazach stromego zbocza w dół, w dolinę, Obejrzałem się – i ujrzałem go wychylającego się przez otwór blankowanego muru. Szorstkie ręce ściągnęły go zaraz, ale dostrzegłem, że głowy dwóch pobliskich strażników znikły z murów. W chwilę później strzała zaświstała mi koło ucha, utkwiła w skale. Ale ja się już niczego nie bałem. W sercu niosłem pewność, że choćby wszystkie luki w Austrii celowały we mnie, wyższa potęga odwróci każdą strzałę. Bóg i Jego aniołowie, którzy przeprowadzili mnie bezpiecznie przez tyle trudów, bym osiągnął tak wielki cel, nie dadzą mi zginąć w godzinie mego triumfu.

Dotarłem do Rouen i powiadomiłem arcybiskupa o miejscu pobytu króla. Wysłano natychmiast gońców do Anglii. I tak do tej wyspy dotarła wieść o miejscu uwięzienia jej suwerena, najszlachetniejszego ze szlachetnych, najdzielniejszego z dzielnych, przyjaciela książąt i żebraków.

Gdy już król był wolny i wracał na zachód, dotarłszy do Norman-

dii, kazał mnie zawezwać przed swoje oblicze. Ofiarował mi pas rycerski i nadanie ziem. Ale mu powiedziałem, że szukając go, nie myślałem o nagrodach dla siebie. Nie pragnąłem i nie przyjąłem żadnej. Moje szczęście było zupełne w świadomości, że mój pan i suweren jest wolny – dzięki pielgrzymowaniu skromnego trubadura...”.

Tak brzmiała ballada recytowana przez Blondela do wtóru harfy. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że ciekawa to była opowieść. Mało który z wędrownych trubadurów owego czasu znał lepszą lub też zręczniejszą zmyśloną. I ta fikcja przeszła do legendy o królu Ryszardzie, spisana w języku francuskim po raz pierwszy w XIII wieku. Od tej pory niejedynemu historykowi, bez rumieńca zawstydzenia, włączył ją do swoich dzieł. A przecież, gdyby się chwilę zastanowił, nie mógłby tak bezkrytycznie uwierzyć.

Prawda jest bardziej prozaiczna i w pełni udokumentowana. Hubert Walter, który dopomógł w finansowaniu trzeciej wyprawy krzyżowej kupując od Ryszarda biskupstwo Salisbury, opuścił Palestynę w kilka tygodni po swoim władcy. Posłyszawszy na Sycylii pogłoski o uwięzieniu Ryszarda, pospieszył w przebraniu wędrownego mnicha do Wiednia, gdzie na przedmieściu zatrzymał się na nocleg. Jedząc skromny posiłek, złożony z chleba i słoniny, rozpytywał karczmarza i hożą dziewczynę służebną.

– Ponoć niedawnymi czasy przejeżdżali tędy trzej... – zaczął od niechęcia. – Szukam ich... pewno byli za mieszczan przebrani... Może na targach Wiednia posłyszeliście coś...

– Nie tylko na targu, zacny bracie – gorączkowo zaszeptał karczmarz. – Trzej kupcy, jak powiadasz... przed paru miesiącami... Nikt by nie zwrócił na nich uwagi, chociaż jeden nosił się z pańska... Raptem nadjechał z zamku oddział zbrojnych i zabrał ich...

– I co później? – pytał biskup.

– Ja tam się nie mieszam w takie sprawy – odparł karczmarz, oglądając się na drzwi, na okna, za siebie. – O niczym nie wiem... ja tylko piwo targuję...

Jednakże dziewczyna służebna czerwieniąc się przyznała, że kobiecymi sposobami nakłoniła jednego z zamkowych gwardzistów, by jej opowiedział o trzech aresztowanych mężczyznach.

– Powiadał tedy, że jeden był bardzo ważną personą, że wracał z Palestyny, ponoć księżę, a może nawet król, – Dziewczyna westchnęła. – Och, jaki był urodziwy! – Pohamowała się jednak i mówiła dalej: – Przewieźli go do innego, ponoć bezpieczniejszego zamku. Nad Dunajem. Nazywa się Dürnstein, czy jakoś tak...

Biskup Walter wiedział o zatargach między Ryszardem a księciem austriackim. Na nic by się nie zdało iść do Leopolda; wybrał się więc do jego suwerena w Regensburgu. Musiał się dowiedzieć, na jakich warunkach zgodzono by się uwolnić Ryszarda i właściwie na jakiej podstawie go uwięziono. A biskup miał przy sobie list od Raszyda ad-Dina, wodza asasynów – list, za pomocą którego chciał zamącić nieco opinię cesarza o jego austriackim wasalu.

Henryk Szósty miał niejeden powód, by się ucieszyć z przybycia biskupa Salisbury. A Walter, szczwany lis, nie okazywał zrazu gniewu. Wiedział, że oskarżenia, zarzuty, potępienia – niewiele tu wskórają; więcej zdziała przebiegła dyplomacja.

– Wasza cesarska miłość... zawiadomiłeś już zapewne Akwitanie i Anglię o położeniu, w jakim król Ryszard się znalazł?...

– Nie bezpośrednio. Ale król Filip francuski wie, chociaż miejsca pobytu nie zna, więc suponuję, że powiadomił Jana, brata waszego króla. To chyba zresztą jasno wynika z wieści, że Jan próbował, acz bezowocnie, tron Ryszarda objąć. Ja zaś otrzymałem od króla Filipa propozycję znacznej sumy za zatrzymanie waszego królewskiego pana w zamknięciu...

– Skandal! – wykrzyknął biskup. – Król Francji winien być ekskomunikowany za taką propozycję...

– Zgadza się – powiedział gładko Henryk i zaraz dorzucił: – Ale oczywiście sugestia króla Filipa podwyższy sumę, którą początkowo tytułem okupu chciałem wymienić...

– Dlaczego właściwie król Filip?...

– Och, to jasne. Brat króla Ryszarda palce w tym maczał. Mówiono mi, że gotów jest wpłacić część sumy, którą Filip mnie zaproponował...

Biskup potrząsnął głową i przygryzł wargi.

– Owszem, mógłbym uwierzyć w taką możliwość... – I dodał w zamyśleniu: – Do jakich nizin zdrady gotowa się posunąć szalona ambicja!

– Nie uczynię w tej sprawie niczego, co by mogło być z korzyścią dla Jana – powiedział Henryk. – Za bardzo się łąsi do króla Filipa. Dla cesarskiego władania w Europie silna i zjednoczona Francja może stanowić zagrożenie. A Francja, ściśle powiązana z Akwitanią i Anglią... strach pomyśleć...

– Dziwi mnie nie pomалу, że wasza cesarska miłość nie posłałeś bezpośrednio wieści do Anglii.

– Na to jeszcze czas. Im dłuższa niewola króla, im większy niepokój jego poddanych, tym łatwiej na słuszny okup się złożą. Chociaż nawet jeszcze księcia Leopolda nie spłaciłem za zdobycie tak cennego jeńca i pozostawienie go do mojej dyspozycji – mój skarbiec świeci pustkami. Całe cesarstwo, to skóra i kości. Ufam, że teraz przytyje trochę za sprawą jeńca, którego podobało się Bogu zesłać nam ku poratowaniu.

– Ale gdy wasza cesarska miłość zwleka, król Filip wzrasta w siły i potęgę...

– I on ma kłopoty na głowie. Wtrącił się do spraw Duńczyków. To zgniewało Niemców, którzy teraz tym chętniej do mnie się garną. A odtrącając żonę, którą miał przez dwadzieścia cztery godziny, naraził się papieżowi Innocentemu. Ja zaś prowadzę pertraktacje z Tankredem, co mi przychylność papieża zyskuje...

Biskup Walter dostrzegł szansę:

– W takim razie zapewne większość dawnych skarg na mego pana i władcę straciła znaczenie?...

– Zawsze jeszcze pozostaje sprawa poduszczenia do zabicia Konrada Montferrat.

– Wiem z całą pewnością, że księżę Leopold jest w posiadaniu – chyba że go zniszczył – listu, całkowicie uniewinniającego króla Ryszarda od tak haniebnego zarzutu...

Biskup pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Wiedział, że to był szczytowy moment jego audyencji u cesarza.

– Księżę Leopold? – powtórzył cesarz zadziwiony. – Ale to przecież on właśnie wniósł oskarżenie.

– Król i księżę posprzecjali się, wasza cesarska miłość. Mój suweren ma porywczy temperament...

– Wiem... jak bym mógł nie wiedzieć? Ale sprzeczka to rzecz jedna, a oskarżenie o morderstwo – całkiem inna. Na jakiej podstawie wasza wielebność deklarujesz, że twój król nie jest winny?

Biskup wydobyl z fałd sutanny dwa pergaminy.

– Oba te dokumenty – rzekł – noszą podpis Raszyda ad-Dina Sinana, wodza organizacji znanej pod nazwą asasynów. Pierwszy z listów adresowany jest do mnie i przypomina o istnieniu drugiego, który przed kilku miesiącami do księcia Leopolda wysłano. Wydaje się, że księżę ukrył go i nikomu jego treści nie ujawnił...

– A drugi dokument?

– To kopia listu wysłanego pierwotnie do księcia. Pozwoli wasza cesarska miłość, że odczytam...

Cesarz skinął głową i słuchał z namarszczoną brwią.

– „Raszyd ad-Din Sinan, starszy bractwa Hashishiyun, do Leopolda, księcia Austrii – pozdrowienia. Jako że dowiadujemy się, iż wielu książąt i królów zamorskich Ryszarda, króla Anglii, oskarża o śmierć markiza de Montferrat, przysięgam na Boga jedynego, którego czczę, i na prawa, których przestrzegam, że nie miał on żadnego udziału w pomienionej śmierci. A oto przyczyna i sposób zabicia markiza:

Jednego z naszych braci, podróżującego statkiem z Saltelya do naszych portów, burza zagnała w okolice Tyru, a markiz de Montferrat porwał go i zabił, zagarniając wiezione przez niego pieniądze. Wówczas my skazaliśmy markiza Konrada de Montferrat na śmierć.

Wysłaliśmy do Tyru dwóch naszych braci, którzy go zabili. A wiedzcie z całą pewnością, że my nie zabijamy żadnego człowieka na świecie dla zysku lub nagrody, a tylko za karę, kiedy jednego z nas skrzywdzi...”

Skończywszy, biskup Walter czekał w milczeniu na reakcję cesarza, który głową potrząsał i pocierał policzek. Minęło dobrych parę minut, nim biskup odchrząknąwszy zdecydował się zabrać głos:

– Zważywszy na poprzednie waszej cesarskiej miłości uwagi oraz ten list, wydaje mi się, że nie ma już przyczyny, a tym mniej usprawiedliwienia, by mego pana i władcę dłużej przetrzymywać w niewoli. Zatem najpokorniej proszę, aby mi wolno było służyć eskortą...

– ...a mój pusty skarbiec? – przypomniał, wciąż jakby w zamyśleniu, cesarz.

– ...warunki waszej cesarskiej miłości? – zapytał biskup.

Jednak cesarz nie odpowiedział wprost.

– Nie jest moim życzeniem zagłada państwa Plantagenetów. Przeciwnie, mniemam, że jego potęgą mogłaby użytecznie powściągać niepohamowane ambicje króla francuskiego, a służyć wsparciem mojej własnej intencji przywrócenia zwierzchności cesarstwa nad całym światem chrześcijańskim...

– A ta zwierzchność w coraz większej mierze w ręce papieża przechodzi – mruknął Walter.

– Właśnie. Ostatnio, zamiast by cesarze mianowali papieży, to właśnie papieże mianować cesarzy usiłują. Kościół całą władzę polityczną zagarnia. Chciałby przekształcić świeżo uzyskaną niezależność w supremację. Temu trzeba zapobiec. A twój król mógłby mi w tym dopomóc – wpłacając okup w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy marek...

Biskup aż się zachłysnął.

– Najjaśniejszy panie, żartujesz sobie ze mnie... takiej sumy nigdy...

– Owszem, zbierzecie tyle, nie wątpię – odparł z całym spokojem

cesarz. – Przyznaję, że suma jest dość wyjątkowa, ale Ryszard Plantagenet jest również człowiekiem wyjątkowym, że już nie wspomnę o zawartości mieszków angielskiej arystokracji i szlachty. Są bogaci...

– Może byli niegdyś, najjaśniejszy panie. Ale na wyprawę krzyżową wyciśnięto z nich wszystko, co się tylko dało.

– Jak ich znowu pociśniesz, to się okaże, że jeszcze sok puszcza. Na miły Bóg, biskupie, czy ty mógłbyś sądzić, że nawet ci chłodni Anglicy nie zapłacą, gdy chodzi o wypuszczenie ich suwerena z niewoli?

– Powiedzmy, osiemdziesiąt tysięcy marek w srebrze – zaproponował biskup, chociaż bez wielkiej nadziei.

Targi trwały przez kilka dni. Cesarz i biskup spierali się niczym Przekupki na targu.

– No, niech wam będzie sto dwadzieścia tysięcy...

– Dziewięćdziesiąt...

– Sto dziesięć...

– Dojdę do stu...

W końcu cesarz stracił cierpliwość.

– Dosyć tego. Sto tysięcy marek w srebrze jako pierwsza wpłata. Zgadzam się. Ale to jest tylko pierwsza wpłata, zapamiętaj. I wraz z tą sumą zakładnicy muszą przyjechać. Dwustu zakładników, wybranych spośród najpierwszych rodów angielskich.

Biskup nie wątpił wcale, że sto pięćdziesiąt tysięcy marek można będzie zebrać. Jednakże na to trzeba czasu, może nawet kilka lat. Dlatego tak się targował. Sto tysięcy – to szybciej pójdzie, a król będzie mógł powrócić na tron i do swoich obowiązków. Jeszcze jedną prośbę wysunął: aby mógł zobaczyć się ze swym panem i suwerenem.

– Nie ma czasu. Dürnstein daleko stąd, w odwrotnym kierunku niż ty, wielbny ojcze, musisz się z całym pośpiechem udać.

– Więc proszę mi jedno przyrzec, jako osobistą łaskę: aby warunki uwięzienia mego pana mogły być łżejsze. Mówiono mi o chlebie i wodzie, o szorstkich łachmanach, o tym, że żadnych gości widywać nie może...

– Pomyślę – odpowiedział cesarz. – Teraz jedź już. – A dowódcy straży rozkazał: – Służcie eskortą wielebnemu biskupowi przez zwodzony most i o pięć mil dalej, a dopilnujcie także, by miał wszelkie zaopatrzenie na długą drogę.

Tak więc nie minstrel, lecz biskup przywiózł do Rouen i Londynu pierwsze szczegółowe wieści o uwięzieniu króla Ryszarda.

* * *

Ryszard w swojej komnacie sypał kruszyny chleba myszom, jedynym teraz gościom odwiedzającym go w niewoli, prócz strażnika o zarośniętym obliczu, przynoszącego chleb i wodę, no, i prócz nocnych odwiedzin Margot. Myszy nie bały się wcale królewskiego karmiciela. Jadły mu z ręki, wbiegały po ramieniu, przysiadając na rozłożystych barach. Margot weszła – i ledwo zdławiła okrzyk przestachu. Myszy zbiegły w dół, na stół i ze stołu na podłogę, szurając w pośpiechu łapkami zdążyły chyżo do norek.

– Widzisz – rzekł Ryszard – ciebie się boją, słabszej z nas dwojga, bo ty się nimi brzydzisz. Moja siła wcale ich nie trwoży. Wiedzą, że lubię ich kompanię. I nie uciekają ode mnie.

Margot podbiegła do niego, porzucając lęk przed myszami.

– Och, mój panie. Niemcy twoich dwóch przyjaciół przywieźli: Sir Thomasa Moultona i Sir Fulka D'Oyly!

– Thomas i Fulk? Czemuś taka wystraszona? Przecież to wspa-
niale! Muszę ich zobaczyć. Ale po co ich tu sprowadzono? Żeby mnie
w niedoli pocieszyć? To chyba serce cesarza bardzo się zmieniło i
zmiękło. A może ci Niemcy więcej współczucia żywią niż...

– Nie, panie. Ich tu przywieziono raczej, by ciebie widzieli, niż ty
ich.

– Co to, zagadkami mówisz, kobieto? Powiadaj prędko! Co się tu
gotuje?

– ... głodzono go przez parę dni... by go wpuścić do twojej izby
jutro skoro świt... a Sir Thomas i Sir Fulk mają być świadkami, kiedy

on... – Margot rzuciła się na Ryszarda, objęła go, głowę przycisnęła do jego szerokiej piersi. Zaklinała ze łzami: – Och, pozwól panie, pomóc ci w ucieczce... ja to potrafię... i może twoi przyjaciele także...

Ryszard wybuchnął gromkim śmiechem i klepnął dziewczynę po plecach nieświadomie boleśnie.

– A więc tak wygląda współczucie niemieckich rycerzy! Już ja im pokażę, jak Plantagenet na ich dziki pomysł odpowie. Uciekać? Nigdy! Za całe złoto i srebro na świecie nie pozbawiłbym się rozkoszy tej walki! Czy Dawid próbował się wymknąć? Czy Samson zbladł ze strachu? Czy Herkules się cofnął? Po wszystkich ziemiach rozebrzmiał ich triumf i brzmi po dziś dzień. I tak będą mój triumf sławić!

– Wspaniały jesteś! Wielbię ciebie... a jednak chciałabym, żebyś się zgodził zechciał... No, dobrze już, niech tak będzie! Taka jest twoja natura... ale posłuchaj, może by jakąś broń?

– Żadnej broni, Margot. Moje własne ramiona wystarczą. Ale przynies mi z tuzin, albo i więcej jedwabnych chustek... I zostaw mnie. Bo tej nocy muszę moje siły gromadzić.

Ryszard nie położył się spać. Nie rozebrał się. Siedział z chustkami owiniętymi wokół rąk, wpatrzony w dębowe drzwi, nabijane ćwiekami. O świecie się rozwarły... Przez próg wepchnięto wielką klatkę... przez nie zamknięte drzwiczki klatki wyjrzał lew... Za klatką – licznie zgromadzeni mężczyźni śmiali się. Byli też Moulton i D'Oyly. Dwaj rycerze, sprowadzeni na świadków tragicznej śmierci swego monarchy, wrywali się i szarpali, ale założono im kajdany na ręce i nogi, a strażnicy trzymali ich mocno.

Ryszard wstał, twarzą do zwierzęcia.

– Witajcie, Thomas i Fulk! – zawołał. – Jeśli jeszcze macie nieco litości w waszych sercach, zachowajcie ją dla lwa!

Bestia, głodzona od kilku dni, ryknęła krótko – i skoczyła. Ryszard zrobił unik i znalazł się za stołem, zyskując dzięki temu osłonę przynajmniej dla dolnej połowy swego ciała. Z całą swą niesłychaną siłą uderzył pięścią w pierś lwa w skoku. Zwierzę padło na stół rozplaszczony, a uniósłszy łeb, ryknęło znowu. Pochylając się,

Ryszard z szybkością błyskawicy wysunął spowite w jedwab prawe ramię i wepchnął je w rozwarły do ryku pysk – głęboko, jeszcze głębiej, palce jak żelazne szpony rozdzierały tkanki... płuca... chwyciły serce, ścisnęły je, ciągnęły, szarpały... i wreszcie oddarte od żył i arterii, wyciągając razem z nim rozbryzgane trzewia, wydobyły je na zewnątrz. Bestia przez chwilę rzucała się jeszcze, później legła nieruchomo.

Król stał. Zacerpnął tchu, wolnym ramieniem uczynił znak krzyża na własnej piersi i krzyknął na osłupiałych, zdjętych trwogą strażników:

– A tym sposobem Bóg i jego aniołowie ze wszystkimi moimi wrogami się rozprawią!

Stracił zabite zwierzę ze stołu, mimochodem, jakby nie większe było od domowego kota, i ruszył do drzwi, niosąc przed sobą w wyciągniętej ręce kapiące krwią trzewia. Strażnicy uciekli, pociągając za sobą przykutych do nich więźniów. Ryszard potężnym kopnięciem odrzucił z hałasem klatkę i wyszedłszy z izby, wielkimi krokami pędził w ślad za uciekającymi strażnikami. Za zakrętem rozwarły się boczne drzwi, Margot wypadła i klękała przed kochankiem, obejmując jego kolana.

– Wstań, kobieto! – krzyknął gwałtownie Ryszard. – Prowadź mnie do tych niemieckich barbarzyńców!

Niemcy na zamku Dürnstein ucztowali, otoczeni całym poczem służby. Stoły uginały się od półmisków z jadem, piwo i wino płynęło strumieniami. Nagle – zamieszanie. Zbrojni pachołkowie, najwyraźniej w popłochu, wpadli z hałasem do wielkiej sieni. Wśród nich – dwaj więźniowie skuci ciężkimi łańcuchami.

Rycerze niemieccy zerwali się od stołu, odsuwając krzesła, stołki i ławki. Co niektórzy przewracali się na podłogę, wślizgli pod stół.

– Idzie tutaj?! Ten zwierz?...

– Nie, panie, jego zwycięzca... Patrz tylko, już tu jest! Ratuj się, kto może!

Nawet ci w wielkiej sieni zamkowej, którzy już się gotowali do

ucieczki, przystanęli, odwrócili się, wbili wzrok w wejście pod szerokim łukiem krużganków. Widok, jaki ujrzeli, otrzeźwił jednych, a innych upewnił, że od nadmiaru trunku mają przywidzenia.

Olbrzym w odzieży z grubego płótna, poszarpanej i splamionej krwią, wpadł do sieni, odtrąciwszy jednym ramieniem halabardników, jakby byli kukłami. W drugiej, wyciągniętej przed siebie ręce trzymał krwawe trofeum: serce, widać przed chwilą wyrwane z piersi, w której biło. Wszyscy osłupieli. Nikt się nie ruszał z miejsca. Czyjeś podniesione ręce zamarły, jakby sparaliżowane w tym geście. Oczy patrzyły bez mrugania.

Olbrzym podszedł do stołu naprzeciw trzech niemieckich rycerzy. Wysoko uniósł swój łup w dłoni, która mogłaby roztrzaskać ludzką czaszkę – i ścisnął go, polewając kapiącą krwią wazy z owocami. Potem umoczył go w srebrnym naczyniu z solą i w obliczu całego osłupiałego zgromadzenia, podniósł surowe i krwawe serce do własnych ust. Wyszarpnął kawał zębami, pogryzł i połknął, znowu wyszarpnął, pogryzł i połknął, bez pośpiechu, a ze smakiem.

* * *

Trzej niemieccy rycerze, zdjęci przerażeniem i wstrętem na widok Ryszarda pożerającego surowe serce przed ich stołem biesiadnym, nie mogli jednak przemóc podziwu dla tego, który z taką mocą i dzikością pokonał lwa. Zarazem strach ich ogarnął na myśl, co ten przerażający olbrzym zechce dalej uczynić, więc popychali jeden drugiego ku wyjściu:

- To nie jest zwykły śmiertelnik...
- On się sprzymierzył z diabłem... a może sam jest diabłem?
- Gdyby mi książę powiedział, nigdy bym się na pięćdziesiąt mil do Dürnstein nie zbliżył...
- Wynośmy się stąd... pędzej!

Dwóch biesiadujących rycerzy zwymiotowało. Trzeci zerknął niepewnie za siebie. Ryszard wsparł ręce na biodrach, głowę w tył

odrzucił – a jego śmiech rozlegał się jeszcze donośniej od ryku lwa, którego potraktował z taką wzdurliwą brutalnością.

Wydarzenie to rozegrało się w tym samym czasie, kiedy biskup Hubert Walter i cesarz Henryk Szósty targowali się w Regensburgu. Książę Leopold powziął swój plan na podstawie podsłuchanych słów cesarza: „Tylko lew mógłby poskromić tego olbrzyma” – na wpół bezwiednego szeptu, wcale nie bardziej śmiertelności od owego fatalnego okrzyku ojca Ryszarda o „krynąbrnym klesze”.

Modred wrócił do Dürnstein, a wstrząśnięty opowieścią Margot o tym, co się wydarzyło pod jego nieobecność na zamku – jeden jedyny raz pominął swego bezpośredniego feudalnego pana i doniósł o sprawie wprost cesarzowi. Wściekły Henryk wezwał do siebie księcia Leopolda:

– Zawiniłeś barbarzyństwem, a co gorsza głupotą. Gdybym potrzebował pozbyć się króla Anglii, było wiele innych sposobów, o których by nie rozpowiadano z takim hałasem. Ale to nie tylko niepotrzebne: odwrotnie, Ryszard musi żyć, koniecznie! To największy atut cesarstwa. Słuchaj, tych trzech Niemców każ potruć albo zadusić, zanim rozpadną o tej historii w całej Europie.

Trzej niemieccy rycerze zginęli na próżno. Tej opowieści nie można było zdławić. Prawdziwy dar niebios dla trubadurów i minstreli, dramat odegrany przez ich ulubionego bohatera, fakt, którego nie trzeba było przyodziewać wytworami wyobraźni.

Cesarz jeszcze nie skończył rozmowy z księciem Leopoldem. Ostro napadł na niego z powodu kłamstw w aferze śmierci de Montferrata:

– To było jedyne rzeczowe oskarżenie, jakie przeciwko Ryszardowi miałem. Reszta – to sprawy polityczne, ulegające zmianom wraz z biegiem wydarzeń.

– Miałem swoje powody – przerwał mu Leopold. – Mój sztandar po wzięciu Akki...

– Ba! – warknął gniewnie cesarz. – Próżność. A za twoje błędy zmniejszam ci udział w okupie o połowę w stosunku do tego, cośmy

między sobą ustalili...

Tymczasem zaszły, radykalne zmiany w warunkach uwięzienia Ryszarda. I w samą porę. Po tym zamachu na jego życie za pomocą wygłodzonego lwa, który miał go zabić, pożreć i zapewne zniszczyć wszelkie ślady jego pobytu na zamku Dürnstein, Ryszard wpadł w taką wściekłość, że znalazł się w niebezpieczeństwie uczynienia sobie samemu krzywdy. Jak oszalały atakował ściany, drzwi i skąpe sprzęty izby, która była jego więzieniem. W ciągu całej niewoli król Ryszard połamał kilkanaście krzesel, rozwalił łoże i kawałkami rzucał w strażników, porozbijał nawet nogi ciężkiego stołu.

Ale teraz więzienie usłano mu różami. Z osobistego rozkazu cesarza dostarczono kosztowne szaty, izbę wyposażono we wszelkie znane podówczas komforty, posiłki znowu były obfite i smaczne, a podawała je nie tylko sama Margot, ale cały zastęp służby pod jej kierunkiem. Na przechadzkach po zamkowych murach pozwolono Ryszardowi, chociaż nadal pod strażą, spotykać się z Moultonem i D'Oylym, również przystrojonymi odpowiednio do rangi przyjaciół wielkiego monarchy. Wieczorami dwaj rycerze razem z Modredem odwiedzali króla i przyłączali się do rozmów, muzyki i gry w kości.

Wkrótce Modred otrzymał rozkaz ponownego przywiezienia króla do Regensburga. Tym razem eskorta, chociaż liczna i zbrojna, zachowywała pozory nie tyle straży więziennej, ile raczej świty, towarzyszącej przyjmowanemu z honorami gościowi. Na zamku, rozstawieni wzdłuż krużganków rycerze nie trzymali w dłoniach obnażonych mieczy, lecz kłaniali się przechodzącemu.

Podczas poprzedniej audiencji Henryk przepowiedział, że za następnym ich spotkaniem Ryszard mniej będzie wyniosły. W rzeczywistości zachowywał się chyba jeszcze dumniej, zwłaszcza na początku. To cesarz spuścił z tonu:

- Winieniem przeprosiny za tę barbarzyńską aferę z lwem.
- Wcale nie. Od wielu miesięcy nie miałem tak wspaniałej zabawy.
- Ja o tym w ogóle nie wiedziałem. Książę Leopold...

– Tacy ludzie na żadną uwagę nie zasługują – Ryszard uczynił gest, jakby zmiatał na bok śmieci. – Nie nadają się ani do dowodzenia wojskami, ani do władania chociażby wioską rybacką...

I jeszcze przeprosiny z powodu oskarżenia o zabicie Montferrata. Cesarz szybko przeszedł do następnego tematu. Poinformował Ryszarda, że chociaż oczywiście nie odzyska jeszcze pełnej swobody, będzie mógł przyjmować gości, a także brać udział w łowach na wilki i dziki – oczywiście w „odpowiedniej” kompanii i jeżeli zechce dać słowo, że nie popróbuje ucieczki. Będzie mu wolno utrzymywać w Dürnstein jakby własny dwór, z Modredem jako ochmistrem. Będzie miał pod ręką specjalnych gońców, by nawiązać i utrzymywać kontakty z podległymi mu krajami w sprawach wagi państwowej.

Tu się zaczynała dyplomacja. Cesarz doszedł do przekonania, że nie da się utrzymać jego dotychczasowej pozycji wobec Ryszarda. Ze swej strony Ryszard uznał, że może tylko zyskać na ułagodzeniu cesarza, przynajmniej chwilowo. Tym bardziej, kiedy mu cesarz powiedział:

– Król Filip chciał koniecznie kupić ciebie ode mnie. Twój brat hołd mu złożył ze wszystkich twoich dominiów na kontynencie... z Anglii jeszcze nie. W zamian Filip obiecał poprzeć Jana w jego wysiłkach, by zająć twoje miejsce...

Mogło się wydawać, że Ryszard przyjął te wieści dość obojętnie:

– Gdy już z powrotem będę w Normandii, bez trudu rozprawię się z królem Filipem. Godzien pogardy. Od dawna się z nim wadzę.

– Jan przeprowił się do Anglii – mówił dalej cesarz – i zawiadomił dwór i Kościół, że nie żyjesz, a w każdym razie nigdy do kraju nie wrócisz. Ale kiedy chciał zawładnąć tronem, twoi normandzcy i angielscy baronowie rewoltę podjęli...

Ryszard pilnował się, by nie zdradzić przed cesarzem żadnych miotających nim uczuć. Powiedział lakonicznie:

– To i dobrze. Mój brat nie da im rady.

Cesarz opowiedział Ryszardowi o wizycie biskupa Waltera, o okupie, o tym, jak bardzo cesarstwo potrzebuje pieniędzy. Wymie-

niona suma była oszałamiająca, ale król, nadal przecież uwięziony, nie pozwolił sobie na okazanie niepokoju.

– Hubert Walter jest człowiekiem oddanym mi i rozumnym. Zrobi wszystko, co trzeba, w Akwitanii, Andegawenii i Anglii. Moi baronowie i rycerze oraz szlachta, gdy zostaną dokładnie uwiadomieni, długo mi gnić tutaj nie dadzą...

Miał na myśli, że jego kanclerze, urzędnicy, biskupi i opaci wycisną z poddanych potrzebną sumę, jak się wyciska moszcz depcząc po winnych gronach. Nie przejmował się tym – nawet gdyby baronowie mieli cierpieć biedę, a wieśniacy głodować.

Cesarz zaprosił króla na ucztę, a podczas obfitego posiłku nawiązał do incydentu z lwem:

– Sposób, w jaki z tą bestią się rozprawiłeś był wspaniały, zdumiewający...

Król wzruszył ramionami.

– Nie miałem wyboru. Lew byłby mnie pożarł, gdybym ja, przynajmniej symbolicznie, nie pożarł jego.

– Gdy wieść o tym powszechnie się rozniesie – powiedział Henryk – a jak mogłaby się nie roznieść?... będziesz znany pod mianem „Lwie Serce”. Tobie ten przydomek podwójnie odpowiada.

Rozdział 9

KOBIETY WOKÓŁ KRÓLA

Nie od cesarza Ryszard dowiedział się po raz pierwszy o zdradzieckich knowaniach Jana z królem Francji. Wkrótce po bitwie w wąwozie Arsuf i śmierci Konrada de Montferrat do obozu krzyżowców przybył z Andegawenii pewien opat:

– Panie mój i suwerenie, słusznie byś postąpił zostawiając zdobywanie Jerozolimy innym, a sam jak najspieszniej do kraju powracając. Książę Jan bowiem spisek knowa, by zagarnąć twój tron i twoje ziemie.

Ryszard wyśmiał rady zacnego opata, ale jednak wypytał go o szczegóły domniemanej zdrady swego brata i spiskowania z królem Filipem. Później ci dwaj właśnie usiłowali za wszelką cenę zataić wiadomość o uwięzieniu króla Ryszarda. Lato roku 1192 nadeszło i minęło, grupy pątników wracały z Palestyny, ale nikt nie przywoził szerokim masom poddanych w Andegawenii i Anglii wieści, co się stało z ich królem? Ci, którzy go uważali za diabelski pomiot, przypuszczali, że ziemia się otwarła i pochłonęła go; ci, którzy w nim widzieli boskie narzędzie dla pokarania niewiernych, sądzili, że anioł uniósł Ryszarda żywcem do nieba. Rzeczywistość choć dość niezwykła, była bardziej prozaiczna.

– Wykupię go od cesarza – mówił król Filip, układając plany do spółki z Janem – albo będę płacił za przetrzymywanie go tam, gdzie jest, dopóki nie zgodzi się oddać mi większej części ziem andegawęńskich graniczących z Francją. Ale ty będziesz musiał też dać kontrybucję, a także zobowiązać się, że gdy odziedziczysz wyspiarskie posiadłości po swym bracie, to złożysz mi hołd lenny z Normandii, Andegawenii i Akwitanii. I musisz naprawić krzywdę, wyrządzoną mojej siostrze Alicji przez twego brata. Ty ją poślubisz

zamiast niego. – I dodał ze śmiechem: – Choć wątpię, byś jej tak dogodził, jak by to Ryszard zrobił.

Jan zignorował wulgarną złośliwość.

– By zdobyć tron Anglii, chętnie na twoje życzenia przystanę. Ryszard miał bardzo wiele – ja prawie nic. Teraz nadarza się sposobność odwetu. I przyrzekam poślubić twoją siostrę.

Ci dwaj mało mieli wspólnego, prócz chęci ograbienia nieszczęsnego króla Anglii bez oglądania się na honor i rycerskość.

W dwudziestym siódmym roku życia Filip już wyłysiał i zestarzał się, zmożony kłopotami władzy dźwiganej od dwunastu lat, nieustanną obawą przed najętymi mordercami – i źle ujeżdżonymi końmi. Był kiepskim jeźdźcem. Zyskał jednak duże doświadczenie w rządach, potrafił przeciwstawiać się ojcu Ryszarda i przyczynił się do jego przedwczesnej śmierci. Teraz – o czym cesarz doskonale wiedział – Filip dążył do zawładnięcia andegaweńskimi ziemiami, jako pierwszego kroku na drodze do spełnienia ambicji swego życia: nałożenia korony Karola Wielkiego. Zabezpieczywszy granice zachodnie, mógł się zająć księstwami na wschodzie. Nie słynął Filip z bojowej odwagi, nie miał cech wielkiego wodza, ale nie można było go lekceważyć jako męża stanu.

Jan miał postawę krępa, gęste, kręcone włosy, zmysłowe wargi i cyniczny uśmiech na twarzy o wyrazie podstępnej chytryści. Lubował się w wybornych potrawach i trunkach, pięknych strojach, wesolej kompanii. Był dowcipny, często z odcieniem złośliwości, a czasem po prostu grubiański. Gdy w Irlandii rozbawiły go długie brody miejscowych wodzów, obrażał ich, szarpiąc za te brody – boleśnie. Bez ceremonii brał do swej łóżnicy żony i córki własnych baronów, gdy taka mu przyszła ochota; powiadano o nim, że ani nie bał się Boga, ani nie szanował ludzi. Można by podejrzewać, że portret tego sceptyka namalowali tak czarnymi barwami kronikarze, którzy byli zwykle zakonnikami. Ale poszukiwania współczesnych historyków nie odkryły niczego, co by mogło rozjaśnić ów czarny portret. Jeżeli nawet już będąc królem Anglii nie brał osobiście udziału w zamor-

dowaniu swego bratanka, Artura, syna zmarłego brata Geoffreya – obawiał się go bowiem jako potencjalnego pretendenta do tronu – to nie można zaprzeczyć, że w sprawę tej zbrodni musiał być wmieszany.

Jak Ryszard opowiadał Modredowi, jego brat posiadał osobisty urok i kiedy chciał, potrafił być czarujący. Dawał do siebie przystęp każdemu, nisko czy wysoko urodzonemu. U różnych ludzi może to być dowodem różnych cech: pokory albo świadomego zabiegania o popularność, czy też pobłażliwości. Jednakże osobisty czar nie zastępuje ani mądrości, ani prawości. Jan był zawsze tym samym człowiekiem, który na tronie Anglii ciemieniem i wyzyskami doprowadził własnych baronów do tego, iż zmusili go do podpisania historycznej „Magna Charta” – rejestru praw, ograniczających absolutyzm monarchy.

Filip uznał, że znalazł w Janie użyteczne narzędzie – i takim się okazał, gdy po śmierci Ryszarda objął władzę – ale zarazem gardził nim, jako człowiekiem bez czci i wiary.

Upewniwszy się, że Jan gotów jest zdradzić zarazem Ryszarda i baronów andegaweńskich, król Francji dodał:

– Teraz jedź do Anglii i wznieć tam rebelię na rzecz twego panowania. Ja tymczasem tutaj tak sprawy załatwię, by wyczyny twego brata w Palestynie nie przyniosły mu chwały i rozgłosu, lecz odwrotnie; pogardę ludzi świeckich, a gniew Kościoła. Będę wszędzie rozgłaszał o jego bezczelności wobec sprzymierzeńców, zbyt kownym trybie życia, zarozumiałości, chciwości w zdobywaniu łupów, choćby ze szkodą dla właściwego celu: odzyskania prawdziwego Drzewa Krzyża Świętego...

Mało istniało podstaw do tych zarzutów, prócz może bezczelności wobec sojuszników, a i to zależało od punktu widzenia. Bezczelność sugeruje błędne pojmowanie rangi zwierzchnictwa. O to trudno było obwiniać Ryszarda. Jego własna wyższość jako stratega, taktyka i wojownika była oczywista: znali ją wszyscy wodzowie współdziałający z nim, równie dobrze jak i on sam.

Andegaweński zakonnik, który w pobliżu Arsuf opowiadał Ryszardowi o zagrożeniu jego dominiów, wiedział tylko tyle, że książę Jan zgodził się złożyć hołd lenny królowi Francji. Ale nawet do tego punktu w swym opowiadaniu nie zdążył dojść, bo do namiotu wpadł rycerz i przerwał mu bez ceremonii:

– Miłościwy panie, moi szpiedzy donoszą, że niedaleko jest karawana z bajecznymi skarbami, tak wielka jak miasto w pochodzie, a podążająca ponoć do wodza tych psów niewiernych. Dobrze by było zaatakować ich pierwej, nim...

– Na Boga! Oczywiście, że trzeba atakować. To dar z nieba, i nie będziemy ani przez chwilę zwłóczyć. Zbierz pięciuset rycerzy! Przywołaj Moultona i Fulka D'Oyly. Ja będę z wami i osobiście poprowadzę. Wysłać zwiady piesze, niech mają karawanę na oku! – A odwracając się, król krzyknął: – Hej tam, niewolniku! Podawać mi zbroję, hełm, miecz, tarczę...

Jego osobistym sługą był czarnoskóry saraceński niewolnik.

Wreszcie przypomniał sobie o wciąż czekającym zakonniku:

– Zabieraj się stąd, mam pilniejsze sprawy na głowie.
– Ależ, panie mój i władco, spisek zagraża...
– Przyjechałem tu, by walczyć z Saladynem. Walczyłem z nim i będę walczyć nadal. Z bratem Janem rozprawię się po powrocie.

Królowi nakładano już zbroję, przygotowywano do walki.

– Mój polowy skarbiec – mówił – świeci pustkami, aż w nim grzechocze. Sposobność bliskiego łupu bardziej mnie porusza niż obawa konspiracji, odległej w czasie i przestrzeni...

– Mój panie, zaklinam...
– Precz, mówię! Czyż król Anglii, trudząc się w sprawie boskiej, ma dyskutować z byle klechą? – Ryszard chwycił księdza za kark i potężnym kopnięciem wyrzucił go za namiot, prosto w piasek.

Zwiadowcy donieśli:

– Karawana szykuje się do noclegu na pustyni. Obozowisko bardzo rozległe, jako że mułów i wielbłądów mają mnóstwo. Zwierzęta rozjuczono, ładunki zniesiono w środek obozu. Straże czujne,

ale ich za mało, by odeprzeć zdeterminowany atak.

Jeden z najbliższych Ryszardowi braci szpitalników, Jacques Devayne, palił się do walki. Zaraz, bez zwłoki! Ryszard go pohamował:

– O tej porze – nie. Ale o świcie strażnicy zwykle się nużą. A tymczasem z koni, towarzysze! Poprowadzimy nasze wierzchowce naprzód, kryjąc się za tymi piaszczystymi wydrami. I tam przepędzimy noc na czatowaniu. Jutro zaś zdobędziemy nieco skarbów tej ziemi dla osłody lat, które jeszcze upłyną, nim wy, rycerze krzyża, nagrody niebieskiej dostąpicie...

Nikomu nie pozwolono spać dłużej niż dwie godziny. Kto śpi pod twardym, zimnym blaskiem gwiazd nad pustynią, budzi się zeszywniały od chłodnej rosy lub nawet przymrozku. Rycerzom podawano gorący napój i kazano przechadzać się wśród ciemności, by rozruszać mięśnie, ożywić obieg krwi. Z pierwszym brzaskiem dosiedli koni.

Wynurzyli się zza piaszczystych wydm, z tętentem i hałasem pogalopowali w dół, na śpiący obóz. Zanim Saraceni zdolali pojąć, że strażę wszczęły alarm, chrześcijanie już byli wśród nich, włócznie, miecze, topory błyskały, śmigły, cięły. Kompletnie zaskoczenie. Jak Ryszard przewidywał, Saraceni o brzasku byli niemrawi, otrząsali się z trudem ze snu. W kilka minut karawana ze skarbami była w ręku chrześcijańskiego wodza.

Zwierzęta, rozjuczone na nocleg, niedbale powiązane, wpadły w popłoch, rzucały się, ponosiły, narażając życie Saracenów i chrześcijan także.

– Oddzielić sto wielbłądów i dwieście mułów! – rozkazał Ryszard. – Resztę przepędzić, bo nas tu wszystkich stratuja.

Wcale nie przesadne okazały się słowa zwiadowców: „wielka jak miasto w pochodzie”. W skład karawany wchodziło cztery tysiące zwierząt objuczonych złotem, srebrem, jedwabiami, ziarnem, cukrem, korzeniami, namiotami, bronią sieczną i skórą do wyrobu tarcz.

– Teraz możesz zwrócić, miłościwy panie, coś od templariuszy pożyczyl – zauważył Moulton.

– Lichwiarze! – Ryszard splunął na piasek. – Trzeba od nich pożyczać środki na przywrócenie im ziem zagarniętych przez Saracenów, a potem spłacić dług z grubą lichwą. Gdyby tak można było wierzycieli pięściami spłacić, nie miałbym żadnych długów – wszystko skwitowane z naddatkiem...

* * *

Opowiadając Margot o zdobyciu karawany ze skarbami, Ryszard westchnął:

– Gdybym tak tutaj miał choćby i połowę tego, com wtedy zdobył, byłbym wolnym człowiekiem już od roku... Saraceni mieli spotkać karawanę z pięciuset jeźdźcami dla obrony – wspominał – ale ich przywódca zabawił noc z kobietami i spóźnił się. Reszta dnia im minęła na chwytniu wielbłądów i mułów, któreśmy rozgonili. Saladyn ponoć szczególnie się tą stratą zirytował. Jego zwykła cierpliwość i spokój opuściły go, jak się zdaje. Wysłał do mnie gońca z wyzwaniem do walnej bitwy następnego dnia. A chociaż miał przewagę liczebną, takie wyzwanie stanowiło dla niego – dla nas też oczywiście – dość duże ryzyko. Saladyn wiedział, że nasi łucznicy skuteczniej od jego ludzi strzelali. Z drugiej strony jego jazda, lżejsza, zwrotniejsza i szybsza od naszej, doskonale się nadawała do stosowanej dotychczas taktyki szarpania naszych sił, błyskawicznych napaści na pochód, nękania nas i wykradania ludzi. Dlatego właśnie doszedłem do przekonania, że zwykła przenikliwość i zdrowy rozsądek sułtana opuściły go w owej chwili złego humoru. Bądź co bądź, takie wyzwanie było po mojej myśli. Odpieranie ataku w pochodzie bywa trudne, więc niczego bardziej nie chciałem, jak potykać się z wrogiem w walnej bitwie...

– ... albo potykać się z kobietą w łożu... – przerwała Margot, chichocząc.

– Więc odpowiedziałem Saladynowi: „Zatem by twoi rycerze i knechtowie nie byli marszem znużeni, a skutek tego mniej sprawni

w boju, ja wyprowadzę moje wojsko, by z wami się spotkać na otwartej pustyni, w połowie odległości między obecnymi pozycjami obu wojsk...” Saraceni podeszli w potrójnym szyku: najpierw jazda, zbrojna w długie włócznie, później piechota, a w końcu łucznicy, którymi dowodził sam sułtan. Przed wojskiem, po bokach i z tyłu szli muzykanci, waląc bardzo głośno w bębny, tamburyny i cymbały. Moje wojska poprowadziłem w podobnym szyku, tylko bez muzykantów. W naszej przedniej straży byli templariusze i szpitalnicy pod wodzą Jacques'a Devayne'a, rycerza dobrego, ale impetycznego i gwałtownego. Zawsze rwał się do boju i namawiał mnie do nierozsądnych postępów.

Chyba ta opinia miała w sobie coś z przysłowiowego kociołka, który garnkowi przygania, a sam smoli.

– Otóż Devayne z dwoma swoimi synami, równie niepoahamowanymi jak on sam – opowiadał Ryszard – wysforował się daleko przed nasze główne siły. Wszyscy trzej polegli, ale przedtem zabili dwudziestu dziewięciu Saracenów. Kiedy później na poboju obliczałem pobitych i gdzie padły trupy, to uznałem, że po dziewięciu zabił każdy z synów, a jedenastu przypadło na ojca... ale być może jego udział był większy...

– Dumny byłeś z tych Devayne'ów – zauważyła Margot, pieszcząc królewskiego kochanka. – Chciałeś ich pomścić... wiem już, jaki jesteś...

W każdym razie wiedziała, jakie pieszczoty lubił.

– Tak, pomsty, chciałem pomsty! Popędziłem na Saracenów, a za mną tętniły kopyta mojej jazdy. Później powiadano, że ja sam ośobiście, trupem położyłem stu Saracenów. – Na chwilę przejawiał się jego realizm, o którym zapominali jego administratorzy. – Nie liczyłem moich ofiar, gdy padały. Było ich wiele. Ale dobre chęci albo pochlebstwa moich druhów pewno wyolbrzymiły liczbę.

– Saraceni uciekli?

– Nie od razu. Walczyliśmy zażarcie. Było ich kilkakrotnie więcej niż naszych. Ale blisko sześć tysięcy Saracenów zapędziliśmy na

skraj wysokiej skarpy i zmusiliśmy, by skakali.

– Skakali – na śmierć?

– Nie mieli szans przeżycia...

– Biedacy. Skok prosto do piekieł... niewierni... A Saladyn?

– Kiedy zobaczył masakrę, zawrócił konia i odjechał. Cóż innego mógł zrobić? Chwyciłem łuk od jednego z łuczników i posłałem strzałę za nim, posłałem... w ramię go zraniła...

– Dobrze mierzyłeś...

– Zhańbiłbym się, gdyby było inaczej...

– Poważna rana?

– Draśnięcie. Mogłem mu strzelić prosto w serce, ale ja nie chciałem zabić. To był szlachetny nieprzyjaciel, godzien, żeby z nim stanąć do walki oko w oko. Może jeszcze spodoba się Bogu, aby tak się stało. Ale musiałem zaznaczyć, że przez moment był na mojej łasce. Nie sądzę, bym kość naruszył. Pewno go tylko wtedy zabolalo, gdy własną ręką strzałę wyszarpnął z ciała, co sam widziałem. Twardy człek z niego i wielkiej odwagi. Szkoda, że nie po tej samej stronie walczyliśmy. We dwóch zawojowalibyśmy świat! Po bitwie wycofał swoje wojska, a ja moje do Jaffy poprowadziłem.

– Dużo ludzi zginęło?

– Kilkuset naszych. Saraceni nie umierają bez walki. Ale po ich stronie było tyle trupów, że nie byliśmy w stanie dołów dla nich kopać. Zostawiliśmy ich ciała sępom, by oskubały do czysta kości, które słońce później wysuszy i spopieli.

Rozmowa ustąpiła miejsca kochaniu, aż wreszcie oboje zasnęli.

Ryszard uznał pewno, że lepiej nie opowiadać Margot o pertraktacjach, jakie prowadził z Saladynem po owej bitwie, znanej później pod nazwą bitwy na Skarpie, gdy on sam i jego wojska podchodziły do Jaffy. Napotkali wówczas karawanę Mameluków, wędrującą na wielbłądach w osobistych, pokojowych sprawach. Król nie pozwolił, by ich molestowano.

– Przybyliśmy tu, by walczyć przeciw wojownikom, a nie biało-brodym starcom – rzekł.

Zaprosił Mameluków na ucztę do swego namiotu, a później zlecił im powtórzyć sułtanowi posłanie:

„W imię Boga jedynego, zawrzyjmy pokój! Czas tę wojnę skończyć. W moim królestwie rozgorzały właśnie domowe. Ta wojna nie przyniesie pożytku ani tobie, ani mnie.”

Saladyn zgodził się na negocjacje przez posłów. Ryszard zażądał Jaffy i Askalonu dla chrześcijan. Sułtan nie przystał na to żądanie: te dwa nadbrzeżne miasta, oddalone zaledwie o kilkanaście mil od Jerozolimy, w obcych rękach stanowiłyby zagrożenie dla Świętego Miasta.

„W takim razie będę musiał przez całe lato i następną zimę pozostać w Palestynie” – zapowiadał Ryszard.

„Pozostać musisz, wszystko jedno, czy przystałbym na twoje żądanie czy też nie. Bo tylko siłą trzymacie te miasta i odbiorę je, skoro odejdiesz... może nawet wcześniej, jeśli Allah pozwoli...”

„Więc zostanę i wyrwę ci z rąk Jerozolimę.”

„Twoja wola. Jeśli zdecydowałeś spędzić tu zimę, z dala od domu i bliskich, i to gdy jesteś w kwiecie lat męskich, w wieku rozkoszy, czemuż ja bym się miał wahać przed następną zimą pod bronią, ja, który tu jestem u siebie, z całą moją rodziną, wszelkich słodczy życia mogąc zaznawać? Na przetrzymanie mnie nie weźmiesz. Musisz zwyciężyć i z pola mnie usunąć, jeśli swój cel chcesz osiągnąć. I pamiętaj ja mogę zmieniać moje wojska, aby ci, którzy służyli latem, nie potrzebowali służyć zimą. Tego ty nie jesteś w stanie uczynić. A wojnę tę prowadząc wierzę, że czynię rzecz miłą Allahowi. Nie ustąpię.”

Ryszard nie miał wyboru. Wojna musiała toczyć się dalej. Ale po raz pierwszy naszły go wątpliwości. W walce przeciwko takiemu wodzowi jak Saladyn, mądrymu, zdolnemu i silnemu, krzyżowcy, opierając się na odległych bazach w Europie, nigdy nie mieli naprawdę żadnej szansy. Chwycili za broń w chwili uniesienia, religijnej ekstazy, albo w nadziei łupów; wezwali Boga ku pomocy, a nie ocenili rzeczowo przedsięwzięcia, na jakie się porwali. Jako pątnicy

przybyli do Palestyny i w sprawie odzyskania Świętego Miasta i prawdziwego Drzewa Krzyża Świętego, niewiele więcej mogli uczynić od innych pątników, chyba tylko, że pozabijali pewną liczbę niewiernych.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Ryszard zabawiał się z Margot i opowiadał jej o bitwie na Skarpie, jego królewska małżonka, nie mając żadnych o nim wieści, wyprawiła się z rezydencji swego ojca w Tuluzie do teściowej, przebywającej znowu w Poitiers. Zaledwie przed kilku dniami królowa Eleonora dostała od Ryszarda posłanie, przywiezione przez jednego ze specjalnych gońców księcia Leopolda.

Ale skłamała gładko i bez wahania:

– Chyba nie może nam wieści przesyłać.

Berengaria była wyraźnie zgnębiona:

– Czy ma taką możliwość, czy też nie, mój pan i mąż nie dba o mnie wcale. Wiem, że tak jest. Czulałam to nawet wtedy, kiedy leżałam w jego objęciach. Były to słodkie noce, ale tak ich było mało...

– Mężczyźni – zauważyła sucho królowa matka – są stworzeni na podobieństwo Boga, który jednego dnia pokój i radość zsyła, a kiedy indziej, bez widocznego słusznego powodu, karci wojną, zarazą, ogniem i zagładą.

Takiego realizmu Berengaria nie pojmowała. Mówiła dalej:

– Od kiedy opuściliśmy Cypr, mój pan już mnie więcej nie pożytał. Trwonił siły na wszystkie lądacznicze świata, a i na chłopców także... nawet czarnych, byle skórę mieli, jak powiada, dość gładką. Czy moje wdzięki gorsze? Czy moje piersi i biodra mniej jedwabiste? Dlaczego mnie nie pożytał?

Eleonorze nigdy się nie zdarzyło, by mężczyzna, którego zapra gnęła, nie odpowiedział jej wzajemną chęcią. Z niecierpliwością wysłuchiwała narzekań synowej. Ale wiedziała, czego tu trzeba:

- Szkoda, że nie zaszłaś w ciążę – powiedziała.
- Tak... dać mu syna... każda włócząca się za wojskiem nierząd-
nica, z którą godzinkę zabawił, zachodziła w ciążę i później bezczel-
nie na mnie popatrywała...
- Wypuszczą go z niewoli. Wróci do Akwitanii... – łagodziła
Eleonora. – Wróci do ciebie.

Wcale nie była pewna prawdy ostatnich słów, ale chciała zahamować ten potok żalości. Nie przyszło jej to łatwo.

- Och, byłabym jego niewolnicą... mógłby mi wymyślać, chłostać mnie, byle tylko brał mnie do swego łóża... Ty sama, miłościwa pani matko, nauczyłaś mnie setek sposobów, by mu się przypodobać.

Eleonora z irytacją stuknęła pantoflem o podłogę:

- Dzielisz z nim koronę. Naucz się tolerancji, inaczej...
- Nie dbam o jego koronę. Setkę koron oddałabym za godzinę jego kochania. Lepiej być jego kochanicą, od której właśnie wstał, niż jego od dawna zapomnianą królową.

Margot przyznałaby jej rację. I Eleonora ją rozumiała.

- Tacy są mężczyźni. Mój Henryk też na niejedno pastwisko brykał. Nie rozpaczalam. Ułożyłam sobie własne życie. I ty powinnaś także...

Berengaria uśmiechnęła się żałośnie:

- Biada mi! Bo tego nie potrafię... Iluż to dzielnych rycerzy błagało o godzinkę w moim łóżu...

Eleonora nie mogła dłużej wytrzymać:

- Więc weź sobie jednego! Weź więcej niż jednego!

Żaloszny uśmiech miał w sobie coś ze świętobliwej wyższości.

Berengaria powtórzyła:

- Tego nie będzie. Moje ciało jest jemu poświęcone. Cóż bym znalazła za satysfakcję w cudzym dotknięciu, kiedy tylko za nim tęsknię?

- Troski o czystość nie mieszaj z pragnieniem rozkoszy.

Berengaria otarła łzę i zignorowała sarkazm:

- Zamknę moje rozpalone ciało w lodowatych okowach i będę

czekała na ten dzień chociaż wątpię, czy nadejdzie. Jeśli Bóg wysłucha moich codziennych modłów, to on do mnie wróci, i wtedy zastanie moje łono nietknięte, czyste, dla niego...

Eleonora wybuchnęła szczerym śmiechem. Wprawdzie w nieco wyższej tonacji, ale śmiała się równie donośnie, jak jej syn. Z trudem opanowując się, powiedziała:

– Nie oszukuj samej siebie. Czy wyobrażasz sobie, że mój syn, dba o niewinność czystego łona? Jeśli chce kobiety, będzie ją miał tej nocy, a kto ją miał poprzedniej, to go nie obchodzi. Dla takich mężczyzn jesteśmy tylko narzędziami ich rozkoszy, a jeżeliśmy dość mądre, by role odwrócić, oni bywają naszej rozkoszy narzędziami.

– Przyszłam do ciebie, miłościwa pani matko, po pociechę – przerwała Berengaria – a ty mnie wzgardą przyjmujesz i wszetecznymi żartami...

– Niech ci Bóg pomoże, moja córko, bo ja nie potrafię. – Eleonora wstała i podeszła do drzwi. – Znalazłam ci męża ale nie mogę zrobić z niego twego kochanka. Tylko Bóg mógłby... jeśli zechce.

* * *

Spiskowcy, król Filip i książę Jan, niczego nie wskórali swoimi intrygami. Brat Ryszarda, złożywszy hołd lenny, który oczywiście zobowiązywał do wasalstwa wobec francuskiego monarchy również i baronów andegaweńskich, chociaż nikt ich o zdanie nie pytał – pośpieszył do Anglii, podczas gdy jego współnik w intrydze najął flamandzkich jurgieltników i zbierał flotę, by najechać wyspiarskie królestwo. W tym też celu pozyskał sobie pomoc Duńczyków, poślubiając zamiast Alicji, jak przyrzekał, Ingeborgę, córkę króla Kanuta Szóstego.

W całej tej działalności, dwaj spiskowcy nie wzięli pod uwagę jednego czynnika, który miał właściwie o wszystkim przesądzić: energii królowej Eleonory. Królowa matka była w Poitiers. Tym razem z córką Marią, hrabiną Szampanii otoczyła się wytwornym

dworem, znanym później pod nazwą „Dworu Miłości”. Dyskutowano o namiętności i rycerskim honorze, o najbardziej intymnych detalach seksualnych, o uwodzeniu, oddaniu i rozkoszy. Zgrupowanie dość niezwykle. Despotyczna wdowa, utalentowana i rozwiązała młoda hrabina, oraz dwaj dworzanie: światowy ksiądz imieniem André i wybitny tłumacz Owidiusza, Chretien de Troyes byli ośrodkiem dworu. Podjęli się zadania – jak pisze E. S. Turner w swojej „Historii Dworskiej” – „adaptacji dawnych opowieści przekładając je na język współczesny, idiomatyczny (i seksualny), a tak mało dbając o oryginalny tekst, jak gdyby dzisiaj zespół scenarjopisarzy zabrał się do filmowania Starego Testamentu”. Pod kierunkiem Eleonory ksiądz przygotował nową wersję starej celtyckiej legendy o Tristanie i Izoldzie, a Maria namówiła Chrétiena de Troyes, by napisał opowieść o cudzołożnej miłości Lancelota z małżonką króla Artura, królową Guinevera.

Ani hrabina, ani królowa matka, dobiegająca już siedemdziesiątki, chociaż wspaniale zakonserwowana, nie ograniczały się do patronowania erotyce w teorii. Jak później caryca Katarzyna, Eleonora zwywała co wieczór do łoża najtęższych spośród dworzan, a nawet zwykłym gwardzistom kazała czasem strzec swego ciała, przykrywając je własnym. Toteż Filipowi i Janowi do głowy nie przyszło, aby ta wyczerpana rozpustą stara kobieta była zdolna do wystąpienia w obronie swego uwięzionego syna. Omylili się bardzo.

Gdy pierwszy podmuch plotek o spisku przeciw Ryszardowi dotarł do „Dworu Miłości”, królowa Eleonora – wzięwszy ze sobą liczny poczet rycerzy i gwardzistów – natychmiast wyprawiła się do Anglii. Tam podjęła energiczne kroki, by unicestwić w załączku plany swego najmłodszego syna. A miała niemałe doświadczenie w waśniach rodowych. Działała szybko i mądrze. Aristokraci, rycerze i dworscy dygnitarze musieli ponowić przysięgę na wierność królowi. Wzmocniono obronność miast i fortec, zdwojono liczbę załóg, zwerbowano lokalnie milicję ochotniczą. Królowa matka zdołała przeprowadzić coś w rodzaju powszechnej mobilizacji ludności w obronie tronu

Ryszarda. Czaty strzegły wschodniego wybrzeża tak skutecznie, że flota Filipa nie mogła znaleźć miejsca do lądowania. Zapewne jednym z największych błędów księcia Jana była zgoda na francuską propozycję posłużenia się jurgieltnikami. Anglicy przywykli do klótni, waśni i zdrad w rodzinie królewskiej, nawet do zmian na tronie; przywykli do uzurpatorów, spółzonych niekoniecznie w ślubnym łożu, wypędzających legalnego następcę w sukcesji, a wybieranych przez magnaterię. Ale jeśli tylko Francuzi czy inna jakaś obca nacja wetknęła nos w sprawy Anglii i zagroziła inwazją, natychmiast włos się jeżył na grzbiecie każdego wyspiarskiego brytana.

Biskup Rouen, wysłany do Anglii z Palestyny w początkowym okresie walk krzyżowców, gdy Ryszarda już doszły wieści o zdradzieckich intencjach brata, teraz stanął na czele wojsk, które rozpoczęły oblężenie księcia Jana na zamku Windsor. Drugą twierdzą rebeliantów, Tickhill, w północnym hrabstwie York, oblegał stary biskup Durham.

Obie twierdze już ledwie się trzymały, mówiono o poddaniu, gdy biskup Hubert Walter przybył z Regensburga, przywożąc wiadomość nie tylko o uwięzieniu króla, ale o okupie oraz innych warunkach wypuszczenia go z niewoli. Walter namówił rebeliantów do zawarcia rozejmu z księciem Janem – który ucieszył się takim uniknięciem nieuchronnej klęski – i zabrał się do rozwiązywania mieszków nieskorych do szczodrości Anglików.

Rozdział 10

PATRZĄC NA ŚWIĘTE MIASTO

Cesarz Henryk często teraz rozkazywał, by przywożono do niego Ryszarda, a nawet sam odwiedzał angielskiego króla w miejscu jego uwięzienia. Początkowo satysfakcję sprawiało mu posiadanie tak ważnego monarchy w ręku, ale później – chociaż nie mógł go uwolnić, nim nie zostały wypełnione warunki ugody z biskupem Walterem – nieomal współczuł Ryszardowi, a w jego kompanii znajdował osobistą przyjemność. Henrykowi zawsze towarzyszyła liczna świta dworzan, do których kazał również włączyć paru trubadurów, by upamiętnili palestyńskie opowieści. Zapraszał też na uczyty Sir Thomasa Moultona i Sir Fulka D'Oyly.

– Słyszałem – zaczął pewnego razu cesarz – o wyzwaniu na pojedynek...

– Tak, Saladyn takie wyzwanie mi przysłał. Nie zgodził się na moją pierwszą propozycję zawarcia pokoju, ale tym sposobem chciał od swoich wojowników trudy dalszej wojny i strat odsunąć. Ja podówczas zdążyłem, by zająć Niniwę*. Saladyn jako człowiek już wiekowy nie mógł sam brać udziału w tych pojedynkach, z których jeden był na topory, jeden na włócznie, a jeden na miecze. Wojsko, którego rycerze wygrali co najmniej dwa z pojedynków, miało zająć Niniwę.

* Niniwa – istniejące podówczas miasto lewantyjskie; nie mylić z ruinami starożytnej stolicy asyryjskiej.

– Ty sam w szranki wstąpiłeś, o ile wiem?

– Oczywiście. Prócz tego wyznaczyłem Fulka D'Oyly i Sir Thomasa Tournehama. Ten ostatni zastąpił Moultona, którego wtedy zmogła dyzenteria.

– Tak sławny pojedynek mnie ominął! – wtrącił Moulton. –

Więcej mi to cierpienia przysporzyło niż choroba, więcej, niżem kiedy w życiu zaznał...

- A saraceńscy oponenci?
 - Archolyn, Condybras i Calabre – odrzekł Ryszard.
 - Nazwiska raczej europejskie się wydają.
 - Możemy ich dokładnie nie słyszeli albo też tłumacz trochę przekręcił. Zresztą sporo Franków różnymi czasy na ich stronę przeszło, a nawet ich wiarę przyjęło. Nasi przeciwnicy mogli być ich synami lub wnukami.
 - Jako że wasza królewska miłość i D'Oyly są tu z nami, jasne jest, kto wygrał.
 - Tourneham także swego oponenta zabił.
 - A Saladyn słowa dotrzymał? Oddał wam Niniwę?
 - Saladyn jest człowiekiem honoru. Zajęliśmy Niniwę. Większość muzułmańskich mieszkańców przyjęła chrześcijaństwo.
 - Mądrze z ich strony – zaśmiał się Henryk. – Albo się nawrócisz, albo głowę oddasz, co?
- Ryszard i jego druhowie milczeli. Cesarz pokiwał głową.

* * *

Wkrótce po zajęciu Niniwy Ryszard ponownie zachorował. Poprosił Saladyna o przysłanie mu owoców, brzoskwiń i pomarańcz, by uśmierzyły gorączkę. Sułtan przysłał owoce natychmiast – w wielkich drewnianych skrzyniach, obłożone śniegiem z gór Liban, wznoszących się do trzech tysięcy metrów nad poziom morza i wyżej jeszcze. Gонец muzułmański razem z owocami przekazał wyrazy współczucia i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Takie życzenia, w danych okolicznościach rzeczywiście świadczyły o wielkoduszności.

Odzyskawszy zdrowie i siły, Ryszard zabrał się do odbudowy zniszczonego Askalonu. Jest to stwierdzenie dosłowne. Ryszard pracował osobiście, dzień po dniu, od świtu do nocy, razem z innymi jako murarz. I nawet doświadczeni majstrowie przyznawali, że, nie

widzieli nikogo, kto by szybciej i umiejętniej pracował. A tak się złożyło, że właśnie gdy Ryszard trudził się z setkami innych w Askalonie, Saladyn, dużo starszy od niego, również osobiście przykładał się do wzmacniania murów obronnych Jerozolimy. Zarazem reorganizowano armie po ciężkich stratach, poniesionych w bitwach pod Jaffą i gdzie indziej.

Cesarz jął się rozpytywać o dalsze dzieje krucjaty.

– Słyszałem o jednej jeszcze walce okrytej chwałą. Odsiecz Jaffy. O ile wiem, królu Ryszardzie, tam najwspanialej rozwinąłeś wszystkie swoje wojenne talenty i dowiodłeś niebywałej odwagi.

– Robiłem, co należało. Dni wojen rodzą legendy, którym nie zawsze trzeba dawać wiarę. Trubadurzy, wiem o tym, już teraz koloryzują nasze czyny. A gdy skrybowie złączą także swoją imaginację rozwijać, ileż w ogóle prawdy się ostanie!

– Tym bardziej winienesz nam opowiedzieć własną... twoje słowa notują nie tylko moi trubadurzy, ale także mój kanclerz, teraz za moim krzesłem stojący.

– Niech mi wasza cesarska miłość wybaczy. Wolałbym Moultonowi głos oddać. On dowodził w Jaffie, gdy Saraceni szturm przypuścili. On też posłał mi wiadomość o rozpaczliwym położeniu i poprosił o przybycie z Akki na odsiecz. Widział najlepiej, co się wśród obrońców i mieszkańców miasta działo i wie, co my, spieszący z pomocą przeciw oblegającym, czynić musieliśmy...

– Twoja wola – zgodził się cesarz i zwrócił się do Thomasa Moultona: – Więc zbierz całą umiejętność, byś nam mógł najdokładniej opowiedzieć ciekawą historię o dzielności, rezolucji i wojennym talencie...

– Zrobię, co w mojej mocy, najjaśniejszy panie – przyrzekł Moulton.

Cesarz podniósł rękę:

– Cisza! Niechaj wszyscy słuchają opowieści Sir Thomasa Moultona.

Tuż za cesarzem, po prawej i po lewej, zgromadzili się rycerze i

dworzanie w barwnych jedwabiach i aksamitach. Przed nimi na taboretach zasiadły damy dworu: suknie obcisłe w talii, wydekoltowane, na głowach białe welony pod złocistymi przepaskami, dość podobne do zawojów, noszonych przez arabskich mężczyzn. Margot, choć nie zaproszona, wsunęła się zręcznie i usiadła za filarem skąd cesarz jej nie widział, ale ona mogła wpatrywać się w Ryszarda. Król razem z Fulkiem D'Oyly, siedzieli naprzeciwko cesarza, a Sir Thomas wstał i zwrócił się do zebranych.

– Saraceńscy hawerze – rozpoczął, a głos jego, donośny i po żołniersku surowy, wracał echem od kamiennych szarych murów i krużganków – wydrążyli podziemne dojścia pod fortyfikacjami broniącymi Jaffy. Podparli też drewnianymi palami miejsca, gdzie fortyfikacje mogłyby się zapaść. Otóż za tymi przejściami rozkazałem przygotować stopy drewna do podpalenia. Niewierni wyjęli podpory, podpalili ładunki prochu w podziemnych wydrążonych korytarzach. Fortyfikacje zapadły się. Ale w tym samym momencie buchnęły płomieniem nasze ogniska tamując Saracenom dostęp do wyłomu, który tak pracowicie przygotowali.

– Mądrze to obmyśliłeś, szlachetny rycerzu – zauważył z uznaniem cesarz.

– Pomysł nie mój, najjaśniejszy panie. Nauczyłem się go od niedoścignionego w sztuce oblężniczej, mego suwerena, króla Ryszarda.

– Lojalny wasal z ciebie. Mów dalej.

– Wyprowadziłem tedy większą część załogi za bramę i wyzwalałem sułtana do otwartej walki. Sułtan wydał rozkaz ataku. Nasi ludzie: z Anglii, także Niemcy i Francuzi, oraz palestyńscy Frankowie – bili się jak szatany, a może raczej jak anioły broniące się przed zastępami szatanów. Co za odwaga, najjaśniejszy panie, co za bravura! Parę setek przeciwko tysiącom niewiernych! Atakowani od frontu i na flankach! Zażarty bój o każdą piędź ziemi!

– Walka sił tak nierównych nie mogła chyba długo trwać? – przerwał cesarz.

– Noc przyniosła nam wytchnienie najjaśniejszy panie. Ale raniem Saraceni ruszyli na nas od nowa. Wszystkie wojska sułtana – albo tak się wydawało. Ich bębny, trąby, piszczałki ogłuszały; ich wojownicy wyrzaskiwali bojowe okrzyki, niezrozumiałe dla nas. Hałas, jakby koniec świata miał zaraz nastąpić! Szturmy Saracenów wzniewały takie tumany piasku, żeśmy nic prawie widzieć nie mogli. Ale nawet nie widząc że niezliczone zastępy rzucano do walki, nasi ludzie, jak poprzedniego dnia stali murem. Tylko ja oceniłem, że nasze położenie jest beznadziejne. Król Ryszard nie mógł jeszcze nadażyć z odsieczą. Miasto bez fortyfikacji. Nie mogliśmy długo odporu dawać. Wysłałem więc jednego z moich rycerzy do Saladyna z zapytaniem, czy po tak szlachetnej i wyrównanej walce nie zechciałby pozwolić nam odejść honorowo, z bronią w rękę.

– I cóż Saladyn odpowiedział?

– Przysłał odpowiedź, że teraz nie pohamuje własnych wojowników. Nie usłuchają rozkazu cofnięcia się i zaprzestania ataków. Na tym polegała, najjaśniejszy panie, zasadnicza różnica między wodzostwem sułtana, a zwierzchnością naszego króla. Subordynacji, dyscypliny – tego sułtan nie umiał swoim podwładnym narzucić. Króla Ryszarda słuchano, nawet gdy rozkazał nam powstrzymać się od odpierania dokuczliwych napaści na nasze wojska w pochodzie. Jednakże Saladyn szczerze chyba pragnął oszczędzać życie, nawet wroga. W dalszym ciągu odpowiedzi pisał do mnie: „Niechaj oblężeni zamkną się w cytadeli. Miasta nie da się uratować od grabieży”. Tak więc wycofaliśmy się do cytadeli i ze ściśniętym sercem patrzyliśmy na pogrom mieszczan, którym żadną miarą nie dało się pomóc: grabież, znęcanie się, gwałty. Kiedy już Saraceni uznali, że nie ma więcej łupów ani rozrywki dla nich w Jaffie, podpalili miasto. Nasza własna sytuacja w cytadeli była nie do pozazdroszczenia. Jasne było, że generalnego szturm nie zdołamy odeprzeć...

Cesarz odwrócił się do Ryszarda:

– Jakie kroki przedsięwziąłeś po otrzymaniu od twego rycerza wezwania o ratunek?

– Niechaj Moulton mówi dalej. Wyniknie to z jego opowieści – odparł Ryszard gładko. Realistycznie oceniając własną wartość bojową, Ryszard nie widział powodu, by skromnie ukrywać swoje osiągnięcia,

Moulton mówił więc dalej:

– Sułtan z kolei zgodził się, byśmy opuścili cytadelę i przysłał osobistą straż przyboczną w charakterze eskorty, żeby nas przeprowadzić przez pożary i tłumy rozpasanych, szalejących wojowników. Wysłaliśmy przede wszystkim kobiety i dzieci, na koniach, o ile mogliśmy je dostarczyć...

– Ufałeś Saladynowi, że ich nie skrzywdzi?

– Nie miałem wyboru. Eskorta ich pilnowała, ponieważ nas, mężczyzn, nie było. I wtedy dostrzegłem flotę podchodzącą do Jaffy od północnego zachodu, liczną, bez żadnych wątpliwości naszą. Mogłem rozróżnić już galion królewski, pomalowany na czerwono, z żaglami tej samej barwy. Ocenilem, że odsiecz jest już w zasięgu ręki, i nakazałem moim ludziom chwycić znowu za broń. Chciałem odbić zabrane kobiety i dzieci. Poprowadziłem więc atak w dół od cytadeli. Zaskoczyliśmy saraceńskich rabusiów bez broni: uciekli nie stawiając oporu, a przyłączyła się do nich eskorta naszych kobiet, które nie zaznały żadnej krzywdy i odbiliśmy je szczęśliwie... wtedy Saraceni, już za murami, ochłonęli i uszykowali się do ponownej walki.

– A król wyładował, by przyjść wam z pomocą...

– Nie byłem pewien, jakie nasz król i pan ma rozeznanie sytuacji. Zażądałem więc, by ktoś z naszych zgłosił się na ochotnika, i zaniósł wieść królowi. Z ponad dwudziestu wybrałem setnika, do którego miałem pełne zaufanie... niski, ale żyłasty, zwinny i bardzo bystry...

– ... nazwiskiem Blandford – wtrącił Ryszard.

– Otóż on, zeskoczywszy z murów cytadeli, ześlizgnął się na piaszczyste wybrzeże i wyszukał łódź, którą dopłynął do statków... Król miał ze sobą dwa tysiące ludzi, w tym czterystu łuczników. Zaszedł oblegających od tyłu, świadomie ściągając ich na siebie, by nas odciążyć. Saraceni mieli nad nim liczebną przewagę, mniej więcej

dziesięciu na jednego. Ale gdy nasz król rozpocznie bitwę, nie uzna jej za przegraną, aż wszyscy jego wojownicy nie polegną albo nie uciekną. Nieraz własną determinacją odmienił beznadziejną na pozór bitwę w triumf. Teraz król rozmieścił swoje siły w jeden zastęp obronny. Pierwszy szereg, włóczników, klęczał ramię przy ramieniu, każdy trzymał włócznię wbitą końcem w ziemię, ostrzem zwróconą ukośnie na wroga. Ten szereg osłaniały tarcze jednolitym murem. W drugim stali łucznicy – w odstępach między głowami ludzi szeregu pierwszego.

Ryszard nie mógł się dłużej pohamować i sam zabrał głos:

– Upewniłem się, że w tym murze włóczni i tarcz nie ma żadnej luki, którą nieprzyjaciel mógłby się przedrzeć. W istocie rzeczy na ten mur Saraceni nigdy nie odważyli się przypuścić ataku...

– Doskonałe dyspozycje – zauważył cesarz.

– To obowiązek wodza przed bitwą. Wcześniej trzeba wyćwiczyć oddziały w takiej subordynacji i dyscyplinie, by każdy gotów był wykonywać rozkazy i dla zwycięstwa lub osłony innych oddawać życie. Następnie wódz winien rozstawić swoje siły jak najkorzystniej. Gdy bitwa rozpoczęta, wódz osobiście wdaje się w walkę i wtedy widzi sytuację tylko wycinkowo, mało mając wpływu na resztę...

– Prócz tego, że daje przykład męstwa i waleczności, jako słyszę, ty czynisz – wtrącił Henryk.

– Jak każdy rycerz w walce. Ale pozwólcie mi dokończyć. – Ryszard jakby zapomniał, że kazał opowiadać Moultonowi. – Ruszyliśmy ku miastu zwartą falangą, zachowując nieprzełamany mur tarcz i włóczni, a łucznicy chmurami strzał trzymali Saracenów w należytej odległości. Wojownicy Saladyna nie wiedzieli, co robić: czy zaatakować cytadelę i wyciąć załogę, czy ruszyć na nas. W tym zamieszaniu nie przedsięwzięli ani jednego, ani drugiego. A my połączyliśmy się z Moultonem i jego ludźmi w twierdzy i odebraliśmy z rąk niewiernych jeszcze nie spalone dzielnice miasta. Zwerbowałem wówczas mieszczan, którzy ocaleli z pogromu Jaffy. Kiepscy z nich byli wojownicy i śmiertelnie wystraszeni...

Moulton parę razy próbował przerwać Ryszardowi, ale ten nie dawał mu sposobności, opowiadając tak spiesznie, jakby pędził do ataku.

Areszcie Moulton zdołał się wtrącić:

– Ale nasz król potrafi nawet nędznych tchórzy przerobić na dzielnych żołnierzy. Poustawiał tę zbieraninę w równe szeregi – i zagroził, że własnym mieczem odetnie głowę każdemu, kto się cofnie przed saraceńskim atakiem. A sam wyjechał za fortyfikację, podciął konia ostrogami tuż przed liniami wojsk muzułmańskich wzywając do pojedynku. Nikt wyzwania nie podjął. Król parsknął im śmiechem w twarz, poderwał konia, by stanął dęba ponad ich głowami, po czym lekkim kłusem wrócił do nas. Zachęceni takim przykładem świeżo upieczeni wojownicy odpierali już saraceńskie ataki jeden za drugim i Jaffa pozostała w naszym ręku! – Moulton dodał jeszcze jak prawdziwy trubadur: – Tylko krew na piasku i trupy na pogorzeliśku...

Cesarz potrząsnął głową w zamyśleniu:

– To chyba było uwieńczenie twojej wojennej sławy w Ziemi Świętej, królu Ryszardzie...

Ale Ryszard wzruszył ramionami i odparł:

– Powinno być o wiele więcej bitew i zwycięstw. Gdyby nie perfidia Jana i Filipa, która mnie zmusiła...

Po bitwie pod Jaffą Ryszard mówił do swoich rycerzy:

– Mało nas jest. Nieprzyjaciel wie o tym w zasadzie, ale nie obliczył, jak naprawdę mało. By go utrzymać w tej przynajmniej częściowej nieświadomości, musicie wciąż przypuszczać ataki z różnych stron jednocześnie albo prawie jednocześnie. Ataki ostre, nagłe i ważne, byście się szybko z miejsca na miejsce przenosili. Jeden atak wieczorem, przez noc maszerować i następny atak przypuścić raniem, niech nieprzyjacielowi nasze siły wydają się dwakroć liczniejsze, niż są naprawdę.

Wojska krzyżowców rzeczywiście topniały, co było nieuniknione. Ani z Niemiec, ani z Francji nie nadciągały posiłki. Zakony templariuszy i szpitalników pomnażały niekiedy swoje szeregi świeżymi

ochotnikami, a z Anglii w nieregularnych odstępach czasu przyplýwały statki z rycerzami i knechtami, ale to były krople w morzu. Nowi ludzie nie mogli wyrównać strat, poniesionych przez Ryszarda w bitwach, a prócz tego żniwo zbierały choroby. Sam fakt, że europejskie wojska mogły w trudnych warunkach klimatycznych i terenowych Palestyny tak długo prowadzić wojnę, prawie bez, odpoczynków i bez wygod, w ogóle nie byłby możliwe, gdyby nie umiejętności i sprawna organizacja braci szpitalników. Posiedli oni – w XII wieku, w Lewancie – całą wiedzę lekarską starożytnego wschodu, a także Grecji i Rzymu. Bracia szpitalnicy przydzielali do walczących oddziałów medyków i chirurgów, którzy umieli się już posługiwać środkami znieczulającymi przy operacjach, znali też dość skuteczną profilaktykę w chorobach epidemicznych. Nigdzie na świecie nie traktowano medyków na równi z rycerzami, a w tym zakonie jedni i drudzy razem zasiadali do stołu. Nawet kobiety przyjmowano do domów zakonu, jako pielęgniarki; założyły one własne szpitale w Jerozolimie. Dochody z niektórych posiadłości szpitalników przeznaczano na zaopatrywanie chorych i rannych w takie luksusy jak biały chleb, a w wielu prowincjach podległych zakonowi ściągano specjalne daniny w postaci koców, bielizny, żywności i wina dla pacjentów.

Po zakończeniu prac w Askalonie, założywszy swoje bazy w tym mieście i w Jaffie, Ryszard wyruszył z wojskiem w kierunku Jerozolimy. Szczupłą liczbę żołnierzy musiał jeszcze okroić, zostawiając załogi w kilku mniejszych miastach zdobytych po drodze. Dwukrotnie krzyżowcy znaleźli się już o parę kilometrów od Świętego Miasta. Ryszard ze wzgórza spoglądał na jego mury, bielejące w słońcu. Mógł też ocenić doświadczonym okiem potęgę fortyfikacji. Tam doniesiono mu, że Saladyn zgromadził świeże wojska w takiej liczbie, że prawdopodobnie sam przejmie ofensywę i wyruszy na Franków. Dotarła do niego druga wieść: od biskupa Waltera, że intrygi księcia Jana i króla Francji przeciwko Ryszardowi i jego dominiom przybierają nowy, bardzo niepokojący charakter.

Nazajutrz rankiem zawezwał baronów, wielkich mistrzów obu zakonów i najznakomitszych spośród swoich rycerzy. Spodziewano się decydujących rozkazów i surowych upomnień przed ostatecznym marszem na Jerozolimę. Perspektywa walnego szturmu podniecała rycerzy, Choć mieli niejakie wątpliwości co do wyniku. Ale gdy składali królowi powitalne pozdrowienia, dostrzegli na jego twarzy surowość.

Ledwie na nich spojrzął. Wzrok miał wzniesiony wysoko ponad ich głowy, a głos raczej przywodził na myśl człowieka, który sam ze sobą rozmawia:

– Nie mamy dość sił, by zdobyć Jerozolimę.

Odezwały się protesty:

– Ależ, miłościwy panie, możemy ich pobić nawet, gdy trzykrotnie liczbą nas przewyższają...

Król podniósł rękę gestem nakazującym ciszę:

– Będą nas przewyższali pięciokrotnie, sześciokrotnie, może dziesięciokrotnie. A choroby co dzień przeredzają nasze szeregi. Najgorsze zaś jest to, że nawet gdybyśmy Jerozolimę wzięli, to jej nie utrzymamy w naszym ręku.

– Co się stało, miłościwy panie? To do ciebie niepodobne! Cofać się, gdy już w zasięgu wzroku mamy cel, dla którego nasze domy opuściliśmy, cel, po który nas papież wysłał?

Ryszard mówił, jakby nadal ich nie widział:

– Zastanawiałem się przez całą noc, sam w głębokiej ciemności mego namiotu, bez światła. Tuż przed świtem, dostrzegłem na skrzydle namiotu wieniec świetlany okalający intensywnie świecąca kulę. Nie widziałem żadnej osoby, a jednak czułem czyjaś obecność. I wówczas głos usłyszałem, który jakby we mnie samym wołał: „Zawrzyj pokój z muzułmanami i pośpieszaj do Anglii. Inaczej koronę utracisz...”

Ryszard Lwie Serce nie był aktorem tak wybornej klasy, jak na przykład jego następca na tronie w dwieście lat później Henryk Piąty. Jednak być może świadomie chciał oszołomić zgromadzonych

rycerzy dramatyczną sugestią o interwencji mocy nadprzyrodzonych. Nawet wielcy mistrzowie, wcale nie uznający zwierzchności monarchów ani ich większej mądrości, musieli przyjąć polecenie, przesłane przez aniołów lub świętych. Ocena, że szturm na Jerozolimę nie mógł przynieść chrześcijanom trwałych korzyści, była bez żadnej wątpliwości słuszna. Jeśli więc Ryszard chciał wierzyć we własną opowieść – niechaj tak będzie.

Wysłany do Saladyna poseł wrócił w towarzystwie syna sułtana, imieniem Safadyn, którego król angielski spotkał już poprzednio. Obie strony życzyły sobie pokoju, więc warunki ustalono szybko. Askalon miał wrócić do Saracenów, po rozebraniu fortyfikacji. Jaffa, Akka, Haifa, Arsuf i parę pomniejszych miast miały pozostać w ręku tytularnego chrześcijańskiego króla Jerozolimy. Utrzymanie tych miast było w istocie rzeczy znacznym sukcesem. Ich wartość miała się okazać nieoceniona dla Franków w pilnowaniu muzułmańskich sąsiadów. Święte Miasto zatrzymał Saladyn, zgodziwszy się, aby pielgrzymi chrześcijańscy mogli bez molestowania odwiedzać ich święte miejsca.

Zarówno w oczach króla, jak i sułtana układ ten był raczej rozejmem aniżeli traktatem pokojowym. Ryszard pisał do Saladyna bez żadnych dyplomatycznych osłonek:

„Powrócę za trzy lata, by zdobyć Ziemię Świętą...”

A sułtan odpowiedział komplementem:

„Gdybym musiał utracić tę ziemię, w niczyich rękach nie widziałbym jej chętniej niż w rękach króla angielskiego.”

* * *

Gdy Ryszard wraz z Moultonem i Fulkiem D'Oyly odbijał od wybrzeży Akki, zamierzając jak najspieszniej dotrzeć do swoich dominiów, niecierpliwił się i irtował:

– W Palestynie wygrywałem bitwy, ale zwycięstwa nie osiągnąłem. Przed ostatnią, najważniejszą walką o Jerozolimę, muszę od-

jeźdźać...

Niebawem jednak odzyskał humor, znowu był sobą, beztroskim i pełnym energii. Na statku płała figle towarzyszom i wybuchał gromkim śmiechem, dobrodusznie przyjmując figle, płatane w zamian jemu.

Francuska załoga poszeptywała między sobą:

- ... niezwykle to król...
- ... pija razem z nami...
- ... gra w kości...
- ... i liny ciągnie, i zagle zwija...
- ... ściga się z nami...
- ... a zawsze wygrywa, choćbyśmy nie wiem jak starali się go prześcignąć...

Ale w wyścigu do Anglii Ryszard nie wygrał tak łatwo.

* * *

Można by zapytać, co osiągnął Ryszard Lwie Serce wraz ze swymi książętami i hrabiami, wielkimi mistrzami, rycerzami i całym wojskiem, by usprawiedliwić olbrzymie podatki ściągnięte z europejskich narodów i śmierć wielu, wielu ludzi. Jeśli chodzi o samą Palestynę, odpowiedź brzmi: osiągnął niewiele. Historyk Ernest Barker pisze: „Dzieje wypraw krzyżowych należy rozpatrywać raczej jako rozdział w historii cywilizacji zachodu, niż rozszerzenie zachodniego panowania czy wpływów religii zachodniej na wschód”. Wprawdzie krucjaty rozszerzyły zasięg feudalizmu, wciągając w jego orbitę państwo jerozolimskie, ale też przyspieszyły jego rozkład w Zachodniej Europie: Podatki nakładane przez suwerenów podejmujących krzyż zmusiły wielkich właścicieli ziemskich do sprzedawania części posiadłości nabywcom, którzy mieli sami je uprawiać. Zwiększając obrót handlowy – za pośrednictwem włoskich i innych kupców, którzy towarzyszyli wojskom i zakładali placówki handlowe na wybrzeżach Lewantu i dalej na wschodzie – wyprawy krzyżowe

otworzyły przepływ nowego rodzaju towarów do Wenecji i Genui, a stamtąd dalej w głąb Europy. Wśród tych towarów znalazły się owoce cytrusowe, przyprawy korzenne, migdały, rodzynki, daktyle i ryż. Wraz z nimi pojawiły się przepisy, jak je użytkować. Między innymi przepis na sławetny „sos saraceński”, na który składały się: hypancjum (owoc pozorny róży) i migdały smażone w oliwie, starte na proszek, a następnie rozpuszczone w czerwonym winie, doprawione cukrem, pieprzem i imbirem. Najrozmaitsze materie nadciągały z Trypolisu i Bejrutu, jedwabie i aksamity barwione farbami; pochodzącymi z Akki. Zapoczątkowały one nową modę, opartą na motywach wschodnich. Kobiety zaczęły różować policzki, czernić brwi, używać henny do włosów z tym większym zapałem, że pomagały im w tych czynnościach lustra szklane, również świeżo przywiezione ze wschodu, w miejsce dawnych zwierciadeł z polerowanego metalu. Szkła i porcelanę importowano z Lewantu w wielkich ilościach, jak również towary przywożone do portów lewantyńskich z dalszych krain azjatyckich: gałkę muszkatolową, aloes, kamforę, kość słoniową, kadzidło, perły. Ładunki rozprowadzano zwyczajowymi trasami albo nowym przejściem przez Przełęcz Brenerską nad Ren i na wybrzeża Morza Północnego. Wzdłuż tych tras, zwłaszcza na skrzyżowaniach i krańcach, miasta bogaciły się i rozwijały. Początkowo dobra z Lewantu stanowiły luksus i mogli sobie na nie pozwolić tylko nieliczni. Ale gdy przybywało ich do Europy coraz więcej, ceny spadały, towary dochodziły do szerszych warstw społecznych.

Przygody Ryszarda, jego towarzyszy, poprzedników i następców w Ziemi Świętej przyczyniły się również do rozwoju nauki w Europie. Do uczonych na Zachodzie dotarła wiedza z różnych dziedzin, filozofia i rozmaite ideologie Wschodu. Niezliczone poematy opiewały dzieje wypraw krzyżowych, a nowe poglądy inspirowane przez nie znalazły drogę do istniejących już legend o królu Arturze, Karolu Wielkim i Rolandzie. Języki europejskie wzbogaciły się o wyrazy arabskie, zwłaszcza dotyczące żeglugi, jak korweta, i handlu, jak taryfa. Ludzie zachodu zaczęli interesować się czymś więcej poza

własnymi tradycjami. Ujrzeni nowe dobra materialne, usłyszeli o nowych ideach, naśladowali odmienne zwyczaje, poszerzyli granice ciasnego do tej pory światopoglądu.

Od czasów trzeciej wyprawy krzyżowej zbrojne pielgrzymki do Ziemi Świętej zmieniły charakter. Dawniej takie pielgrzymki finansował papież i prowadzili je papiescy wysłannicy. Zwierzchnictwa kleru w tej kwestii nie chcieli uznać ludzie pokroju Fryderyka Barbarossa, Filipa Augusta czy Ryszarda Plantageneta. Ci finansowali ekspedycje z kieszeni własnych poddanych albo oddając w zastaw własne ziemie. Sami stali na czele swoich ekspedycji, a Ryszard na przykład odtrącił w ogóle papieskie instrukcje odzyskania Jerozolimy i Ziemi Świętej, by zawrzeć we własnym interesie politycznym najzupełniej świecki traktat pokojowy.

Jak widzieliśmy, w ciągu trzeciej wyprawy krzyżowej ludzie, którzy nosili krzyż, często niewiele więcej od muzułmanów okazywali rycerskości, a nierzadko pozwalali sobie na wybryki barbarzyńskiego okrucieństwa. Historyk wypraw krzyżowych, Sir Stephen Runciman, zanotował: „Wiele było odwagi, mało honoru, wiele ofiarności, mało zrozumienia. Wzniosłe ideały splamiło okrucieństwo, przedsiębiorczą wytrwałość przekreśliła pycha”.

Dla licznej podówczas grupy chrześcijan zamieszkających w Palestynie – z których wielu przybyło, by walczyć, i osiedliło się na stałe – krucjaty stanowiły prawdziwą plagę egipską. Byli też w Oriencie chrześcijanie, ale nie katolicy, zwani Koptami, których zdaniem nie istniały żadne powody do wojen między krzyżem a półksiężycem. Okrucieństwo muzułmanów, twierdzili, było wyłącznie zachodnim wymysłem, celowo rozpowszechnianym, by wzniecać nienawiść i werbować ochotników do zbrojnych pielgrzymek. Muzułmanie nigdy nie prześladowali Koptów z przyczyn religijnych. I należy pamiętać, że w grobowcu Mahometa pusta komnata czeka na ciało Jezusa. Natomiast Anglicy i Francuzi pozostają krzyżowcami w głębi serc.

Palestyńscy chrześcijanie w epoce wypraw krzyżowych, dowodzili, że nieudolność, kłótnie, chciwość, panujące wśród rycerzy i

knechtów oddały wiktoryę islamowi. Muzułmanie bardziej jednoczyli się pod sztandarami swojej religii niż chrześcijanie. Chrześcijańscy królowie, książęta i hrabiowie nie potrafili pogrzebać osobistych i dynastycznych ambicji na czas głoszonej wspólnej sprawy, na rzecz odzyskania Jerozolimy i Drzewa Krzyża Świętego. Jak później Hiszpanie w Nowym Świecie i jak krzyżacy we Wschodniej Europie, nieśli wraz z krzyżem miecz, nie pokój. Ludzi, którzy ubroczyli ręce w krwi Saracenów, kanonizowano. Nieprzyjacielskim jeńcom, a nawet własnym żołnierzom, jeśli wyłamywali się spod posłuszeństwa, okazywano nie miłosierdzie, lecz bezwzględne, krwawe okrucieństwo. Za kradzież ucinano rękę, za dezercję – nogę. Oskarżenia prof. Arnolda Toynbee są jeszcze gwałtowniejsze od zarzutów Runcimana. Wylicza „katalog zbrodni i okrucieństw Zachodu”: inkwizycja hiszpańska, handel żywym towarem, niewolnictwo na plantacjach amerykańskich, ludobójstwo hitlerowskie i – wyprawy krzyżowe.

Rozdział 11

SZATAN WCIELONY – NA WOLNOŚCI

– Już niedługo będę mógł się cieszyć waszym towarzystwem, które szczerze polubiłem – powiedział do Ryszarda cesarz na krótko przed Bożym Narodzeniem roku 1193. – Wystarczającą część okupu zebrano i złożono w Niemczech. Wiedziałem, że twoi poddani są bogaci. Ale fakt, że zdołali zgromadzić sumę, jakiej zażądałem – a jakiej, muszę podkreślić, jesteś wart – stanowi najlepszy dowód ich zamożności.

Królewscy poddani pewno by się nie zgodzili z tą opinią. Istotnie, Anglicy dostarczyli lwiej części olbrzymiego okupu. Wasale Ryszarda na kontynencie mało co dali, bo pod jego nieobecność, jeśli nie walczyli z królem Francji, to wojowali między sobą. Ale w Anglii pieniądze po prostu wymuszano, a zajął się tym głównie biskup Walter. Wszyscy rycerze, którzy nie wzięli udziału w wyprawie krzyżowej, musieli zapłacić specjalną daninę. Kościoły miały oddać wszelkie złote i srebrne naczynia, jeżeli nie wplacono w zamian ich równowartości w gotówce. Klasztory cystersów i innych ubogich mnichów, nie posiadające cennych przedmiotów, płaciły daninę w wełnie. Z ludzi świeckich powszechnie ściągano jedną czwartą wszelakiego dochodu i taką samą część ruchomości. Zwłaszcza dotkliwie odczuwano to ostatnie zarządzenie. Ponieważ wystawiono na sprzedaż od razu bardzo dużo ruchomości, więc ceny ich spadły i żeby uzyskać czwartą część ich wartości, trzeba było sprzedać dużo więcej. Gromadzone pieniądze umieszczano w kościołach, a strzegły ich zbrojne straże.

Ryszarda uradowała nowina, zakomunikowana mu przez cesarza.

– Mój zacny biskup Walter! – wykrzyknął. – Wiedziałem, że on nie zawiedzie ufności swego suwerena...

– Z tego, co mi mówił – odrzekł cesarz – wywnioskowałem, że jest do ciebie bardzo przywiązany jako do człowieka, nie tylko suwerena. Powiedział, że ty byś swoim urokiem potrafił nawet opata nakłonić do popełnienia grzechu śmiertelnego. Co prawda, może to i nie takie trudne... przynajmniej jeśli chodzi o niektóre grzechy. Ale zgadzam się z Walterem, że masz rzeczywiście niezwykle osobisty urok...

– ...który wszakże nie wystarczył, by waszą cesarską miłość nakłonić do wypuszczenia mnie z niewoli – zaśmiał się Ryszard.

– To nie było kwestią ani twojego czaru, ani mojej do ciebie sympatii. Jak ci już powiedziałem, mój skarbiec świeci pustkami i oto nadarzyła się znakomita sposobność, by go napęłnić. Wyznam ci teraz, że prawie na każdym, kto cię odwiedził, od kiedy zawarliśmy ugodę, twoja osoba wywierała takie wrażenie, że wracał do mnie, by błagać o wypuszczenie ciebie bez kondycji.

– Wdzięczny im jestem – odparł Ryszard – chociaż ich suplikacje na nic się nie zdały. Ale wszystko to już minęło. Kiedy teraz wasza cesarska miłość zechce dostarczyć mi konie i eskortę, bym mógł dokończyć podróży, przerwanej na tak długo, do moich dominiów? Doceniam, proszę mi wierzyć, gościnność, którą mi ostatnio okazywałeś, ale spieszno mi, spieszno mi bardzo.

– Zaraz, zaraz! Jeszcze trochę cierpliwości. Wszystko będzie gotowe do twego odjazdu, ale muszę, i ty musisz, poczekać na powrót ekspertów, których wysłałem, aby sprawdzili wagę i próbę złotych i srebrnych monet, przygotowanych na okup.

Chociaż zirytowała go ta dodatkowa zwłoka, Ryszard parsknął śmiechem:

– Wasza cesarska miłość nie ma zbyt dużego zaufania do moich poddanych, nawet do moich biskupów!

– Jeśli biskup służy wiernie swemu suwerenowi, to bywa, że często więcej mu odda niż Bogu.

Nie ułagodziło to Ryszarda, ale jednak musiał akceptować tę dalszą jeszcze zwłokę, spowodowaną przezornością Henryka.

* * *

Margot pojmowała, że noce, spędzane z Ryszardem, a tyle obojgu przynoszące konsolacji, niebawem dobiegną końca. A tyle jeszcze chciała dowiedzieć się o jego nadzwyczajnych przygodach, o całym jego życiu! Rozpytywała więc, póki czas:

– Nigdy ani mnie, ani memu ojcu nie opowiadałeś, co zaszło po podpisaniu rozejmu, po wyjeździe z Akki a przed twoim przybyciem do tej karczmy na przedmieściach Wiednia...

Ryszard niechętnie wracał do wspomnień z tego okresu, kiedy wszystko zdawało się iść na opak.

– Niby nic trudnego do Akwitanii dotrzeć, a tu przeszkody się mnożyły, jakby się licho jakie uwzięło! Miałem z dwudziestu towarzyszami żeglować do Marsylii, skąd niegdyś do Ziemi Świętej wyruszyłem. Najdogodniejsza to droga do moich dominiów. Ale gdyśmy na Cypr zawinęli, Guy de Lusignan doniósł mi, że na południu Francji zamieszki. Nie miałem żadnej ochoty mieszać się do waśni tych wiecznie skłóconych baronów ani do buntów przeciw ich suwerenowi, królowi Francji. Ja chciałem tylko dostać się jak najszybciej do własnych ziem, przede wszystkim do Anglii...

– Oczywiście. Twój brat, książę Jan, dał ci powód do pośpiechu.

– Guy doradził mi żeglować przez wyspę Korfu na morzu Jońskim. Rada dobra, ale nie taka łatwa do przeprowadzenia. Nigdy nic mi łatwo nie przyszło, ani w Europie, ani w Palestynie...

– Może dlatego ci niełatwo, że chcesz za wiele... chcesz tego, co niemożliwe?

– Babskie gadanie. Dla przedsiębiorczego człowieka nic nie jest niemożliwe. A tu nawet żywioły się sprzysięgły, by mnie opóźnić albo zgubić. Gdyśmy odbili od Cypru, przez cały miesiąc nasz żaglowiec zdany był na przeciwne, kapryśne wichry, ze wschodu na zachód i z powrotem z zachodu na wschód, ale nigdy ku północy! Gdyśmy wreszcie ujrzeni ląd, odeгнаły nas od brzegu statki, chmurami strzał aż nadto jawnie zdradzały wrogie intencje.

– Kto, jak myślisz, wrogie statki przeciw tobie nastął?
– Nie udawaj naiwnej. Przecież wiesz dobrze, że księżę Leopold i cesarz sprzymierzyli się przeciw mnie. Nienawiść księcia miała prywatne podłoże, cesarza – publiczne. Może nawet spiskowali razem z Filipem francuskim i moim wyrodnym bratem. Wszystko jedno kto, ale ktoś bardzo skutecznie pilnował, bym nie mógł wylądować. Za mało nas było do walki. Musiałem się uciec do podstępów...

– Więc przebranie...
– Przechytryzić ich! Pierwsza rzecz: trzeba było pozbyć się statku z Akki, zapewne dokładnie opisanego i łatwego do rozpoznania. Więc kapitanowi zapłaciłem, a następnie wynająłem dwa pirackie stateczki, by nas podrzuciły tak daleko na północ Adriatyku, jak tylko się da. Ci piraci słono kazali sobie płacić, ale na szczęście pieniędzy miałem dość.

– Pożeglowałeś do Triestu?
– Nie, to wcale nie było takie łatwe i proste. Najpierw nasi piraci w Dubrowniku chcieli wylądować. Ale gdy wysłali swoich na zwiady, by sprawdzić, czy będziemy mogli bezpiecznie zejść, to ich tamtejsi mieszkańcy przepędzili. Więc pożeglowaliśmy dalej na północ. I wtedy uderzył na nas okrutny sztorm. Jeden ze statków zatonął, a z nim połowa moich rycerzy. Maszt tego statku, na którym znajdowaliśmy się, zatrzęszczał, grożąc przełamaniem u samej podstawy. Wsparłem się oń plecami, kazałem piratom przywiązać maszt do mego ciała i szeroko rozstawwszy nogi, wytrzymałem wszystkie moje siły...

– ... niemałe, jak wiadomo – wtrąciła Margot.
– I tak opierałem się wichurze, aż burza minęła... byłem wyczerpany, ale i rad, że udało mi się nad szalejącymi żywiołami zatriumfować...

– Jak długo tak trwać musiałeś?
– Jedną noc i jeden dzień. I chociaż zimny deszcz bił we mnie potokami, zalewał mnie też własny pot od wysiłku. Ale to nas od zatonięcia uratowało. Piraci, zdumieni takim wyczynem, zebrali się

wokół mnie, wiwatując...

– Na uznaniu piratów chyba ci najmniej zależało.

– Piraci też ludzie. Znają się na walce, na trudzie i na sprawach morza. Ja sobie z nimi dobrze radziłem. A oni odnosili się do mnie przyjaźnie i wspomniałomyślnie, oprócz ceny za wynajem ich statków. Mojej rangi nie znali, pewno by nie chcieli mieć ze mną do czynienia, gdyby wiedzieli, kim jestem, ale respektowali moją siłę i moją zręczność w grze w kości. A rzucaliśmy te kości całymi godzinami na pokładzie, gdy pogoda sprzyjała. Niektórzy z moich kompanów mieli ze sobą liry, więc śpiewaliśmy wszyscy, wspólnie z piratami, stare morskie ballady.

– Mało kto zaufałyby jak ty morskim rozbójnikom...

– Jakim procederem się trudnili, by zarobić na życie, to ich sprawa. Gdyby mnie zaatakowali, walczyłbym z nimi. Ale jeśli mi za pieniądze służyli, traktowałem ich jak innych, którzy mi tak służyli. Nie mieli łatwego życia, narażali się na hazard.

– Po burzy musieliście przybić do brzegu. Czy znowu natrafiliście na opór?

– Nie. Tym razem piratów na zwiady nie posłałem. Sam zeszedłem, z Moultonem i z Fulkiem D'Oyly: wszyscy trzej udawaliśmy, że jesteśmy francuskimi templariuszami. Zamek, do którego udaliśmy się, należał, jak się okazało, do wasala księcia Leopolda. Zakląłem tego hrabiego, w imię naszego Zbawiciela, którego prawdziwy krzyż usiłowaliśmy odebrać niewiernym pod wodzą Ryszarda, króla Anglii, by zezwolił nam przejść i dopomógł... Hrabia udawał przyjaźń. Sprzedał konie dla nas wszystkich po cenie, którą nazwał słuszną...

– Ale wam się taka nie wydawała?

– Cena była niemożliwie wyśrubowana. Trochę się z nim targowałem, ale on dobrze wykorzystał nasze położenie. Nie mogłem się narażać na zwłokę. A hrabia okazał się zdrajcą. Rozpoznał nas chociaż tego po sobie nie pokazał. Później się dowiedziałem od cesarza, że z Cypru przysłano gońców, by uwiadomili o mojej podróży wszystkich jego wasali na ziemiach bizantyjskich. Więc hrabia

pozwoił nam przejechać, ale równocześnie polecił swemu bratu na sąsiednim zamku, by nas z oka nie spuszczał.

– Tak więc przekazywali cię z hrabstwa do hrabstwa pod dyskretną opiekę.

– Nie zawsze taką dyskretną. Atakowano nas parokrotnie. Pewno ksiązę Leopold ufał, że zbiorze ze sztyłem mnie dosięgnie. A może też ci, co nas napastowali, byli zwyczajnymi rozbójnikami. Tak twierdzi teraz ksiązę Leopold, ale to waz i jego słowu nie można wierzyć. Bądź co bądź, co i raz to kogoś z naszej drużyny zabito, raniono lub wzięto do niewoli. Oczywiście myśmy też nie zasypiali gruszek w popiele i zabiliśmy niejednego. A każdy wzięty do niewoli szedł pod nóż. Nie mieliśmy innego wyboru. Nie mogliśmy ani zabierać ich ze sobą, ani puszczać wolno, by krzyk podnieśli i ścigali nas.

– Ale Moulton i D'Oyly zostali przy tobie?

– Jak wiesz. Wśród tamtejszych ludów, Serbów, Kroatów, Austriaków, nie było wojowników, którzy by im sprostać mogli. Chociaż jednego razu tylu ich na nas napadło – z pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych obwiesiów – że musieliśmy szukać ratunku w ucieczce, a ocalenie zawisło od chyżości naszych koni. Wtedy zdecydowałem, że trzeba zmienić przebranie. Na jakimś targu kupiliśmy odzież, zwykle noszoną przez podróżujących kupców. Zmyliliśmy ślady. W kupieckim przebraniu, nierozpoznani dotarliśmy aż do Wiednia, do karczmy, o której wiesz... i ostatecznie do zamku Dürnstein.

– ... i w moje ramiona...

Tej nocy Margot przekazała nowiny, z którymi zwlekała aż do świtu, by nie niepokoić kochanka przedwcześnie.

– Posłyszałam, że twoja żona do swojej rodziny w Nawarze pojechała.

Margot nie potrzebowała się obawiać reakcji na takie wieści. Ryszard przyjął je bez mrugnienia okiem.

– Którędy jechała?

– Przez Sycylię i Rzym. Po wypłacie okupu, gdy już będziesz wolny... wrócisz do niej? Czy wezwiesz ją do siebie, do Akwitanii

albo do Anglii...?

– Chyba nie. Właściwie zapomniałem już o niej.

– Jak i o mnie zapomnisz...

– Pamięta się kobiety, rzadko kiedy jedną kobietę. Gdy układam pieśni o miłości, muszę piosence nadać imię. Ale piszę nie o tej jednej, tylko o kobietach w ogóle, o tym, jak mężczyzna potrzebuje kobiety, chyba, że pokocha...

– Więc mnie nie kochasz... a przecież...

– Byłaś bardzo dobra dla mnie. Żywię dla ciebie szczere przywiązanie i głęboką wdzięczność. Ale miłość nie rodzi się z takich spokojnych, letnich emocji. Miłość musi być błyskawicą, olśnieniem... tak sądzę, bo nigdy jej nie doświadczyłem. Ty także mnie nie kochasz...

Margot potrafiła dawać wykrętne odpowiedzi:

– Mogłabym żyć z tobą szczęśliwa, gdybyś był moim mężem. Jestem tego pewna, chociaż widziałam twoje napady furii...

Ryszard zignorował jej słowa:

– W mojej niewoli byłaś dla mnie prawdziwym darem niebios. Ale nigdy dotąd nie pozwoliłem żadnej kobiecie, by mną owładnęła. I zazdroszczę ci swobody, bo jesteś całkowicie wolna, a ja nawet teraz wciąż w więzach...

– Zdaje mi się, że pojmuję...

– Wierzę. Rozumne kobiety, jak ty, są realistkami.

Ryszard mówił bez ogródek, Margot też:

– Mężczyźni są samolubni i pożądlivi. A my musimy zgadzać się na to, jacy jesteście, bo i nam nie brak namiętnych pożądań. A jednak chciałabym móc wspominać jedną wielką miłość, choćby z żalem, choćby już wystygłą. A ty?

– Niczego nie chcę wspominać z żalem. Niczego nie żałuję. Wszystko, co było, i każdy, z kim się w jakiś sposób zetknąłem, w sumie uczynili mnie tym, kim jestem.

– A kim jesteś?

– O tym ty wiesz pewno więcej ode mnie. Jestem wojownikiem i

królem. Nie żadnym czarodziejem. Niczego we mnie nie ma, czego by nie mógł każdy człowiek odnaleźć w sobie. Nigdy nie chciałem być inny, niż jestem.

– ... nawet dobrym królem?

Ryszard roześmiał się głośno i klepnął krągłą, białe udo:

– Więc uważasz, że jestem złym królem? Przecież ja właściwie nie miałem czasu, żeby panować i rządzić, dobrze czy źle. Ślubowałem wyprawić się do Ziemi Świętej jeszcze przedtem, zanim arcybiskup mnie ukoronował. Z tego, co widzę, wnioskuję, że dobre rządy niewiele daje satysfakcji. A w ogóle w życiu za mało jest przyjemności: to, czego my dwoje zaznajemy, i ta chwila, gdy moja włócznia zagłębia się w ciało wroga albo topór miażdży czaszkę, albo miecz sięga kości. Tak, i kiedy oczy, patrzące na mnie, rozszerzają się ze strachu, jak oczy tych Niemców, gdy zobaczyli, że wyrwałem serce lwu i pożerałem je na surowo w ich przytomności. Bali się. Każdy z nas miewa chwile trwogi, ale nie pokazuje tego po sobie. A ci Niemcy zdradzali swój strach i tym mi sprawili satysfakcję.

– A kiedy będziesz miał czas panować, czy chcesz być dobrym królem?

– Już ci powiedziałem. To żadna przyjemność być dobrym królem.

A prócz tego co to właściwie znaczy: „dobry król”? Czy filozofowie potrafią to sprecyzować? Jeszcze przez sto lat po śmierci króla nikt nie wie, czy był zły, czy dobry. Dobry król... czy zły król? Ocena zależy od wielu różnych rzeczy. Albo syn: dobry czy zły? Mój ojciec uważał mnie za złego syna, choć dobrego wojownika. Ale on był królem. Wielkie połacie ziemi trzymał w ręku. Ja chciałem mieć te ziemie. On dawał tylko cześć tytuły. Więc walczyłem z nim o ziemie i stałem się w oczach Europy złym synem. Gdyby mój ojciec nie był królem, tylko rzemieślnikiem albo chłopem, byłbym może dobrym synem, a złym wojownikiem, bo nie miałbym o co z nim walczyć.

– Dowiaduję się o tobie różnych rzeczy, których dawniej bym nie odgadła – zauważyła Margot. – Ale chcę jeszcze spytać o Berengarię.

Wrócisz do niej, prawda? Winienesz spłodzić synów, królewiczów...

– Przypominasz mi moją nieporównaną matkę, i to nie tylko pod względem zmysłowości. Ona także nalega, że winienem spłodzić prawowitych dziedziców tronu.

– To chyba naturalne.

– A w moim przypadku wątpliwe.

– Nie wierzę ci. Wy wszyscy, uwodziciele i hulacy, wracacie do kobiet, z którymi Kościół was związał, chociaż oczywiście nie zamierzacie im wierności dochowywać.

– Czas pokaże – powiedział sennym głosem Ryszard. Odwrócił się do niej plecami, jakby zamykał ogromne dębowe drzwi. – Znużyło mnie gadanie.

Udawał senność. Świtało już, więc Margot wstała i cicho się wymknęła. Chociaż jeszcze kilkanaście nocy spędzili ze sobą na wspólnej rozkoszy, nie rozmawiali więcej ani o miłości i Berengarii, ani o królowaniu. Z wolna już odchodzili od siebie i nie mieli sobie więcej nic do powiedzenia.

* * *

Wysłani przez cesarza bankierzy powrócili z oznajmieniem, że złote i srebrne monety, złożone w depozycie przez biskupa Waltera, miały prawidłową wagę i próbę. Zaczęły się pożegnania. Ryszard najserdeczniej uściskał zacnego Modreda. Ten austriacki rycerz, który z królewskiego strażnika przeobraził się w królewskiego przyjaciela, zwrócił mu miecz, zabrany jeszcze w karczmie na przedmieściu Wiednia. Ryszard ofiarował mu go z powrotem w upominku, a ponieważ miecz nie posiadał wielkiej wartości – jako broń wędrownego kupca, którego wtedy udawał – więc dołożył jeszcze cenny klejnot.

Ryszarda eskortował liczny poczet rycerzy, z których część przyjechała z Anglii i Akwitanii, a część dostarczył cesarz. Jechali spiesznie. Ale król nie wybrał najkrótszej drogi do wybrzeży kanału

La Manche, jak tego oczekiwali angielscy rycerze.

– Miłościwy panie, z pewnością najpilniejszą potrzebą jest zdławienie niecných machinacji waszego brata, księcia Jana – protestował D'Oyly.

Ryszard śmiał się.

– On tam niczego nie wskóra. Rozprawię się z nim, kiedy nadejdzie pora. Na razie mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

Jeszcze przed opuszczeniem Austrii król angielski dowiedział bystrości w ocenie szeroko pojętych interesów swego państwa i sytuacji na arenie europejskiej. Omówił z cesarzem ekspansjonistyczne, groźne dla nich obu aspiracje króla Filipa francuskiego. Ryszard miał w tym względzie pewne ciekawe sugestie. Cesarz wysłał więc specjalnych gońców, poprzedzających Ryszarda i jego poczet, z żądaniem, by władze zarówno świeckie, jak i kościelne – często najważniejsze także i w polityce – zechciały uważać propozycje króla Anglii jako cieszące się moralnym poparciem cesarza.

Ryszard i jego świta zatrzymywali się na noclegi w Augsburgu, Moguncji, Kolonii; później skierowali się na północ do Niderlandów, z dłuższymi postojami w Louvain i Antwerpii. Gdy większość jego rycerzy udawała się na zasłużony odpoczynek po męczącej podróży, Ryszard do późna w noc rozmawiał z gospodarzami. Ostatnia z takich nocnych pertraktacji wypadła w Liège. Następnie król podsumował wyniki: oto różnymi obietnicami, także finansowymi – na które fundusze miały być ponownie wyciśnięte z Anglików – nakłonił dwóch arcybiskupów, jednego biskupa, trzech książąt i kilku hrabiów Nadrenii i Holandii, by uznali go wodzem koalicji przeciw Francji i przyrzekli złożyć mu hołd lenny. Ta tak zwana „koalicja wschodnia”, zapobiegająca przenikaniu Francuzów na ziemię cesarstwa, powinna była, zdaniem Ryszarda, zmusić króla Filipa do zastanowienia, nimby przedsięwziął najazdy także na zachód, do Normandii, Andegawenii i Akwitanii.

Ryszard Lwie Serce przedstawia się naszej wyobraźni zwykle jako nieustraszony wojownik, człowiek nadzwyczajnej tężyzny fizycznej,

szaleńczej odwagi, a niekoniecznie wybitnych walorów umysłowych.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę to ważne osiągnięcie polityczne, przeprowadzone z rozmysłem wtedy, gdy jego własne królestwo znajdowało się w stanie zagrożenia – chociażby o tym zagrożeniu wyrażał się z pogardą. Przymierze księstw, hrabstw i państw – w owych czasach rzadko prowadzących konsekwentną, stałą politykę, raczej chwiejnie ulegających naciskom z północy czy południa, wschodu i zachodu – przetrwało dwadzieścia lat, zapewniając na ten okres niejaką stabilność centralnej Europy.

Opuściwszy Liège, Ryszard odłożył na razie sprawy wielkiej polityki. Od tej chwili jego podróż przybrała szaleńcze tempo. Austriacy i Niemcy ze zgrozą dowiadywali się, że mają jechać prawie bez wytchnienia, tylko konie zmieniając.

- Ależ gna... – narzekali.
- To nie człowiek.
- Ani snu, ani jedzenia...
- Bogu dziękuję, że pewno nigdy pod jego komendą służyć nie będę.

Anglicy i Andegawęńczycy bardziej już przywykli do wariackiej jazdy króla. A gdy Ryszard sam przypadkiem posłyszał narzekania, powiedział ze śmiechem:

- Przez całe dwa lata mordowałem się w zamknięciu i tęskniłem za moim krajem. Miałem czasu dość, aż nadto, na spanie. Moja radość na koniu, w słońcu, przy księżycu, w deszczu i wichrze, o świcie i o zmierzchu. Nie chcę więcej znać dachów nad głową ani murów, by mnie zamykały. A co do was, przyjaciele, zaznacie wypoczynku, gdy dotrzemy do Tours. Jeszcze dwieście mil!

W marcu roku 1194 Ryszard wjeżdżał do zamku królowej wdowy, Eleonory. Oczekiwała niecierpliwie przyjazdu syna, ale nalegała, by przede wszystkim wypoczął. Spał przez dwanaście godzin snem tak twardym jak człowiek pijany. Gdy się przebudził, usiadł do śniadania. Najpierw ryba, przyprawiona rodzynkami, daktylami, cynamonem, gałką muszkatołową, imbirem, i goździkami. Chleb rozrywał i ka-

wałami wpychał do ust. Potem pieczeń wołowa – zjadł trzy czy cztery funty, popijając mocnym piwem. Na zakończenie ciasto z figami i czerwonym winem.

Eleonora siedziała naprzeciwko. Nie razily jej wcale żołnierskie maniery, zachwycała się jego wręcz niesamowitym apetytem. Po skończonym śniadaniu Ryszard oznajmił:

- Musimy pogadać. Pojedźmy twoją łodzią na Loarę.
- Możemy przejść się po parku.
- Nie, lepiej łodzią. Drzewa też mają czasem uszy, jak ściany.

Król opowiedział matce o wielkim przymierzu, z poparciem cesarza, zwróconym przeciw Filipowi francuskiemu. Dopiero potem zapytał ją o nowiny.

– Mam wieść, która cię na pewno zasmuci – powiedziała królowa. – Zmarł człowiek, który był twoim nieprzyjacielem, ale związany z tobą właśnie ową nieprzyjaźnią...

– Wielu ich jest.

– Tego szanowałeś. Słyszałam w Palestynie, jak nazwałeś go najszlachetniejszym bohaterem islamu...

Mijały minuty. Ryszard w milczeniu siedział na rufie łodzi. Pochylił głowę, wielkie łzy ciekły mu po policzkach tak gęsto, że niebawem skapywały z kwadratowej brody. Wreszcie, zmienionym ze wzruszenia głosem wykrzyknął:

– Saladyn! Na koronę Najświętszej panienci, na stopy Mahometa... oto zła wieść, zaiste... Sułtan nie żyje... Antychryst, ale nie poganin... symbol jedności dla setek tysięcy, wyznających wiarę odmienną od naszej... człowiek szlachetniejszy od wielu chrześcijan... Powiedz mi, matko: czy to chrześcijanin go zabił?

– Nie, synu. Zmarł od ukąszenia żmii.

– Dziękuję Bogu, że to nie żaden z mieczy, którymi walczone pod moją wodzą, zadał śmierć temu wielkiemu człowiekowi.

Eleonora wiedziała, że żal sam znajdzie ukojenie. Znała zmienne usposobienie swego syna. Jego afekty, przyjaźń i nienawiść, były szczerze, ale nie marnował czasu na kontemplację. Eleonora czekała

więc spokojnie, aż pierwszy szok minie. Ryszard otrząsnął się i mruknął:

– Podaj mi flaszkę, niech winem spluczę ten gorzki smak...

Ale nie przełknął trunku. Wypluł do rzeki wino, którym przeplukał sobie usta.

– Powiedziałeś mi – zaczęła królowa wdowa, uznawszy, że trzeba spróbować odwrócić bieg myśli syna – że zaprzyjaźniłeś się z twoim dawnym przeciwnikiem, który cię więził, cesarzem. A z księciem Leopoldem?...

– Zgadzamy się z cesarzem w ważnych, zasadniczych sprawach. Tak, zaprzyjaźniliśmy się. A co do Leopolda, to nie dbam o niego. Oszust i łgarz. Nędzny wasal Henryka, bez czci i wiary, tylko gnie się w pokłonach przed każdym kaprysem cesarza.

– Będą ci potrzebni wszyscy przyjaciele, jakich zdołasz zebrać u swego boku.

– By się rozprawić z Filipem i Janem. Nie boję się ani jednego, ani drugiego. Załatwię ich jednym machnięciem ręki, jak koń rozprasza muchy na własnym zadzie jednym machnięciem ogona.

– Czy wiesz, że Berengaria u swego ojca przebywa? Poślesz po nią?

– Nie potrzebna mi.

– Wcale nie przypuszczam, aby ci Berengaria była potrzebna. Natomiast potrzebny ci syn i następca.

– To stara gadka, mammo! Nie chcę jej teraz słuchać. Będę miał pełne ręce roboty. Nie czas na żonę. A zresztą po paru miesiącach z Berengaria każdy mężczyzna by uciekł. Cały czas gada o kochaniu i oczekuje, by jej odpowiadać tak samo. Czepia się i dławi mnie. Ekscytuje ją moja sława...

– Chce twego dobra.

– Ale niczego nie rozumie. A przemawia tak kwieciście i górnio! Na Boga, toż ona mnie nazywa swoim Cezarem, a siebie Kleopatram, jakbyśmy byli oboje bohaterami jakiejś bujdy trzeciorzędnego minstrela. Ona by człowieka na śmierć zakochała. Zapomnijmy o niej.

Gdzie się obraca mój braciszek Jan?

– W Normandii, nie wiem dokładnie gdzie. I coś mi się wydaje, że mało kto zna miejsce jego pobytu. Schował się przed tobą w najciemniejszy zakamarek. Był w Anglii, ale kiedy posłyszał, że jesteś w drodze, uciekł z królestwa.

Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ ksiązę Jan otrzymał od Filipa francuskiego zwięzłe ostrzeżenie:

„Pilnuj swojej skóry, bo szatan wcielony jest na wolności”.

Rozdział 12

PRZEJAZDEM

Ulegając namowom matki, Ryszard przeprowił się do Anglii.

W Sandwich, na wschodnim wybrzeżu hrabstwa Kent, oczekiwali go lojalni baronowie z Hubertem Walterem.

– Całym sercem gratuluję radzie eklezjastycznej, że ciebie wybrała na arcybiskupa Canterbury – mówił król, obejmując i ściskając nowego dygnitarza. – Papież z pewnością nada ci również władzę legata w królestwie. Stary Longchamp, który gdy opuszczałem Anglię, dzierżył oba stanowiska, zapodział się gdzieś w Normandii, nie pamiętam gdzie, to bez znaczenia. – Zwrócił się do witających go baronów: – Wy, moi przyjaciele, dowiedliście, jak i biskupi, wielkiej mądrości, Hubertowi Walterowi powierzając namiestnictwo. Wiem, że nienawidziliście Longchampa. Jednakże z tego, co słyszałem, mogę wnioskować, że o moje królewskie sprawy nie najgorzej się troszczył.

Walter dobrze wiedział, że jego świeżo upieczone dygnitarstwa wymagają zatwierdzenia przez suwerena królewskiego. Ale nie był pochlebcą ani lizusem. Miał zwyczaj mówić otwarcie, co mu leżało na sercu, w każdej kompanii. Uśmiechnął się do otaczających go baronów i zaczął:

– Miarą niepopularności Longchampa jest właśnie jego dobra służba dla was, miłościwy panie. Posiadał on wiele zalet potrzebnych w rządzeniu, ale metody, jakie zastosował, by ściągać pieniądze dla was, miłościwy panie, na wyprawę do Palestyny, wielu do niego zraziły. Nie chciałbym mówić źle o moim poprzedniku, ale nie dopełniłbym mego obowiązku, gdybym nie dodał jeszcze, że William Longchamp dbał o osobistą karierę i o awanse swojej rodziny. Jednego z braci mianował szeryfem Herefordu, drugiego – szeryfem hrabstwa York:

temu powierzył jeszcze hrabstwa Norfolk i Suffolk, dobra przynoszące olbrzymie profity. I dla tych braci, wywierając nacisk za pośrednictwem sprawowanych urzędów, zdobył bogate dziedziczki na żony. Nawiasem mówiąc, biskupi też niezbyt Longchampa miłowali. Za tym jednakże mniej materialne przyczyny się kryły. Nie potrzebuję przypominać, że w żyłach Longchampa nie płynie ani jedna kropla krwi angielskiej. Jest Normanem, a angielskie duchowieństwo niechętnie akceptuje zwierzchnictwo obcego.

Ryszard miał poczucie sprawiedliwości. Rzekał otwarcie:

– Za błędy Longchampa popełnione wobec narodu nie mogę uniknąć w pewnym sensie odpowiedzialności, bo ja go mianowałem. Bądź co bądź, kiedy wrócę na ziemie andegaweńskie, muszę go odszukać i wziąć do mojej służby, bo chcę dowieść, że wysoko sobie cenię jego lojalność. Widzę, że ściągnął na siebie nienawiść po części z powodu moich żądań, a po części ponieważ mu powierzyłem władzę większą, niż mógł sprawować bez uszczerbku dla własnego charakteru. Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że spieszo mi było bardzo na wyprawę krzyżową, więc mianowałem Longchampa na administratora, a w tym charakterze dobrze się sprawował.

Na szczęście dla arcybiskupa Longchampa, jego suweren potrafił być bezstronny, a wobec tych, którzy mu służyli – pobłażliwy. Dobrze też się złożyło, że Walter starał się oddać mu sprawiedliwość o tyle, o ile mógł. Bo mało kto w Anglii tyle by uczynił. Gerald z Walii pisał w swej słynnej kronice o arcybiskupie Longchampie:

„Ludność świecka miała w nim więcej niż króla, duchowieństwo więcej niż papieża, a jedni i drudzy – tyrana”.

O jakieś dwadzieścia kilometrów od Sandwich leżało Canterbury – katedra arcybiskupa Waltera, jedna z najpiękniejszych budowli sakralnych w Anglii. Stary kościół spłonął w roku 1067: i znowu w roku 1164 znaczną część z tego, co już odbudowano, strawił pożar. Później odbudowywano świątynię według planów i pod osobistym kierunkiem Burgundczyka, Williama z Sens, dopóki słynny architekt nie spadł z rusztowania, doznając poważnych obrażeń. Środkową

wieżę i nawę wzniesiono w epoce późniejszej.

Czas panowania królów normandzkich i dynastii Plantagenetów był okresem wspaniałego rozkwitu budownictwa sakralnego w Anglii. Oczywiście, wznoszono również wiele zamków warownych, by umocnić władzę baronów normandzkich, trzymających w podległości ludność anglosaską. Ale najlepiej przetrwały imponujące budowle katedralne, opactwa i kościoły w stylu romańskim, przy czym dodawano i wcielano tyle elementów specyficznie angielskich, że rozwinął się później styl znany w architekturze pod nazwą anglo-normandzkiego.

Biskupom i opatom ówczesne budownictwo sakralne zawdzięcza inspirację i fundusze. Wykonawstwo powierzano doświadczonym budowniczym, tym samym, którzy wznosili zamki warowne, a także licznym zastępom wybornych rzemieślników-artystów. Anglo-normandzki, czy też angielski styl romański, cechują potężne kolumny, podpierające łuki arkad, masywne wieże centralne i długie nawy – w katedrze w Norwich nawa liczy nie mniej niż czternaście łuków arkadowych. Kiedy Ryszard przyjechał do Anglii w marcu 1194 roku, angielski styl romański już zaczynał ustępować miejsca gotykowi, widocznemu w katedrze Canterbury wzorowanej częściowo na Katedrze St. Etienne.

Ryszard wysłuchał mszy celebrowanej przez arcybiskupa, a na stopniach ołtarza odprawił rodzaj zastępczej pokuty za udział swego ojca w zabiciu Tomasza Becketa: następnego dnia wyjechał do Sittingbourne, gdzie na zamku Tong arcybiskup przygotował ucztę i nocleg dla króla i jego świty.

– Z miejscem tym związana jest ciekawa legenda – opowiadał Walter swemu suwerenowi po drodze do zamku. – Przed blisko siedmuset laty, gdy Sasi wylądowali na wybrzeżach Kent, ich wódz imieniem Hengest poprosił ówczesnego władcę angielskiego Vortigerna o nadanie mu ziemi w pobliżu Sittingbourn. Vortigern zastrzegł się złośliwie, że przyznaje mu ziemię, ale nie więcej, niż może pokryć skóra wołu. A jednak Hengest go przechytrył. Kazał pociąć skórę

wołu na wążutkie paski i otoczył nimi obszar ziemi wystarczająco duży, by na nim zamek wybudować. Identyczna legenda, jak wiesz, miłośnicy panie...

– Wiem, oczywiście! Widocznie Vortigern nie znał wcześniejszej wersji legendy, boby mu posłużyła ku przestrodze. Taką samą legendę opowiadano o założeniu Kartaginy w IX wieku przed narodzeniem Chrystusa przez uciekinierów wygnanych z Tyru.

Jeszcze zanim dojechali do zamku, król miał sposobność przekonać się naocznie, jak niektórzy z jego normandzkich baronów i właścicieli „dóbr odnosili się do angielskich poddanych. Gdy królewska świta przejeżdżała przez wioskę ukrytą wśród drzew, z rowu wygrzebała się jakaś postać w łachmanach wołając:

– Zatrzymajcie się, dobrzy panowie... poratujcie, wspomóżcie nieszczęśliwych...

Życie wryło wyraźne ślady na pomarszczonej, wychudłej twarzy, na zgarbionej postawie, skrzywionym kręgosłupie. Wieśniaka straszyłyby kopyta królewskiego wierzchowca, gdyby Ryszard nagłym szarpnięciem nie poderwał konia, aż stanął dęba.

Chłop ukląkł i pochylił głowę aż do ziemi, jak tego wymagali niektórzy baronowie. Jeden z rycerzy, który zagalopował się do przodu, zawrócił i wznosząc groźnie łaskę, krzyknął:

– Precz stąd, łajdaku! Wiedz, że swoją niezdarnością życie samego króla naraziłeś!

Jeżeli rycerz chciał się tym sposobem wkraść w łaski królewskie, to mało znał Ryszarda.

– Zostaw – krzyknął król. – Wysłuchamy go. Jest poddanym.

Skarcony rycerz cofnął się, zdziwiony i urażony. Ryszard zwrócił się do Waltera:

– Powiedz mu, niech się przestanie czołgać. Przed Bogiem można bić czołem, ale nie przed innym człowiekiem.

Wieśniak pozostał na klęczkach, ale podniósł głowę i ramiona, wpatrując się z otwartymi ustami w króla. Ryszard mówił dalej:

– Czego on chce? Niech powie! Przed kim czy przed czym chce

ratunku? – I dodał ze śmiechem: – Smok w wiosce? Może dziewice porywa?

Człowiek jąkał się, mruzczał coś prostacką angielszczyzną. Arcybiskup tłumaczył na język francuski:

– Istotnie smok, miłoścyw panie, ale w ludzkiej postaci. Pan tych ziem uciska swych poddanych niemiłosiernie. Ostatniej nocy ukradziono wieprzka z dworskiego chlewu. Jego pacholki wymierzają teraz karę całej wsi. Zabierają dobytek, gwałcą kobiety, mężczyzn wtrącają do lochu pod zamkiem. Trzech podejrzanych o tę kradzież powieszono za nogi, akurat na takiej wysokości nad ziemią, że nie mogą podeprzeć się rękoma...

– Kto tu jest panem na zamku, a jeśli ten chłop mówi prawdę, raczej nie panem, lecz szatanem...

– Nazywa się Robert de Cressis – odrzekł Walter, dodając: – Znam ten ród. Pochodzą z Andegawenii.

Ryszard rozkazał rycerzowi, który poprzednio wysforował się naprzód, by posadził wieśniaka za sobą na koniu i według jego wskazówek prowadził...

– ... do tego zamku, czy dworu, czy jak go zwać, który się zdaje siedliskiem grozy.

Ryszard sam był okrutny i bezwzględny, ale nie należał do tych, którzy by świadomie zezwalali na ciemnienie własnych poddanych albo na nadmiernie surowe kary wymierzone zbiorowo za błahe przestępstwa. Zdawał sobie sprawę z praktyk niektórych normandzkich baronów, nadal traktujących Anglię jak kraj podbity i okupowany. A jeśli Ryszard mógł mieć wątpliwości co do prawdy słów wieśniaka, arcybiskup Walter owe wątpliwości rozwiązał:

– Za dużo takich opresji, za dużo... Pan tego zamku miał przynajmniej, jak się zdaje, jakiś powód do gniewu na wieśniaków. Wielu celowo tworzy takie powody, żądając dodatkowych danin i usług pod byle pretekstem, a gdy ich nie otrzymują, stosują takie straszliwe tortury jak duszenie w błocie, zawieszanie ludzi za kciuki i podpalanie ognia pod ich stopami, wyciskanie mózgu sznurami wiązanyimi na

czasze i ściąganymi coraz mocniej...

Arcybiskup mógł dodać, że wiele urodziwych angielskich dziewczyn, nawet wysokiego urodzenia, wstępowało do klasztoru nie dlatego, iżby czuły powołanie do stanu zakonnego, lecz po prostu by uniknąć niepohamowanej pożądliwości normandzkich panów. Natomiast arcybiskup powiedział co innego:

– W ciągu ostatnich dwóch lat wciąż spiskowano przeciw twoim rodakom, miłościwy panie...

– Mój ojciec zwykł mawiać – odrzekł Ryszard – że po stu latach pobytu w Anglii nasi Normanowie mniej zebrali anglosaskich ziem i aglosaskiego dobra, niż anglosaskiej nienawiści. Wnioskując z tego, co mówisz, a czemu wierzę, trudno się dziwić.

Kiedy król ze świtą wjeżdżali do wioski z jednej strony – Robert de Cressis, ostrzeżony, wyjeżdżał spieszenie w stronę przeciwną.

Ryszard wysłał Sir Thomasa Moultona z oddziałem rycerzy, by go sprowadził z powrotem. Wszystko, co wieśniak opowiadał, okazało się prawdą. Wtrąconych do lochu, storturowanych mężczyzn i kobiety wypuszczono i obdarowano ich pieniędzmi z królewskiej kiesy, by choć trochę im wynagrodzić cierpienia. Aby się jednak nie wydawało, że król popiera złodziejstwo, dwóch z trzech powieszonych za stopy wieśniaków, którym udowodniono kradzież wieprzka, wychłostano i skazano na rok do kieratu. I chociaż najęci przez de Cressisa pacholkiwie z niejaką słusnością tłumaczyli się, że tylko wykonywali rozkazy pańskie, Ryszard kazał ich ukarać tak samo, jak złodziei.

Kiedy sprowadzono de Cressisa, król z trudem się hamował:

– Ty i twój ród otrzymaliście od moich poprzedników tę posiadłość, aby służyć temu królestwu i troszczyć się o lud uprawiający tę ziemię. A ty najmujesz zbirów, by torturować i wyzyskiwać ludzi, za których jesteś odpowiedzialny! Przynosisz hańbę twojemu rodowi, hańbę Andegawenii, z której się wywodzisz, hańbę twemu suwerenowi!

– Panie mój, jestem szeryfem z nominacji arcybiskupa Longchampa. Mam obowiązki...

– Już ci powiedziałem, na czym polega twój obowiązek! A nade wszystko masz dozorować tych, którzy pełnią władzę pod twoją zwierzchnością! Tak, masz prawo karać, ale nie masz prawa nadużywać władzy, torturować i gwałcić, a na własne oczy widziałem, że twoich wieśniaków uciskasz, torturujesz, gwałcisz... I dlatego skazuję moim królewskim wyrokiem...

– Wysłuchaj mnie, miłościwy panie! Wielu na najwyższych urządach zaświadczy o mojej lojalnej, pilnej służbie...

– Tym gorzej dla tych na wysokich urządach, dla Anglii i dla mnie samego – odparł Ryszard. – Przed świtem ty i twoja rodzina macie być gotowi do wyjazdu. Rycerze z mojego pocztu będą was eskortowali na wybrzeże i dopilnują, byście się przeprawili do Niderlandów. A jeżeli posłyszę, że ośmielisz się postawić stopę gdziekolwiek na moich ziemiach, każę ci wyciąć trzewia i dam je tym wiejskim kobietom, by na nich bieliznę do suszenia wieszaly...

Przenocowawszy na zamku Tong, król udał się w dalszą drogę do Chatham i do Londynu. Pogoda panowała piękna, czuć już było tchnienie wiosny, wczesnej owego roku. Patrząc na świeżą zieleń na polach, pierwsze pąki na drzewach, słuchając ptaków, zanoszących się ćwierkaniem w żywopłotach, Ryszard otrząsnął się z gniewnego nastroju, w jaki go wtrąciły ostatnie wydarzenia.

Jadący obok niego arcybiskup Walter zauważył:

– Miłościwy panie, jak sądzę, mało znasz swoje królestwo.

– Mało, a właściwie wcale – odparł szczerze Ryszard. – Nie wiem, czy trafiłbym sam spod wieży londyńskiej do zamku Windsor.

– No, przewodników znalazłbyś dość – uśmiechnął się Walter. – Ale pozwól mi parę słów powiedzieć o sprawach, o których twoi rycerze mało wiedzą. Oni zajmują się głównie łowami i sokołami...

– A niech się zajmują! – przerwał mu Ryszard. – Przynajmniej nie będą mieli głowy do takich wybryków, jak de Cressis.

Arcybiskup kontynuował:

– ... a ja chciałbym mówić o nauce, o literaturze i sztuce.

– Mów.

A więcej było do opowiedzenia, niż sobie wyobrażano na kontynencie. Szkoły znajdowały się oczywiście prawie wyłącznie w rękach duchowieństwa. W epoce, kiedy łacina była językiem ludzi nauki, a francuski językiem ballad i poezji, którym posługiwały się wyższe sfery społeczne – tylko z ambony rozlegał się język ojczysty Anglików i tylko w manuskryptach klasztornych zachował się ten język w formie pisanej. Bo ogromna większość kleru, nawet najwyższej hierarchii, była anglosaska. Gdyby nie kler, język angielski może w ogóle przestałby istnieć, a w każdym razie zostałby wypaczony. Przy katedrach, klasztorach i przy niektórych kościołach zakładano szkoły nie tylko o charakterze elementarnym, ale i takie, w których uczono łaciny, literatury klasycznej, filologii.

Ryszard pozwolił sobie na kwaśny uśmiech.

– Dobrze pamiętam moje własne lata nauki. Ileż to razy uciekałem od guwernerów, by ćwiczyć włócznią i łukiem albo chwycić konie – no i cierpiałem za moje wagary. Aż czasem usiąść nie mogłem. A jednak nawet królowi i wojownikowi nauka bywa przydatna. Sprawy wojenne nie powinny przeszkadzać w znajomości prawa boskiego i ludzkiego, a tego nikt nie osiągnie bez sztuki czytania, bez znajomości łaciny.

Arcybiskup opowiadał dalej:

– Siedlisko nauk w Oksfordzie ściąga scholarów nawet z kontynentu, co jest pożądaną, bo dyskutując z innymi na uczone tematy, nasi ludzie nauki też dużo korzystają.

Mało było prawdopodobne, aby król, za którego okup dopiero w części był spleacony i który wracał po tak długiej nieobecności, kiedy to gromadziły się koszty i potrzeby, mógł znaleźć pieniądze dla ubogich scholarów. Może też i dlatego Hubert Walter nie wspominał, że ludzie nauki, prócz tych w klasztorach, żyli i pracowali w bardzo nędznych warunkach, właściwie w biedzie, zależni od skąpej i kapryśnej dobroczynności magnackiej.

Była jeszcze jedna cecha charakterystyczna dla życia intelektualnego owej epoki, ale arcybiskup nie wspominał o niej. Być może

wymknęła się jego świadomości. W owym XII wieku angielscy kronikarze, do tej pory rygorystycznie ograniczający swoje zapiski do faktów i dat, coraz częściej zaczęli dodawać również dokładne opisy tła społecznego, komentarze omawiające przyczyny i skutki, a czasem dowcipną krytykę. Suchy szkielet faktów okrywali ciałem, ciało przybierali odzieżą, odzież ubarwiali kolorami.

* * *

Wjazd królewski do Londynu miał charakter tryumfalny. Ryszard był najslawniejszym wojownikiem swoich czasów i powszechnie uważano, że uwięziono go w zdradziecki sposób.

Arcybiskup Walter przygotował poprzednio ludzi, którzy wmieszawszy się w tłum mieli wiwatować i klaskać. Słusznie przewidywał, że tłum – tak groźny, gdy rozgniewany, ale skory do entuzjazmu – łatwo pójdzie za tym przykładem. Kazał też porozstawiać kramy, w których darmo wydawano wino. Ale wbrew wszelkim przezornym przygotowaniom w tłumie dawały się słyszeć różne uwagi, nie zawsze przychylnie:

– A więc to jest nasz król. Pięć lat na tronie, a poddani go prawie na oczy nie widzieli...

– Anglia mu dała tytuł króla, ale on mało co dał jej w zamian...

– Ponoć nawet nie mówi naszym językiem...

– Nie dziwnego, przecież to Norman...

– No, sporo ma w żyłach krwi angielskiej także...

– Wielki wojownik... a nie odebrał ani Jerozolimy, ani Krzyża Świętego z rąk niewiernych...

Równocześnie odzywały się inne głosy, z większym respektem.

– Utrwalił panowanie Franków w znacznej części Palestyny...

– Więcej by jeszcze dokonał, gdyby nie książę Jan...

– Mało będzie królów angielskich, których sława głośniej rozbrzmi niż Ryszarda Lwie Serce...

– A ci, co go wzięli, cesarz i książę Leopold, lekceważyli sobie

papieża i kościół molestując pielgrzymy...

– I to niosącego krzyż...

– Co prawda, nie nosił odzieży krzyżowca, gdy go napadnięto, ale niech mi nikt nie wmawia, że ksiązę Leopold nie wiedział, kogo...

– A cesarz, jeśli wówczas nie wiedział, to zaraz mu o tym doniesiono...

– Naszego króla znieważono...

– A kto znieważa naszego króla, znieważa nas...

Ale gdy król przejeżdżał, obie grupy, krytyków i zwolenników, złączyły się jednak w ogólnej radosnej wrzawie:

– Wiwat! Niech żyje!

– Król Anglii niech żyje!

– Precz z jego wrogami!

– Nasz król bohater powrócił!

– Niech nas prowadzi! Wszędzie za nim pójdziemy!

Większość wiwatów może była szczerą w danej chwili. A wino, które wypili, bardzo dopomogło.

Jadąc obok króla, do Nottingham, na północ od Londynu, arcybiskup Walter rozprawiał o sposobach rządzenia Anglią, o zachowaniu ładu:

– Ludzie winni być odpowiedzialni za wzajemne stosunki. Chętnie bym widział grupy po kilkunastu mężczyzn, zorganizowane po to, by utrzymywały ład we wsi albo w dzielnicy miasta. Każdy członek takiej grupy, gdyby nie dopełniał obowiązku, byłby karany grzywną, a w razie poważniejszego zaniedbania wtrącony do więzienia...

– Och, dosyć! – wykrzyknął król. – Dzień tak pogodny, okolica tak piękna, a ty byś chciał, żebyśmy sobie głowy szczegółami administracji zaprzęтали. Nie mam do tego zamiłowania!

Arcybiskup odparł bez ogródek:

– Miłościwy pan musi mi wybaczyć, ale trzeba mieć zamiłowanie. Trzeba się troszczyć tak, jak wasz ojciec niegdyś się troszczył. On też prowadził wojny, ale temu królestwu nadał prawa, które będą

przykładem dla przyszłych pokoleń. Przysiągłeś, miłościwy panie, troszczyć się...

Ryszarda raczej to rozbawiło, niż rozgniewało:

– Mój arcybiskup daje mi lekcję sztuki panowania, jak widzę. Ale ja ci odpowiem: nudna to rzecz być królem. Jednakże dowiodę troski o królestwo, według mojej najlepszej woli i możliwości...

– Wspaniale, miłościwy panie. Ale jakim sposobem?

– Mianując mego arcybiskupa Huberta Waltera namiestnikiem królestwa, by tu panował, gdy ja będę w Normandii, dokąd muszę zaraz jechać rozprawić się z moim bratem i jego buntowniczą bandą. Będziesz tu sprawował rządy z całym ceremoniałem władzy, w moim królewskim imieniu.

W Nottingham król uzyskał od swojej rady dekret, odbierający księciu Janowi jego ziemie i wszelkie pretensje do następstwa na tronie Anglii, jeżeli nie stawi się tutaj przed najwyższym sądem w ciągu czterdziestu dni. Słuszne, zważywszy, że przed rokiem Jan stanął na czele rzeczywistej rebelii przeciwko prawowitemu, a uwięzionemu monarsze. Nim Ryszard wylądował, rebelię tę prawie stłumiono, a stronnicy Jana, broniący się jeszcze w paru zamkach, na wieść o powrocie króla poddali się natychmiast. Księżcia przeraziły ostrzeżenia przesłane mu przez króla Francji, Filipa. Nie jego jednego. Kasztelan z Góry św. Michała na południowym wybrzeżu, stronnik Jana, zmarł z trwogi na wieść o wylądowaniu króla w Anglii. Imię Ryszarda Lwie Serce przejmowało strachem nawet najodważniejszych.

Książę Jan nie posłuchał oczywiście dekretu rady królewskiej. Ryszard nie oczekiwał tego. Dlatego też zamierzał, jak już zwierzył się Walterowi, z powrotem przepłynąć się przez kanał La Manche. Gdyby został w królestwie na dłużej, mógłby wymierzyć innym ciemiężcom taką karę, jaka spotkała Roberta de Cressis. Ale Ryszard kłopotał się o inne sprawy na kontynencie, nie tylko o księcia Jana.

– Jeżeli moi andegawieńscy baronowie łudzą się – powiedział – że cesarz Henryk, książę Leopold i król Filip do spółki mnie okiełznali,

to ostra nauczka ich czeka! Zobaczą, że nadal jestem tym samym „wcielonym szatanem”, Ryszardem królem Anglii, księciem Akwitanii, z którym się bardzo liczyć trzeba!

Przed opuszczeniem Anglii, Ryszard dopełnił swej obietnicy – lub groźby, zależy od punktu widzenia – i zdał rządy nad królestwem w ręce arcybiskupa Waltera. Była to może najlepsza rzecz, jaką w ogóle dla Anglii uczynił. Na Waltera spadł ciężar wynajdywania pieniędzy i żołnierzy, bo wojna trwała z niewielkimi przerwami przez następne dziesięć lat – to znaczy nie zakończyła się ze śmiercią Ryszarda. Początkowy konflikt wywołała nienawiść władców Anglii i Francji; następnie wysiłki francuskiego króla, dążącego do przyłączenia do swojej korony Normandii, Andegawenii i Akwitanii. Arcybiskup wbrew wszelkim kłopotom zdołał zaprowadzić reformy administracyjne tak ważne, iż po dziś dzień regulują one metody rządzenia w Anglii. Zaprowadził system obieralnych komisarzy do wyznaczenia wysokości podatków i terminu ich spłaty; nadał więcej swobody działania wysokim urzędnikom, a zarazem związał ich większą odpowiedzialnością, nie tylko przed królem, ale również przed narodem; przyznał Londynowi szeroką autonomię pod obieralnym burmistrzem; w każdym okręgu wyznaczył czterech ziemian, by pilnowali ładu i praworządności. Ta ostatnia innowacja miała podwójne znaczenie. Z niej wzięły początek lokalne sądy o charakterze społecznym, które po dziś dzień stanowią sądownictwo pierwszej instancji. Wyznaczenie zaś ziemian, a nie parów wciągnęło do rządzenia państwem warstwę średnie, które z czasem miały zdominować władzę.

Ryszard Lwie Serce był tylko szczepionką na starym drzewie. Z ojcowskiego pnia ciągnął soki. Wprawdzie dodał barwę, ale prócz tego mało przyczynił się do rozrostu konarów. Natomiast wielką korzyścią dla starego drzewa było powierzenie go opiece tak doświadczonego i umiejętnego ogrodnika, jakim był Hubert Walter.

Przed wyjazdem z Anglii zdarzyła się Ryszardowi sposobność odniesienia drobnego sukcesu nad Hubertem Walterem, i to w dzie-

dzinie, w której duchowny mógłby się uważać za eksperta – języka łacińskiego. Podczas ceremonii król miał wypowiedzieć zwyczajową formułę: „volumnus quod istud fiat coram nobis”. Arcybiskup poprawił: „Coram nos, Domine, coram nos!” Wśród obecnych znajdował się najwybitniejszy angielski łacinnik owej epoki, Hugh, biskup Coventry.

Do niego zwrócił się Ryszard, pytająco unosząc brwi w górę. Biskup wymruczał z satysfakcją, a król z nie mniejszą satysfakcją usłyszał:

- Trzymaj się swojej gramatyki, miłościwy panie. Jest lepsza!

ZRÓWNANI NA POBOJOWISKU

Wczesna wiosna roku 1199. Dzień słoneczny, chociaż w prowincji Limousin do niedawna padały ulewne deszcze. Para wołów, poganianych przez chłopa grzęzła w nasiąkniętej wodą ziemi i z trudem się gramoliła. Drewniany pług chwilami utykał w głębokim błocie. W pewnym momencie zadygotał – i przełamał się wpół. Chłop zaklął, krzyknął na woły i idąc do nich potknął się o jakiś twardy przedmiot. Przypuszczając, że to część złamanego pługa, kopnął go ze złością. Jego noga napotkała twardy opór. Palce stopy, owiniętej szmatami, mocno zaboląły. Spojrzał w dół, a to, co zobaczył, kazało mu jeszcze niżej schylić znużone plecy. Bo przedmiot, który kopnął, nie był częścią pługa. Coś błysnęło żółtawo. Oracz wyciągnął z błota ciężki metal. Trochę obtarł lepłącą się ziemię i oczom jego ukazały się wyrzeźbione postacie, złączone na wspólnej podstawie.

Chłop był ciemnym, nieuczonym człowiekiem i chociaż instynktownie wyczuł, że wyciągnął z błota coś cennego, nie umiał ocenić wartości. Nie był nawet pewien, co to za metal. Rozejrzał się dookoła. Inni pracujący w polu nie zwracali na niego uwagi. Zdarzało się często, że drewniany pług ugrzązł w błocie, a nawet się złamał. Chłop owinął znalezisko w kaftan i unikając pozorów pośpiechu zaczął wyprowadzać woły z pola.

Skoro tylko mógł, pośpieszył do pobliskiego miasta Chalus, gdzie na zamku mieszkał pan tych ziem, hrabia Aimar. W swej naiwności chłop zamierzał zapytać go o swoje znalezisko: jeśli by było cenne, może je kupi? Hrabia z całą pewnością nie pozwoliłby wpuścić na zamek skromnego wieśniaka, ale traf zrządził, że właśnie przejeżdżał z całą kompanią, wracając z polowania. Chłop podbiegł do niego:

– Panie mój, proszę mam...

Wydobył przedmiot, wykopany pługiem. Trochę już oczyszczone przez kaftan znalezisko zabłyszczało w słońcu jaskrawo. Hrabia Aimar wstrzymał konia. Wziął do ręki kraj płaszcza najbliższej jadącego towarzysza i starł nim resztki błota. Gdy dalej ocierał, czyścił, polerował, oczy mu się rozszerzały ze zdumienia. Wreszcie, obejrzawszy dokładnie z bliska rzeźbione figury, jak złotnik mógłby je oglądać, spytał ostro:

- Skąd to wzięłeś, człowieku?
- Panie mój... pługiem wykopałem...

Chłop był wystraszony. Nie przywykł rozmawiać z możnymi tego świata. Gdyby hrabia się rozgniewał, mógłby go kazać wtrącić do lochu. – Złamałem na tym mój pług... powiedzcie mi, wielmożny panie, błagam, czy to... to... ma wartość? Bo jeśli nie, jak kupię nowy pług?

Hrabia głowę w tył odrzucił i wybuchnął śmiechem – nie takim gromkim, szczerym śmiechem, jakim się zanosił Ryszard, ale chrapliwym i szorstkim, jak zgrzyt żelaza po szkłe. Zwrócił się do swych kompanów:

– Pyta, czy to ma wartość? Słyszeliście go! Czy ma wartość? A czy solidne złoto ma wartość?

Chłopu szczeka opadła, gapił się jak sroka w kość.

- Solidne złoto! – powtórzył hrabia.
- Więc... więc złoto, mówisz, wielmożny panie? Więc... będę bogaty, wezmę więcej roli w dzierżawę, moja żona będzie mogła...
- Hola! A kto powiedział, że ty będziesz bogaty? Skąd ci to do łba wpadło? Co znaleziono na dzierżawionej ziemi, należy nie do znalazcy, lecz do właściciela ziemi! – Gładził rzeźbione postacie, przedstawiające władcę z żoną, jego dwóch synów i córkę.

Chłop nie był tak tępy, by nie zdawać sobie sprawy, że popełnił okropny błąd. Powinien był pójść nie do hrabiego, ale do lichwiarza w mieście. Wyzyskano by go, ale jednak coś by dostał.

Hrabia podniósł złotą rzeźbę wysoko, by wszyscy ją mogli zobaczyć:

– Czyż nie przepiękne? – zawołał. Towarzysze przywtórzili pomrukiem. Aimar znowu niegłęboko zachichotał i parękroć powtórzył, jakby do siebie, z coraz większym przejęciem pytanie: – Czy ma wartość? wartość?!

Chłop klęczał w błocie:

– Panie najwielmożniejszy, macie wszystko, a ja tylko moją chałupę i mój pług. Nawet woły należą do wspólnoty... błagam... moje figurki, moje złoto...

– Nie pleć głupstw. Powiedziałem ci, że są moje z prawa...

– Panie mój, jestem na waszej łasce. Dajcie mi więc tylko tyle, bym nowy pług kupił... figurki warte choćby tyle...

Aimar znowu zwrócił się do kompanii:

– Słyszeliście go? Nowy pług ma być ceną, którą wyznacza za to arcydzieło w szczerym złocie! Więc niechaj nikt nie mówi, że hrabia na Chalus nie jest sprawiedliwy, a nawet hojny! Nie mam obowiązku zapłacić mu ani jednego grosza. Ale wszyscyście tu świadkami mojej obietnicy. Ten chłop dostanie cenę, jakiej chce: nowy pług!

Rechotał z radości, a kompani mu wtórowali.

Jednakże nie tylko chłop popełnił błąd. Pożądliwa chciwość i podniecenie przyćmiły Aimarowi zdrowy rozsądek. Za wiele osób zebrało się wokół, by przyglądać się temu, co dla hrabiego było przednią komedią, a dla chłopca tragedią. Zwierzchnik lenny Aimara, Ryszard książę Normandii i Akwitanii, król Anglii, dowiedział się o złotej rzeźbie. Natychmiast posłał umyślnego gońca do hrabiego z żądaniem:

„... abyś wręczył bez zwłoki złotą rzeźbę, znalezioną w ziemi, którą trzymasz w lennie ode mnie. Wynagrodzę ci za spełniony obowiązek, jak uznam za stosowne. Jeżeli cenisz sobie twoje miasto Chalus i twój zamek, nie zwlekaj w posłuszeństwie”.

Aimar kochał się w przedmiotach pięknych, jak esteta, i w przedmiotach cennych, jak chciwiec. Jeszcze zanim goniec Ryszarda dojechał, hrabia zdążył się rozmyślać w cudownie rzeźbionych w złocie postaciach. Pieścił je, głaskał. Były rzeczywiście przepiękne.

Działy na niego, jakby ktoś urok rzucił. Nie był w stanie rozstać się ze znaleźnikiem chłopca. Stracił rozum tak dalece, że kazał przegnać królewskiego posłańca za bramy Chalus i zamknąć je za nim. Pożądanie piękna i złota doprowadziły Aimara do tego, że jak w oblężeniu śmiertelnie obraził człowieka, przed którym drżała w trwodze cała Europa.

Zamknął się w swoim zamku, by rozkoszować się bezcennym nabytkiem i wydawało się, że nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że ściągnął na siebie i na ludność Chalus – groźną burzę.

Łatwo było przewidzieć reakcję Ryszarda.

– Czy ten buntownik sobie wyobraża, że może zlekceważyć moją wolę? – wykrzyknął, wysłuchawszy wieści posłańca. – Już ja mu dam taką nauczkę, że popamięta ją do końca życia, choćby żył sto lat!

Skarb królewski, jak zwykle, świecił pustkami, Ryszard wyciskał, ile się dało, podatków i danin od angielskich poddanych. W Normandii, Akwitanii i Andegawenii werbował rycerzy i pachołków do wojska, ale pieniędzy mu nie dawano. Z tego, co Ryszard posłyszał o złotej rzeźbie z Chalus, wywnioskował, że można by ją sprzedać za grubą sumę w gotówce.

Aby zmusić Aimara do kapitulacji, król kazał niszczyć, palić, równać z ziemią całą prowincję Limousin. Zbrodnia na niewinnych wieśniakach i mieszczanach. A grzech tym większy, że popełniony podczas Wielkiego Postu.

* * *

Wojowanie na większą czy mniejszą skalę wypełniło prawie bez reszty owych pięć lat, które upłynęły od powrotu Ryszarda z więzienia. A zaczęło się od napaści króla Filipa francuskiego na twierdze na południu ziem andegaweskich.

Jednakże po przybyciu z Anglii do Normandii pierwszą czynnością Ryszarda było pojednawcze posłanie do brata. Książę Jan, wbrew wcześniejszym przestrogom króla Francji, przyjechał natychmiast do

Normandii, witając brata hojnie wylewanymi łzami i wielką skruchą, której zapewne nie odczuwał. Ryszard podniósł go z kolan, uściskał i powiedział:

– Nie myśl o tym więcej, Janie. Jesteś tylko dzieckiem, które uległo podszeptom złych doradców...

W dwudziestym siódmym roku życia zostać nazwanym dzieckiem, które nie wie, czego chce, i nie potrafi działać z własnej woli – było niemałym upokorzeniem. Jednakże księżę przełknął je i tylko powiedział:

– Jesteś bardzo wielkoduszny...

Istotnie, ta wielkoduszność była sprzeczna z dekretem wydanym przez królewską radę w Nottingham. Ale Ryszard miał zwyczaj działać otwarcie i wyobrażał sobie, często ze smutnymi skutkami, że inni również niczego nie ukrywają. Wydobywszy się na wolność z więzienia, nie czuł urazy do nikogo. Niechaj każdy korzysta z nadarżającej się sposobności. Taki jest świat.

– Wiem – powiedział Janowi – że moje uwięzienie stworzyło ci tę sposobność, ale nie powinienes być wchodzić w konszachty z Filipem. Z tej przyczyny znowu muszę prowadzić wojnę.

Co prawda, wojowanie zawsze przypadało do gustu Ryszardowi.

– Czy odzyskam z powrotem – pytał księżę Jan – ziemie odebrane mi wyrokiem twojej rady? Czy też muszę stawić się przed sądem, według ich dekretu?

– Ja wyznaczam sąd, a tobie wyznaczam sąd na polu bitwy. Twoje ziemie i tytuły odzyskasz, jeżeli zdobędziesz od Francuzów zamek Evreux, który zagarnęli, jeśli będziesz bronił granic Normandii, kiedy ja udam się w pochód na południe. Tam muszę wyprzeć Francuzów z zamków nad Loarą i ukarać baronów, którzy złożyli hołd Filipowi. Zrobili to pod przymusem, wiem, ale muszą się dowiedzieć, kto jest ich rzeczywistym panem. A teraz, mój bracie, zanim się udamy w różne strony, dokąd nas potrzeby wojenne kierują, przypieczętujemy braterski pakt pieczonym łososiem i dobrym winem na wieczerzę!

Normandię i Francję nawiedziła podówczas klęska głodu. Ryszard opóźnił wyjazd na południe, dopóki się nie upewnił, że z jego zamkowych spichlerzy będzie wydawana codziennie racja zboża dla ludności. Dopilnował także, by ani wieśniacy, ani mieszczanie nie chomikowali nadmiernych zapasów żywności, gdy inni przymierali z głodu.

Prócz tego, jak przewidziała Margot i na co królowa Eleonora nieustannie nalegała, Ryszard wezwał do siebie Berengarię. Jak dalece prawdziwe było to pojednanie małżeńskiej pary, nie wiadomo. Pewne jest jednak, że Ryszard wciąż był na wyprawach, a to przeciw Francji, a to przeciw zbuntowanym wasalom. Pewne jest również, że Berengaria nie urodziła dziedzica swemu małżonkowi.

W pochodzie na południe Ryszard odwiedził matkę. Eleonora знаła swych synów równie dobrze, jak niegdyś znała i rozumiała swego męża.

Pomimo to potrząsnęła teraz z zalem głową i powiedziała tonem wyrzutu:

– Wojaczka znowu? Kiedy będziesz miał wreszcie dosyć?
– Nie ustane, dopóki król Francji i niektórzy z jego nadętych puchą baronów nie będą mieli dość wojaczki. – Przerwał, zaśmiał się i zauważył: – Dębowy kij jest zawsze dębowym kijem. Wojownik jest wojownikiem od chwil, gdy potrafi włócznie unieść i dosiąść konia, aż do chwili gdy go druhowie na ramionach dźwigną, zimnego i sztywnego.

Książę Jan dobrze wywiązał się z powierzonych mu zadań i otrzymał z powrotem swoje dawne tytuły i ziemie. Ryszard zaś niebawem stanął oko w oko z wojskami króla Francji. Filip zaproponował – jak niegdyś Ryszard Saladynowi i cesarzowi – aby spór rozstrzygnąć pojedynkiem czterech wybranych rycerzy. Ryszard może by się i zgodził, ufał w dzielność bojową Moultona, Fulka D'Oyly i innych. Jednakże jakiś złośliwy chochlik kazał mu zakpić z Filipa.

– Wybrani rycerze, nie – oznajmił heroldowi, który przyniósł

propozycję Filipa. – Ale powiedz twemu królewskiemu panu, że jeśli przyjmie moje wyzwanie stanę z nim osobiście w szrankach. A przysięgnę, że moi baronowie i rycerze zastosują się do wyniku pojedynku. Kto wygra pojedynek w szrankach, ten podyktuje zwyciężonemu warunki...

Tandetna chępliwość. Nie można było oczekiwać, aby Filip przyjął takie wyzwanie. Rycerstwo całej Europy dobrze wiedziało, że Ryszard Lwie Serce nie miał równego sobie w pojedynczym spotkaniu.

W kampanii wojennej, jaka się następnie wywiązała, zaangażowano stosunkowo liczne siły wojska. Ryszard zmusił króla Francji do odstąpienia od oblegania fortec, zdobył te, które były w ręku Francuzów, odzyskał dawną władzę w Tureнии. Z kolei posunął się dalej na południe, aby rozprawić się z baronami Akwitanii, którzy tyle mu krwi napsuli buntami i waśniami, gdy przebywał w Ziemi Świętej i później w więzieniu. Tych pokarał w szeregu krwawych bitew. Ryszard pisał do Huberta Waltera, że wziął do niewoli trzy tysiące rycerzy i czterdzieści tysięcy knechtów; liczby zapewne, przesadzone, jak zwykle: jednakże baronów rzeczywiście do posłuchu zmusił.

Ostatecznie główną rolę w negocjacjach o rozejm z Filipem odegrał kościół. Ryszard uważał, że jego własne zwycięstwa na polach bitew zasługiwały na korzystniejsze warunki od tych, na jakie przystał nieprzyjaciół. Tak więc tego z trudem wynegocjowanego i ostatecznie podpisanego rozejmu właściwie nigdy nie przestrzegano, a obie strony wykorzystały go jedynie po to, by się lepiej przygotować do wznowienia działań wojennych. Najbardziej do wszczęcia nowej wojny podżegał cesarz Henryk, który w roku 1195 posłał Ryszardowi szczerozłotą koronę, namawiał do inwazji na Francję i obiecywał swoją pomoc w takim przedsięwzięciu. Cesarz nadal obawiał się francuskiej hegemonii w środkowej Europie, a zaimponowała mu zarówno niezwykła indywidualność Ryszarda, jak i jego talenty dyplomatyczne, gdy stworzył koalicję książąt i biskupów. Nie wiadomo dokładnie, czy i jakiej pomocy udzielił cesarz, oprócz złotej

korony; jednakże uczynił gest, przyjęty bardzo wdzięcznie, mianowicie skreślił resztę uzgodnionego, a jeszcze nie spłaconego okupu za Ryszarda – sumę siedemnastu tysięcy marek.

Jak zwykle Ryszard był w kiepskiej sytuacji finansowej. Uciekał się do różnych sposobów, by zdobywać fundusze na kosztowne wojny, a także na subsydia dla członków koalicji. Między innymi poskarżył się papieżowi, że książę Leopold dopuścił się niechrześcijańskiego czynu, wtrącając do więzienia pielgrzyma z Ziemi Świętej. Papież nie mógł nie zganić takiego postępku i skazał Leopolda na zwrócenie jego części okupu. Pieniądze przydały się Ryszardowi, a zemsta na księciu choć błaha, uradowała go niepomiernie.

– Chociaż zaznałem aż za dużo gościny za murami zamków Leopolda – zauważył – jednak tym razem bardzo bym chciał znaleźć się w jego obecnej rezydencji i z ukrycia przyjrzeć się jego obliczu i przekleństw posłuchać.

By jeszcze innym sposobem uzyskać pieniądze, wezwał do siebie arcybiskupa Huberta Waltera.

– Mam nowy pomysł zdobycia gotówki – powiedział mu – a ty, mój zacny biskupie, będziesz egzekutorem.

Arcybiskup uśmiechnął się kwaśno.

– Bardzo rad będę o jakiejś nowej metodzie posłyszeć, miłościwy panie, bo dawne mało skutkują. Wojny coraz są kosztowniejsze, także samo budowa i utrzymanie zamków, ich naprawa po oblężeniach, a ogólne obciążenia królewskiego skarbcza..

– Wiem, wiem – przerwał mu niecierpliwie Ryszard.

– Miłościwy panie, czasem się zastanawiam, czy ty naprawdę wiesz – rzekł bez ogródek Walter. – Dowodzisz wojskami i do bitew je prowadzisz, i pewno tak trzeba, zważywszy na zakusy króla Francji na twoje dominia. Ale to ja i inni w Anglii musimy dostarczać pieniądze. W ciągu dwóch lat wysłaliśmy za Kanał ponad milion marek: olbrzymią sumę wyciągnęliśmy z naszej małej wyspy. Obawiam się, że będę tak samo niepopularny, jak Longchamp...

– Ależ nie, nie! Ciebie lubią powszechnie...

– Lubiliby więcej, gdybym ich mniej dusił. Ale nie po to wezwalesz mnie tutaj z Anglii, by mi o tym powiedzieć. Masz nowy sposób zdobycia pieniędzy. Kto na nim najbardziej ucierpi?

– To nie jest właściwe określenie, ale jeśli już tak chcesz to nazwać, to najbardziej ucierpią miasta, a podejrzewam, że mogłyby one swego króla wesprzeć bez uszczerbku dla siebie.

– Chętniej by wsparli, gdyby choć czasem widywali tego swojego króla, gdyby go osobiście znali, gdyby czuli jego rękę w rządach – Walter przerwał, z na wpół żartobliwą przyganą.

– Jeszcze mnie zobaczą, jeszcze zobaczą – zapewniał niecierpliwie Ryszard. Nigdy nie liczył się ze zmiennymi kolejami losu.

– Więc jaki to pomysł, miłościwy panie?

– Otóż, na każdym nadanym przywileju miejskim musi być królewska pieczęć, czy nie?

– Tak jest. Przywilej bez pieczęci nie jest ważny.

– I wiele innych dokumentów, jak oddanie w dzierżawę królewskiej, przyznanie praw łowieckich albo monopoli handlowych... na wszystkich musi być pieczęć?

– Musi być, miłościwy panie.

– A więc po prostu wycofamy dawną pieczęć królewską pod jakimś pretekstem... wynajdziesz taki pretekst, mój zacny arcybiskupie, to dla ciebie fraszka... na przykład powiesz, że nadużyto jej, gdy ja byłem na wyprawie krzyżowej, albo że istnieją podejrzenia co do autentyczności pieczęci na niektórych dokumentach... coś w tym rodzaju...

– I nową pieczęć kazać sporządzić?

– Właśnie. I każdy dokument, który winien mieć pieczęć królewską, ogłosić nieważnym, dopóki nie zostanie na nim przyłożona nowa pieczęć, co oczywiście będzie za zapłatą... w jakiej wysokości, to już sam ustalisz. Wiesz, ile mi potrzeba. Niechaj każda opłata będzie znaczna, by się uzbierała okrągła suma – Ryszard śmiał się szeroko. Dorzucił jeszcze: – Te opłaty nie zaszkodzą twojej popularności. Możesz wszem i wobec ogłosić, że sporządzenie nowej

pieczęci było moim osobistym rozkazem. A ciężar na bogate miasta spadnie i na ludzi, którzy otrzymują od korony ładne beneficja.

Na tej nowej pieczęci po raz pierwszy umieszczono herb Anglii: trzy lwy czerwone w białym polu.

Pod koniec roku 1195 na wojennym froncie zanosilo się na korzystne zmiany, Z królem Filipem zawarto traktat w Louvièrs: tym razem nie rozejm, ale rzeczywisty traktat pokojowy. Ryszard okres tego pokoju wykorzystał częściowo na budowę dla siebie zamku, który zasłynął później pod mianem Chateau Gaillard. Wzniesiony na skale zwanej Andeli, w zakolu Sekwany, pod względem strategicznym był idealnie położony. Nie oszczędzono też kosztów. Ryszard osobiście doglądał budowy, a znał się na budowaniu i fortyfikowaniu twierdz jak mało kto. Ten zamek miał być nie do zdobycia. Na nieszczęście, w traktacie z Louvièrs zastrzeżono, że skała Andeli nie będzie ufortyfikowana.

Ryszard oczywiście nie dbał o jakieś tam zastrzeżenia, ale kiedy król Filip szukał pretekstu, by w roku 1198 zaatakować raz jeszcze ziemie Ryszarda, skwapliwie to wykorzystał.

Ten ostatni konflikt wojenny Ryszarda z jego wieloletnim nieprzyjacielem przyniósł mu słynne zwycięstwo pod Courcelles, w pobliżu Gisors, w dolinie rzeki Epte. Podczas odwrotu Francuzów most w Gisors załamał się pod ciężarem uciekających. Według sprawozdania Ryszarda, przesłanego do Anglii, Filip i jego rycerze „mocno się wody napili... pogromiliśmy króla Francji, ale nie myśmy tego dokonali, lecz wola Boga naszymi rękoma...”

I znowu kościół doprowadził do traktatu pokojowego na następne pięć lat, na zasadzie status quo. Dwaj królowie podpisali traktat dnia 13 stycznia 1199 roku. Ryszard nie wiedział jeszcze, że ten dokument kończy jego wieloletnie stosunki z Filipem, początkowo przyjazne, później wrogie. Imperium andegaweńskie trwało nienaruszenie pod berłem Ryszarda; ale jego brat i następca, książę Jan, miał prawie od razu stracić posiadłości na kontynencie, o których zachowanie tak się starali dwaj pierwsi Plantageneci na angielskim tronie.

* * *

Gdy pochód wojsk rozgniewanego Ryszarda przez prowincję Limousin zniszczył ją już prawie w całości, król wezwał Chalus do poddania. Mieszczanie jednak bronili się uparcie.

Chalus było ośrodkiem ważnego przemysłu emalierskiego. Gdy w końcu miasto wzięto, Ryszard przejechał jego ulicami aż pod zamek i jego obrońców osobiście wezwał również do poddania. Zachłanność i buńczuczność naraziły Ryszarda na zupełnie zbędne niebezpieczeństwa, których winien był unikać chociażby ze względu na dobro jego królestwa.

Hrabia Aimar odkrzyknął:

– Poddamy się, jeśli zagwarantujecie nam życie i zezwolicie wyjść wolno, z bronią w ręku!

– Gwarantować wolność wasalowi, który zatrzymuje dla siebie cenny skarb, według obyczaju i słuszności należący do jego suwerena? Nigdy! Puścić wolno bandę zbirów, zbuntowanych przeciw własnemu suwerenowi? Nigdy! Zawieście na stryczkach wszyscy, co do jednego!

Groźba była zapewne przesadzona. Dla przykładu kogoś by ukarano, ale hrabia Aimar i co możniejsi rycerze mogli liczyć, że się wykupią.

Słyszając słowa Ryszarda, stojący obok Aimara łucznik napiął cięciwę, wypuścił strzałę. Trafiła króla w ramię. Rycerze go otoczyli. Strzała utkwiała dość luźno, nie wydawało się, by przeniknęła głęboko. Sir Thomas Moulton ją wyrwał.

– Dajcie mi tam coś do przewiązania! – zawołał król, nie racząc nawet zsiąść z konia. – Zawiąż ramię, Tomaszu. A ty, Fulk, każ trąbić do ataku!

Zamek zdobyto. Ale Ryszard zlekceważył swoją ranę, zaniedbał ją. Więc niedługo cieszył się posiadaniem złotej rzeźby.

Niebawem król Anglii leżał w łożu na zamku Chalus. Królowa Eleonora, ponad siedemdziesięcioletnia, a w owych czasach kobiety

rzadko dożywały tak sędziwego wieku, kazała się wieźć do syna po rzece barką, później wozem wymoszczonym poduszkami, ale i tak trzęsącym na wybojach i bezdrożach. Ryszard przywitał ją z typową dla niego żartobliwą wesołością:

– Ustrzelili mnie z łuku, jakbym był jeleniem w sezonie łowieckim...

Eleonora nie widziała powodów do wesołości. Pojęła, że jej syn już nie tyle potrzebował aptekarzy i alchemików, którzy naradzali się pod oknem, ile księdza. Ale chociaż tak dobrze знаła i rozumiała syna, nie przewidziała, co wyniknie z odwiedzin księdza, którego kazała sprowadzić. Zaczęło się normalnie. Ksiądz zadał zwyczajne pytanie:

– Czy znasz skruczę w sercu swoim?

Ale odpowiedź zabrzmiała niezwyczajnie:

– Martwię się, że prawych dzieci nie mam.

– Lekce sobie ważysz tę chwilę, miłościwy panie. A niebawem staniesz przed Stwórcą i za trzy twoje córki odpowiesz.

– Córki? Moje córki? Skąd one się wzięły, jak się zwa?

Ksiądz odrzekł donośnym i uroczystym głosem:

– Pycha, chciwość, rozwiązłość!

Nikt nie mógł takim tonem przemawiać do Ryszarda Lwie Serce, nawet na łożu śmierci. W zdrowiu król by z całą pewnością własnoręcznie zadał dobrych parę ciosów księdzu, nie bacząc na jego duchowną godność. Złożony niemocą, tylko się roześmiał i polecił Eleonorze przywołać najbliższych przyjaciół.

– Powiada mi ten sługa boży – rzekł do nich – że mam trzy córki. I po imieniu je nazwał. Chcę więc, abyście wy wszyscy byli świadkami, jakim sposobem w chwili, kiedy mam stanąć przed sądem ostatecznym, który nas wszystkich czeka, zamierzam tymi moimi córkami rozporządzić. A więc zapisuję i pozostawiam moją córkę Pychę templariuszom i szpitalnikom, moją córkę Chciwość cystersom i wreszcie moją córkę Rozwiązłość – prałatam.

* * *

Łuczniaka, który fatalną strzałę ze swego łuku wypuścił, wzięto do niewoli wraz z innymi podczas ostatniego szturm na twierdzę. Król Ryszard przed śmiercią rozkazał go do siebie przywołać.

– W bitwie – powiedział król – wszyscy ludzie, książęta, rycerze i prości żołnierze równość osiągają w stopniu gdzie indziej niespotykanym: zrównuje ich odwaga, determinacja, ryzyko, na jakie się wystawiają. Widzisz, jak nisko chylił się król od celnie wymierzonej strzały zwykłego łuczniaka.

Nie spuszczać wzroku pod wejrzeniem króla, wciąż jeszcze surowym i rozkazującym, łucznik odrzekł śmiało:

– Nie niżej, miłościwy panie, od mojej strzały chylił się aniżeli mój ojciec i moi dwaj bracia, których swoim mieczem podczas ataku na miasto zabiłem.

– Śmieje mówisz.

– Nie mam nic do stracenia, miłościwy królu. Wiem, że za twoją śmierć będę musiał zapłacić moją.; i nie tylko moją.

– Śmiały i widzę, że wcale niegłupi. Więc takie mam życzenie: abyś dla spokoju mojej duszy przebaczył mi, że twoich bliskich zabiłem.

– Jak pragnę przebaczenia dla siebie, tak całym sercem i tobie przebaczam, miłościwy królu.

Ryszard zawezwał Sir Thomasa Moultona i powiedział mu:

– Oszczędzić życie tego człowieka. Niechaj go nie spotka żadna krzywda, gdy mnie już nie będzie. Dopilnuj tego. I dopilnuj także, by dostał z mojej kiesy sto szylingów. Bo dobry żołnierz z niego i odważny, uczciwy człowiek. A nic nad to ważniejszego nie ma.

* * *

Ciało króla Anglii, który przed śmiercią mianował swego brata, księcia Jana, dziedzicem wszystkich dominiów, złożono na wieczny spoczynek nie na wyspie, ale zgodnie z jego własnym życzeniem, w

opactwie Fontrevaud, u stóp trumny ze zwłokami jego ojca – na znak spóźnionej skruchy. Serce wyjęto i umieszczono wśród innych relikwii w katedrze w Rouen.

Ryszarda Lwie Serce często podawano za wzór średniowiecznego rycerza. I niejeden chłopiec w XX wieku, bawiąc się w wojnę, wybierał jego imię, naśladował jego wzór. Ale w takiej zabawie, jak w teatrze, nie leje się prawdziwa krew. Natomiast chwała średniowiecznego rycerza opierała się w głównej mierze na ilości krwi, jaką zdołał przelać. W owej epoce zdolność wywierania autorytetu na drodze pokojowej i tworzenia dobrobytu dla ludzi mniej ceniono od siły fizycznej, uroku osobistego, talentu wojennego i dzielności w boju.

Dzięki tym zaletom Ryszard Pierwszy angielski stał się jedną z najślawniejszych postaci w historii średniowiecza.

BIBLIOGRAFIA

Autor posługiwał się, między innymi, następującymi opracowaniami źródłowymi:

Bennet H.S. *Life on the English Manor* Cambridge

Broughton B.B. *The Legends of King Richard Coeur da Lion*. London

Burrow F. *The Feudal Kingdom of England*

Coulton G.G. *The Mediaeval Scene* Cambridge

Dictionary of National Biography London

Encyclopaedia Britannica Chicago

Eyton R.W. *Court, Household and Itinerary of Henry II* London

Harvey John *The Plantagenets*

James G.P.R. *A History of the Life of Richard Coeur de Lion*

Keen Maurice *A History of Mediaeval Europe*

Morton H.L. *A People's History of England*

Norgate K. *Richard the Lion Heart*

Pain Nesta *The King and Becket*

Pernoud Régine *The Crusades*

Poole A.L. *From Domesday Book to Magna Carta* Oxford

Ramsay Sir James *The Angevin Empire* London

Traill and Mann (Ed.) *Social England*

Treccani Henry *The Crusades*

Trevelyan G.M. *History of England*

Warren W.L. *King John*

SPIS TREŚCI

„Ależ to gwałt!”	5
Skłóceni zwycięzcy	11
Książęca praktyka	23
Niewierny muzułmanin	34
Na niebie kometa	40
Czy pielgrzymka?	50
Szlachetne wyzwanie – i barbarzyństwo	63
Lwie Serce	74
Kobiety wokół króla	86
Patrząc na Święte Miasto	96
Szatan wcielony – na wolności	107
Przejazdem	117
Zrównani na pobojuwisku	126
Bibliografia	136